

HARPER LEE

AUTORKA ZABIĆ DROZDA



IDŹ, POSTAW WARTOWNIKA

NAJWIĘKSZY LITERACKI POWRÓT XXI WIEKU

HARPER LEE

IDŹ, POSTAW
WARTOWNIKA

Przełożył Maciej Szymański

FILIA

Pamięci pana Lee i Alice

CZĘŚĆ I

1

Już od Atlanty spoglądała przez okno wagonu restauracyjnego z niemal fizyczną przyjemnością. Pijąc kawę do śniadania, patrzyła, jak ostatnie wzgórza Georgii ustępują miejsca czerwonej ziemi i jak pojawiają się kryte blachą domy, stojące pośrodku pozamiatanych podwórek z nieodzownymi werbenami na grządkach otoczonych pobielonymi oponami. Uśmiechnęła się szeroko na widok pierwszej anteny telewizyjnej na niepomalowanym domku murzyńskiej rodziny, a im było ich więcej, tym bardziej się radowała.

Jean Louise Finch zawsze podróżowała samolotem, ale piątą doroczną pielgrzymkę do domu – z Nowego Jorku do węzła Maycomb – postanowiła odbyć koleją. Po pierwsze, gdy leciała po raz ostatni, umierała ze strachu, bo pilot wybrał kurs przez środek tornada. Po drugie, podróż samolotem oznaczałaby, że ojciec musiałby wstać o trzeciej nad ranem i przejechać sto mil, by odebrać ją z Mobile, w dodatku przed całym dniem pracy. Miał siedemdziesiąt dwa lata; to już nie było fair. Cieszyła się, że wybrała pociąg. Bardzo się zmieniły od czasu jej dzieciństwa, a nowe doświadczenie było dla niej zabawne. Kiedy wciskała umiejscowiony w ścianie przycisk, zjawiał się bagażowy, niczym otyły dzin. Na jej rozkaz z innej ściany wyskakiwała umywalka z nierdzewnej stali, znajdowała się tam też toaleta, na której można oprzeć stopy. Jean Louise postanowiła, że nie da się zastraszyć instrukcjom, które rozmieszczono w przedziale – szumnie zwanym salonikiem – lecz gdy poprzedniej nocy układała się do snu, zatrzasnęła się w ścianie wraz z koją, bowiem nie skorzystała z dobrej rady, by

zaciągnąć dźwignię za wsporniki. Z opresji wybawił dziewczynę wspomniany bagażowy, co niestety kosztowało ją nieco zażenowania, jako że zazwyczaj sypiała w samej bluzie od piżamy.

Miała szczęście, że właśnie patrolował korytarz, gdy utknęła w potrzasku.

– Zaraz panienkę wyciągnę – zawołał, usłyszawszy łomotanie.

– Proszę, nie! – odpowiedziała. – Wystarczy, że powie mi pan, jak stąd wyjść.

– Pomogę pani odwrócony plecami – obiecał i tak też uczynił.

Rankiem, gdy się obudziła, pociąg toczył się wolno przez zwrotnice na terenach kolejowych pod Atlantą. Tym razem postąpiła zgodnie z instrukcją i pozostała w pościeli do czasu, aż za oknem mignął College Park. Ubrała się w swoim stylu „Maycomb”: w szare portki, czarną bluzkę bez rękawów, białe skarpetki i pantofle. Choć od spotkania dzieliły ją cztery godziny, już niemal słyszała pełne dezaprobaty prychnięcie ciotki Alexandry.

Gdy zaczynała czwartą filiżankę kawy, pociąg Crescent Limited, niczym olbrzymia gęś, donośnym głosem pozdrowił swego partnera zmierzającego na północ i mostem nad Chattahoochee wtoczył się do Alabamy.

Chattahoochee jest szeroka i błotnista. Tego dnia poziom wody był niski; żółta łacha piasku zmieniła nurt rzeki w wątlą strużkę. Być może zimą zaczyna śpiewać, pomyślała. Rety, nie pamiętam ani linijki tego wiersza. *Gdym wędrował dolinami?* Nie, to nie to. A w ogóle, chodziło o ptactwo wodne czy o wodospady?

Skarciła się w duchu za niesforne myśli, gdy skojarzyła, że poeta Sidney Lanier musiał mieć w sobie coś z jej dawno zmarłego kuzyna, Joshuy Singletona St. Claira, którego prywatny, literacki rezerwat rozciągał się od Black Belt po Bayou La Batre. Ciotka Jean Louise często stawiała kuzyna Joshuę za przykład, wzorzec pozostający poza wszelką krytyką: miał to być człowiek wielkiego formatu, przedwcześnie zgasły poeta, zaś Jean Louise dobrze by zrobiła, gdyby zachowała ową chlubę rodziny we wdzięcznej pamięci. Portrety istotnie przynosiły rodzinie zaszczyt – kuzyn Joshua żywo przypominał wynędzniałego Algernona Swinburne’a.

Jean Louise uśmiechnęła się mimowolnie, wspominając chwilę, w której ojciec wyjawiał jej resztę prawdy. Istotnie, talent kuzyna Joshuy

zgasł przedwcześnie, lecz nie z woli Boga, ale wskutek spraw zgoła przyziemnych.

Wstąpiwszy na uniwersytet, kuzyn Joshua studiował nazbyt ciężko i rozmyślał przesadnie, do tego stopnia, że stał się postacią żywcem wyjętą z dziewiętnastego stulecia. Nosił z upodobaniem pelerynę typu Inverness oraz pancerne buty kawaleryjskie, wykonane przez kowala wedle jego projektu. Frustrację kuzyna Joshuy wywołała reakcja władz na to, że próbował zastrzelić rektora uczelni, który w jego mniemaniu potrafił jedynie „gospodarować ściekami”. Zarzut był niewątpliwie słuszny, jednak trudno usprawiedliwić nim napaść z bronią w ręku. Dzięki temu, że spora kwota po cichu zmieniła właściciela, udało się kuzyna Joshuę przenieść na drugą stronę torów, do państwowej instytucji dla nieodpowiedzialnych, gdzie pozostał do końca swoich dni. Podobno od tamtej pory zachowywał się całkiem rozsądnie, póki ktoś nie wymienił przy nim nazwiska rektora, wtedy bowiem kuzyn z okropnym grymasem na twarzy przyjmował postawę żurawia krzykliwego. Potrafił w niej wytrwać osiem godzin i więcej, żadna siła nie mogła go zmusić do opuszczenia nogi, póki nie zapomniał o swym wrogu. W lepsze dni kuzyn Joshua czytywał grekę, a wszystko, co po nim zostało, to cieniutki tomik wierszy wydany prywatnym nakładem w Tuscaloosie. Poezja ta tak bardzo wyprzedziła swoje czasy, że do dziś nikt jej jeszcze nie odszyfrował, jednak ciotka Jean Louise nadal, podobno zupełnie przypadkiem, trzyma ów zbiorek w dość widocznym miejscu, a mianowicie na stole w salonie.

Jean Louise roześmiała się głośno i natychmiast rozejrzała wokół, by sprawdzić, czy nikt nie słyszał. Ojciec miał wyjątkowy dar ośmieszania wykładów swej siostry na temat wyższości któregośkolwiek z Finchów. Zawsze dopowiadał córce resztę historii, po cichu i z powagą, lecz Jean Louise miała czasem wrażenie, że dostrzega wtedy w oczach Atticusa Fincha znajome, figlarne błyski – a może to tylko światło tańczyło w szklach jego okularów? Nigdy nie była pewna.

Pejzaż za oknem przesuwiał się leniwie, gdyż pociąg wyraźnie zwolnił bieg. Od szyby aż po horyzont widać było jedynie pastwiska i czarne sylwetki krów. Jean Louise zastanawiała się, dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy, że to taki piękny kraj.

Stacja w Montgomery gnieździła się u szczytu głębokiego zakola rzeki Alabama. Gdy Jean Louise wysiadła na chwilę z pociągu, żeby

rozprostować nogi, bezbarwność dworca, jego oświetlenie i bukiet osobliwych zapachów wydały jej się znajome, ale czegoś brakowało. Grzejników parowych, o właśnie! I kolejarza z łomem, włożącego pod wagon. Brzęku metalu i głośnego ss-ss-sss, gdy z instalacji buchała biała para, a pasażerowie czuli się jak w stołowym podgrzewaczu. W nowych wagonach były grzejniki olejowe.

Całkiem bez powodu zawładnął nią dawny lęk. Nie odwiedzała tego dworca od dwudziestu lat. Kiedy jako dziecko przybyła do stolicy stanu z Atticusem, przeraziła ją myśl o tym, że pociąg rozkołysze się na nadbrzeżnym torze i spadnie, a wtedy wszyscy utoną. Zapomniała o strachu, gdy wróciła do wagonu i ruszyła w stronę domu.

Pociąg stukotał na torze przecinającym sosnowe lasy, a gdy mijał polanę z bocznicą, zatrąbił pogardliwie na krzykliwie pomalowaną lokomotywę z dzwonowatym kominem, muzealny egzemplarz z godłem koncernu drzewnego. Crescent Limited mógł połknąć ją w całości i jeszcze zostałoby miejsce. Greenville, Evergreen, węzeł Maycomb.

Poprosiła konduktora, by nie zapomniał jej wypuścić, ale że ów konduktor był sędziwym człowiekiem, domyślała się, jakiego spłata psikusa: pozwoli, by pociąg przemknął przez Węzeł Kolejowy Maycomb jak nietoperz z piekła rodem i zatrzymał się ćwierć mili za stacją, a potem powie na pożegnanie, że bardzo żałuje, ale prawie zapomniał. Pociągi się zmieniały, ale konduktorzy nie. Dowcip z przystankami na żądanie i panienkami-pasażerkami najwyraźniej był w ich mniemaniu nieśmiertelny. Atticus, który potrafił przewidywać zagrywki wszystkich konduktorów od Nowego Orleanu po Cincinnati, naturalnie czekałby na nią nie więcej niż sześć kroków od miejsca, w którym musiałaby wysiąść.

Jej domem było hrabstwo Maycomb, terytorium długie może na siedemdziesiąt mil, a w najszerszym miejscu sięgające trzydziestu; głusza nakrapiana maleńkimi osadami, z których największa to stołeczne miasteczko Maycomb. Jeszcze całkiem niedawno hrabstwo było tak odcięte od spraw krajowych, że jego mieszkańcy, nieświadomi politycznych upodobań Południa w ostatnim dziewięćdziesięcioleciu, nadal głosowali na republikanów. Nie dojeżdżały tam pociągi, a nazwa „Węzeł Kolejowy Maycomb” była czysto grzecznościowa, bo sama stacja znajdowała się dwadzieścia mil od granicy, w hrabstwie Abbott. Autobusy kursowały nieregularnie i w zasadzie donikąd; rząd federalny przeciął okoliczne bagna tylko jedną czy dwiema szosami, by ludność

miała którądy stąd uciec. Jednak niewielu obywateli korzystało z tych dróg, bo i po co? Kto nie potrzebował wiele, ten znalazł tu dość dla siebie.

Miasto oraz hrabstwo wzięły swą nazwę od pułkownika Masona Maycomba, człowieka, którego nadmierna pewność siebie i niebывały upór przekraczały zdolność pojmwania nawet osób wiernie towarzyszących mu w wojnie z plemieniem Krików. Terytorium, na którym miał działać, położone na skraju przybrzeżnych równin, było pagórkowate na północy i płaskie na południu. Pułkownik Maycomb, przekonany, że Indianie nie cierpią walczyć na równinach, tropił ich na północnej rubieży. Gdy jego przełożony, generał, odkrył, że Maycomb włóczy się wśród wzgórz, podczas gdy Krikowie siedzą w każdym sosnowym zagajniku na południu, wysłał doń zaufanego indiańskiego gońca ze zwięzłym rozkazem: „Idź pan na południe, do cholery”. Maycomb jednak, przekonany, że to podstęp Krików, którzy jakoby chcieli wciągnąć go w pułapkę (czyż nie dowodził nimi błękitnooki, rudowłosy diabeł?[\[1\]](#)), wziął zaufanego indiańskiego gońca do niewoli, po czym ruszył jeszcze dalej na północ. W końcu jego oddział całkiem się zagubił w pierwotnych lasach Alabamy i tam też tkwił, w stanie kompletnego skołowania, do końca wojen.

Gdy minęło już dostatecznie wiele lat, by pułkownik Maycomb nabrał przekonania, iż rozkaz przyniesiony przez gońca jednak mógł być prawdziwy, poderwał swych ludzi do marszu na południe. Po drodze żołnierze napotkali osadników napływających w głąb lądu i od nich dowiedzieli się, że Wojny Indiańskie dobiegły końca. Prawdę mówiąc, żołnierze i osadnicy tak się polubili, że zostali przodkami Jean Louise Finch, zaś sam pułkownik Maycomb udał się w dalszą drogę, aż do miasta, które dziś znamy jako Mobile, pragnąc dopilnować, by jego osiągnięcia zostały należycie docenione. Oficjalna historia stanu jakoś nie potwierdza tej prawdy, jednak takie są fakty przekazywane drogą ustną z pokolenia na pokolenie i zna je każdy mieszkaniec Maycomb.

– ...i przyniosę walizki panienci – powiedział bagażowy.

Jean Louise podążyła za nim z wagonu restauracyjnego do swego przedziału. Wyjęła z portfela dwa dolary: jednego za usługę, a drugiego w podziękowaniu za uwolnienie ostatniej nocy. Pociąg naturalnie przemknął przez stacyjkę jak nietoperz z piekła rodem i zatrzymał się 440 jardów dalej. Zaraz też zjawił się konduktor. Szcherząc zęby w uśmiechu, wyznał, że bardzo żałuje, ale prawie zapomniał. Jean

Louise odpowiedziała mu uśmiechem i z lekkim zniecierpliwieniem zaczęła, aż bagażowy rozłoży żółty stopień. Gdy pomógł jej zejść, wręczyła mu dwa banknoty.

Ojciec na nią nie czekał.

Powiodła spojrzeniem po torach w kierunku stacji i zobaczyła na malutkim peronie rosnącego mężczyznę, który zaraz zeskoczył na ziemię, wybiegając na spotkanie.

Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku, a potem odsunął nieco i pocałował w usta – najpierw siarczyście, a potem delikatnie.

– Nie tutaj, Hank – mruknęła zadowolona.

– Cicho, dziewczyno – odpowiedział, obejmując dłońmi jej twarz. – Jeśli zechcę, będę cię całował nawet na schodach sądu.

Szczęśliwym posiadaczem prawa do całowania jej nawet na schodach sądu był Henry Clinton, przyjaciel od dziecka, towarzysz jej brata oraz – gdyby tylko dalej tak ją całował – przyszły mąż. „Kochaj kogo chcesz, ale wychodź za swoich” – tak brzmiała zasada, którą Jean Louise pojmowała wręcz instynktownie. Henry Clinton był z tej samej gliny co ona, dlatego przestrzeganie zasady nie wymagało szczególnego trudu.

Ramię przy ramieniu pomaszzerowali po walizkę.

– Co z Atticusem? – spytała.

– Dłonie i barki dają mu dziś popalić.

– W takim stanie nie może prowadzić, prawda?

Henry ugiął palce prawej dłoni do połowy i odparł:

– Raczej nie jest w stanie zacisnąć pięści. W takie dni panna Alexandra musi mu wiązać buty i zapinać koszulę. Nawet brzytwy nie utrzyma.

Jean Louise pokręciła głową. Była za stara na to, by się pieklić na niesprawiedliwość losu, ale i za młoda, by przyjąć bez walki wiadomość o ciężkiej chorobie ojca.

– Naprawdę nic się nie da zrobić?

– Przecież wiesz, że nie – odpowiedział Henry. – Przyjmuje siedemdziesiąt granów^[2] aspiryny dziennie, to wszystko.

Henry dźwignął jej ciężką walizkę i ruszyli w stronę samochodu. Zastanawiała się, w jaki sposób zachowywałyby się, gdyby co drugi dzień miała tak cierpieć. Z pewnością nie jak Atticus: gdy ktoś go pytał o samopoczucie, odpowiadał, ale nigdy się nie skarżył, nie widział powodu, by mówić o sobie, skoro jego stan się nie zmieniał.

Henry dowiedział się o jego chorobie przez przypadek. Pewnego dnia,

gdy pracowali w piwnicy archiwum nad sprawą tytułu własności do pewnej nieruchomości, Atticus sięgnął po ciężką księgę hipoteczną, pobladł nagle i upuścił ją na podłogę.

– Co się dzieje? – spytał wtedy Henry.

– Reumatoidalne zapalenie stawów. Mógłbyś podnieść? – poprosił Atticus.

Henry zapytał, jak długo to trwa, a Atticus odrzekł, że sześć miesięcy. Jean Louise już wie? Nie. Zatem lepiej będzie ją zawiadomić.

Jeśli to zrobisz, przyleci tu i będzie próbowała mnie niańczyć, a jedyny sposób na tę chorobę jest prosty: nie mogę pozwolić, żeby mnie pokonała.

Temat był zamknięty.

– Chcesz prowadzić? – spytał Henry.

– Nie wygłupiaj się – odparła. Choć była poważanym kierowcą, nienawidziła posługiwać się mechanizmami bardziej skomplikowanymi niż agrafka: składanie leżaka było dla niej czynnością wysoce irytującą, nigdy też nie nauczyła się jeździć na rowerze i pisać na maszynie, a ryby łowiła za pomocą kija. Jej ulubioną grą był golf, albowiem liczyły się w nim zaledwie trzy składniki: kij, mała piłeczka oraz odpowiedni stan umysłu.

Zielona z zazdrości przyglądała się, jak Henry bez wysiłku panuje nad wozem. Samochody są jego sługami, pomyślała.

– Wspomaganie kierownicy? Automatyczna skrzynia biegów? – spytała.

– Jasne.

– A co będzie, jeśli to wszystko się zepsuje? Nie masz nawet dźwigni zmiany biegów. Wtedy będziesz miał problem, prawda?

– Wszystko się nie zepsuje.

– Skąd wiesz?

– Na tym polega wiara. Chodź do mnie.

Wiara w General Motors. Położyła głowę na jego ramieniu.

– Hank – odezwała się po chwili. – Tak naprawdę... Co ci się stało?

Powtarzali ten żart od lat. Różowa blizna zaczynała się pod jego prawym okiem, zahaczała o nozdrze i biegła ukosem przez górną wargę. Pod wargą zaś nosił sześć sztucznych zębów, lecz nawet Jean Louise nie mogła go namówić, by je wyjął i pokazał. W takim stanie powrócił z wojny. Podobno jakiś Niemiec, chyba głównie po to, by wyrazić swoje niezadowolenie z racji zakończenia wojny, zdzielił go w twarz kolbą

karabinu. Jean Louise postanowiła wierzyć, że to prawdopodobna historia, chociaż... Skoro istniały już działa strzelające za horyzont, bombowce B-17, broń raketowa i tak dalej, Henry najpewniej nigdy nie znalazł się tak blisko Niemców.

– Powiem ci, skarbie – odparł. – Siedzieliśmy w berlińskiej piwnicy. Wypiliśmy wszyscy odrobinę za dużo i zaczęła się bójka... Chciałaś usłyszeć wiarygodną wersję, prawda? I co, teraz za mnie wyjdiesz?

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Chcę być jak doktor Schweitzer i bawić się do trzydziestki.

– O, ten się bawił – odparł ponuro Henry.

Jean Louise wśliznęła się pod jego ramię.

– Wiesz, co mam na myśli – powiedziała.

– Wiem.

Nie było porządniejszego młodzieńca, jak twierdzili mieszkańcy Maycomb, niż Henry Clinton. Jean Louise była tego samego zdania. Pochodził z południowego krańca hrabstwa. Wkrótce po tym, jak przyszedł na świat, jego ojciec porzucił rodzinę. Matka pracowała dniem i nocą w małym sklepiku na skrzyżowaniu dróg, by móc posłać syna do publicznych szkół w Maycomb. Henry, odkąd skończył dwanaście lat, pomieszkiwał na stacji naprzeciwko domu Finchów, a fakt ten czynił go postacią nieprzeciętną: był sam sobie panem, wolnym od władzy kucharek, ogrodników czy rodziców. Był też cztery lata starszy od Jean Louise, w tym wieku to ogromna różnica. Drwił z niej, a ona go uwielbiała. Gdy miał czternaście lat, odumarła go matka i został praktycznie z niczym. Atticus Finch zaopiekował się skromnym spadkiem – większość kwoty, którą udało się pozyskać ze sprzedaży sklepu, pochłonęły koszty pogrzebu – i skrycie zasilał go własnymi pieniędzmi, chłopakowi zaś załatwił pracę sprzedawcy w Jitney Jungle, oczywiście po lekcjach. Henry skończył szkołę i wstąpił do wojska, a gdy wojna dobiegła końca, poszedł na uniwersytet i studiował prawo.

Mniej więcej wtedy umarł nagle brat Jean Louise, a gdy koszmar tamtych dni dobiegł końca, Atticus, który zawsze marzył o tym, że przekaze synowi swą praktykę, postanowił wziąć pod skrzydła innego młodzieńca. W całkiem naturalny sposób wybrał Henry'ego, a ten z czasem stał się jego prawą ręką i jego oczami. Estyma, którą młody prawnik darzył swego dobroczyńcę, wkrótce przerodziła się w szczerą

oddanie – Henry traktował Atticusa Fincha jak ojca.

Co się jednak tyczy Jean Louise, nigdy nie uważał jej za siostrę. Przez wszystkie te lata, które spędził na wojnie i na studiach, zmieniła się z krnąbrnej dziewczuchy w ogrodniczkach o mentalności rewolwerowca w całkiem niezłą podobiznę ludzkiej istoty. Gdy co roku przyjeżdżała do Maycomb z dwutygodniową wizytą, umawiał się z nią na randki. Choć nadal ruszała się jak trzynastoletni chłopak i gardziła wszelkimi kobiecymi ozdobami, była dla niego tak skończenie kobieca, że nie mógł się nie zakochać. Nietrudno na nią patrzeć, a jeszcze łatwiej spędzać z nią czas, choć w żadnym sensie tego słowa nie była „łatwą” osobą. Nosila w sobie niepokój ducha, którego nie umiał rozgryźć, wiedział jednak, że to ta jedyna. Pragnął ją chronić, zamierzał się z nią ożenić.

– Nie masz dość Nowego Jorku? – spytał.

– Nie.

– Daj mi wolną rękę na te dwa tygodnie, a zobaczysz, że będziesz miała go dość.

– Czy to jakaś nieprzyzwoita sugestia?

– O, tak.

– Zatem idź do diabła.

Henry zatrzymał samochód, przekręcił kluczyk i obróciwszy się nieco, spojrzał na Jean Louise. Wiedziała, kiedy zamierzał rozmawiać poważnie. Jego po żołniersku przystrzyżone włosy jeżyły się wtedy gniewnie, twarz nabierała koloru, a blizna nabiegała czerwienią.

– Skarbie, chciałabyś, żebym to ujął w słowa godne dżentelmena? Panno Jean Louise, osiągnąłem już status ekonomiczny, który pozwoli mi utrzymać nas oboje. Niczym starotestamentowy Izrael trudziłem się przez lat siedem w winnicy uniwersytetu i na pastwiskach kancelarii adwokackiej twego taty – dla ciebie...

– Powiem Atticusowi, żeby dołożył ci jeszcze siedem.

– Złoźnica.

– A poza tym – dodała – to był Jakub. Nie, czekaj, to jedna i ta sama osoba. Co trzeci wers zmieniali mu imię. Co u ciotuni?

– Wiesz doskonale, że od trzydziestu lat ma się świetnie. Nie zmieniaj tematu.

Brwi Jean Louise drgnęły nieznacznie.

– Henry – odpowiedziała nabożnie – będę miała z tobą romans, ale nie wyjdę za ciebie.

Naprawdę tak myślała.

– Do diabła, Jean Louise, nie bądź dzieckiem! – wybuchnął Henry, a potem, zapominając o świętych przykazaniach koncernu General Motors, chwycił dźwignię zmiany biegów i wcisnął sprzęgło. Gdy nic się nie wydarzyło, ze złością przekręcił kluczyk i użył kilku przycisków, a wtedy wielki wóz popłynął szosą niespiesznie i gładko.

– Wolny ten pickup, nie? – zauważyła. – Nie nadaje się do jeżdżenia po mieście.

Henry spojrzał na nią spode łba.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Jeszcze minuta i zaczęłyby się kłócić, Henry był śmiertelnie poważny. Jean Louise czuła, że musi go rozwścieczyć, aby umilkł i dał jej czas na przemyślenie sprawy.

– Skąd wzięłeś ten koszmary krawat? – spytała.

O tak.

Prawie go kochała. Nie, to niemożliwe, pomyślała: albo się kogoś kocha, albo nie. Miłość to jedyna niedwuznaczna rzecz na tym świecie. Jasne, istnieją różne rodzaje miłości, ale wszystkie miewają tylko dwa stany: tak lub nie.

Była jedną z tych osób, które, mając przed sobą łatwe wyjście, zawsze szukają trudnego. W tym przypadku łatwym wyjściem było małżeństwo z Hankiem, życie na jego utrzymaniu. Po paru latach, gdy dzieci sięgałyby im już do pasa, w końcu pojawiłyby się mężczyzna, za którego powinna wyjść. Zaczęłyby się rozterki serc, gorączki i niepokoje, potem długie spojrzenia na schodach urzędów pocztowych, gorzki żal po obu stronach, a kiedy już wrzaski dobiegłyby końca i upadłyby wielkie marzenia, ocalałby jedynie kolejny marny romans w lokalnym country clubie i może jeszcze intymna, domowej roboty gehenna pośród najnowszych sprzętów marki Westinghouse. Hank na to nie zasługiwał.

Nie. Postanowiła, że tymczasem spróbuje jeszcze powędrować kamienistym szlakiem staropanieństwa. Zaraz też przystąpiła do negocjacji w sprawie zawarcia honorowego rozejmu.

– Skarbie, przepraszam. Strasznie mi przykro – powiedziała i była to prawda.

– W porządku – odparł Henry i klepnął ją w kolano. – Chodzi tylko o to, że czasem chętnie bym cię zabił.

– Wiem, jestem złością.

Henry spojrział na nią z ukosa.

– Jesteś tylko trochę dziwna, moja miła. Nie umiesz się maskować.

– O czym ty mówisz? – spytała, patrząc mu w oczy.

– Otóż typowa kobieta, zanim jeszcze zdobędzie mężczyznę, daje mu poznać swoje uśmiechnięte, zawsze zgodne oblicze. Ukrywa prawdziwe myśli. Ty zaś, skarbie, kiedy czujesz złość, zwyczajnie dajesz jej upust.

– Czy tak nie jest uczciwiej? Niech mężczyzna wie, w co się pakuje.

– Tak, ale czy nie rozumiesz, że w ten sposób nigdy go nie zdobędziesz?

Ugryzła się w język, by nie udzielić najbardziej oczywistej odpowiedzi.

– Zatem, co mam zrobić, żeby stać się czarodziejką?

Henry wyraźnie zapalił się do tematu. Miał trzydzieści lat i skłonność do udzielania porad – może dlatego, że był prawnikiem?

– Na początek – zaczął beznamiętnie – ugryź się w język. Nie spieraj się z mężczyzną, zwłaszcza wtedy, gdy wiesz, że możesz go pokonać. Często się uśmiechaj. Niech poczuje się wielki. Mów mu, jaki jest cudowny – i czekaj na niego.

Uśmiechnęła się promiennie i powiedziała:

– Hank, zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałeś. Od lat nie spotkałam człowieka o tak przenikliwym umyśle, w dodatku mierzysz sześć stóp i pięć cali! Czy mogę zapalić ci papierosa? Jak było?

– Okropnie.

Znowu byli przyjaciółmi.

[1] Najprawdopodobniej chodzi o Williama A. Bowlesa, Anglika, który przez pewien czas uważał się za wodza wszystkich Indian w tych stronach (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Jednostka masy w krajach anglosaskich.

2

Atticus Finch uniósł nieco, a potem starannie opuścił lewy mankiet. Pierwsza czterdzieści. Niekiedy nosił dwa zegarki: ten stary, z dewizką, na której jego dzieci wypróbowały zęby, i ten nowy, naręczny. Tak było i tego dnia. Pierwszy nosił z przyzwyczajenia, drugi zaś pokazywał mu czas w tych dniach, kiedy nie mógł zgiąć palców na tyle, by sięgnąć do kieszonki. Był postawnym mężczyzną, zanim wiek i artretyzm przeniosły go do „stanów średnich”. Od miesiąca był również siedemdziesięciodwulatkiem, lecz w oczach Jean Louise przestał się starzeć gdzieś w połowie drogi do sześćdziesiątki – nie pamiętała, by kiedykolwiek był młodszy, ale też nie posuwał się w latach.

Przed fotelem, na którym siedział, stał stalowy pulpit do nut, a na nim spoczywała książka *Osobliwy przypadek Algiera Hissa*[3]. Atticus pochylał się nieco ku przodowi, by wygodniej mu było nie zgadzać się z tym, o czym czytał. Ktoś obcy nie dostrzegłby w jego twarzy oznak rozdrażnienia, bo rzadko je okazywał. Być może przyjaciel wiedziałby, że należy się spodziewać suchego „hmm”, bowiem brwi Atticusa uniosły się nieco, a usta zmieniły w przyjemną dla oka, ale cienką linię.

– Hmm – mruknął.

– Co tam, mój drogi? – spytała jego siostra.

– Nie rozumiem, jak ten człowiek śmie dzielić się ze światem swoimi poglądami na sprawę Hissa. To tak, jakby James Fenimore Cooper chwycił za pióro samego sir Waltera Scotta.

– Dlaczego, mój drogi?

– Przejawia dziecienną wiarę w niezachwianą uczciwość urzędników

i chyba zdaje mu się, że Kongres to równie arystokratyczne towarzystwo. W ogóle nie pojmuje amerykańskiej polityki.

Siostra zerknęła na obwolutę książki.

– Nie znam tego autora – powiedziała, tym samym potępiając ją na wieki. – Cóż, nie martw się tak, mój drogi. Czy nie powinni już tu być?

– Ja się nie martwię, Zandra – Atticus spojrział na nią z lekkim rozbawieniem.

Była nieznośną kobietą, ale lepiej mieszkać pod jednym dachem z nią niż z Jean Louise, która nie przestałaby rozpaczać nad jego chorobą. Bo gdy jego córka chodziła przygnębiona, zaczynała szukać sobie zajęcia, Atticus zaś wolał kobiety spokojne, a nie wiecznie zajęte opróżnianiem popielniczek.

Usłyszał najpierw odgłos samochodu skręcającego na podjazd, potem trzaśnięcie drzwiczek, a następnie huk drzwi frontowych. Ostrożnie odsunął stopami pulpit, podjął daremną próbę powstania z głębokiego fotela bez używania rąk, a gdy udało się za drugim razem, ledwo zdążył odzyskać równowagę, gdy dopadła go Jean Louise. Wytrzymał jej serdeczny uścisk i odwzajemnił najlepiej, jak potrafił.

– Atticusie... – szepnęła.

– Hank, proszę, postaw walizki w jej pokoju – powiedział Atticus nad ramieniem dziewczyny. – Dziękuję, że po nią pojechałeś.

Jean Louise cmoknęła ciotkę i nie trafiła, a potem wyjęła paczkę papierosów i rzuciła torebkę na kanapę.

– Jak tam reumatyzm, ciociu?

– Trochę lepiej, skarbie.

– A Atticus?

– Trochę lepiej, skarbie. Udaną miałaś podróż?

– Tak jest – odpowiedziała, opadając na kanapę.

Hank zdążył wrócić do salonu.

– Posuń się – powiedział i usiadł obok niej.

Jean Louise ziewnęła i przeciągnęła się.

– Co nowego? – spytała. – Jeśli się czegoś dowiaduję, to tylko czytając między wierszami „Maycomb Tribune”. Wy nigdy mi o niczym nie piszecie.

– Wiesz już pewnie o śmierci syna kuzyna Edgara – odrzekła ciocia Alexandra. – Okrutnie smutna sprawa.

Jean Louise zauważyła, że Henry i jej ojciec wymienili spojrzenia.

– Wrócił późnym popołudniem – odezwał się Atticus – mocno rozgrzany po treningu futbolowym, szturmem wziął lodówkę bractwa Kappa Alpha, dorzucił tuzin bananów, a wszystko to zalał pintą whiskey. Godzinę później już nie żył. Nic w tym smutnego.

– Fiu – świsnęła Jean Louise.

– Atticusie! – obruszyła się Alexandra. – Przecież mówimy o ukochanym synku Edgara.

– To rzeczywiście okropna historia, panno Alexandro – zgodził się z nią Henry.

– Kuzyn Edgar nadal się do ciebie zaleca, ciotuniu? – spytała Jean Louise. – Po jedenastu latach mógłby w końcu poprosić cię o rękę.

Atticus ostrzegawczo uniósł brwi. Widział, jak w jego córce budzi się demon: jej brwi, podobnie jak jego, powędrowały w górę, pod ciężkimi powiekami błyszczały całkiem okrągłe oczy, a kącik ust wzniósł się niebezpiecznie. Gdy tak wyglądała, tylko Bóg i Robert Browning wiedzieli, co jeszcze mogła pałać.

– Ależ Jean Louise – zaprotestowała ciocia. – Edgar jest moim i twego ojca kuzynem pierwszego stopnia.

– Na tym etapie rozgrywki to już chyba nie robi wam wielkiej różnicy, ciociu.

– A co słyhać w wielkim mieście? – spytał prędko Atticus.

– W tej chwili obchodzi mnie tylko, co słyhać w *ty*m wielkim mieście. Nawet strzępka informacji nie mogłam się od was doczekać. Ciociu, polegam na tobie: streść mi ostatni rok w piętnaście minut.

To rzekłszy, Jean Louise poklepała po ręku Henry'ego, głównie po to, by nie przyszło mu do głowy rozpocząć rozmowy o interesach z Atticusem. Zinterpretował ów gest jako wyraz czułości i zrewanżował się tym samym.

– Cóż... – zaczęła Alexandra. – Na pewno słyszałaś już o Merriweatherach. To także bardzo smutna sprawa.

– Co się stało?

– Rozstali się.

– Co? – Jean Louise była szczerze zdumiona. – Rozeszli się?

– Tak – ciotka pokiwała głową.

Jean Louise spojrzała na ojca.

– Merriweatherowie? Jak długo byli małżeństwem?

Atticus zapatrzył się na sufit, szperając w pamięci. Był precyzyjnym

człowiekiem.

- Czterdzieści dwa lata – odparł po chwili. – Byłem na ich ślubie.
- Wyczuliśmy, że dzieje się coś niedobrego – dodała Alexandra – gdy zaczęli siadać w kościele po przeciwnych stronach...
- I gapili się na siebie wilkiem w każdą niedzielę – wtrącił Henry.
- Zanim się obejrzelśmy – dorzucił Atticus – już zjawili się w kancelarii, prosić mnie o pomoc w rozwodzie.
- Pomogłeś? – spytała Jean Louise, spoglądając na ojca.
- Pomogłem.
- O co poszło?
- Cudzołóstwo.

Jean Louise w zadziwieniu pokręciła głową. Boże, pomyślała, ktoś im musiał dolać czegoś do studni...

Jej rozważania przeciął surowy głos Alexandry:

- Jean Louise, ty naprawdę *tak* podróżowałaś pociągiem?

Wzięta z zaskoczenia, potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, co się kryło za słówkiem „tak”.

– No pewnie – odpowiedziała – ale zaraz, zaraz ciociu. Z Nowego Jorku wyjechałam w pończochach, rękawiczkach i porządnych butach. Przebrałam się dopiero, gdy minęliśmy Atlantę.

Ciocia prychnęła z cicha.

– Doprawdy chciałabym, żebyś tym razem spędziła czas w domu porządniej ubrana. Ludzie w mieście wyrabiają sobie o tobie mylne mniemanie. Wydaje im się, że... że się staczasz.

Jean Louise przygasła w duchu. Był to mniej więcej dwudziesty szósty rok Wojny Stuletniej, w której zdarzały się co najwyżej krótkie okresy niełatwego rozejmu.

– Ciociu – odrzekła. – Przyjechałam tu, aby przesiedzieć w domu całe dwa tygodnie, nic ponadto. Wątpię, żebym w ogóle stąd wyszła. Przez cały rok móżg sobie ura biam, a...

Wstała i podeszła do kominka. Przez chwilę wpatrywała się posepnie w jego gzyms, po czym obróciła się na pięcie.

– Jeśli obywatele Maycomb nie wyrobią sobie jednego mniemania, to niewątpliwie wyrobią sobie inne. Z całą pewnością nie nawykli do oglądania mnie w eleganckich strojach. Posłuchaj – dodała cierpliwie – gdybym nagle pokazała się w sukience, powiedzieliby, że to nowojorskie wymysły. Ty z kolei twierdzisz, że im przykro, że się nie liczę z ich

zdaniem, paradując w spodniach. Na Boga, ciociu, całe Maycomb wie, że biegałam wyłącznie w ogrodniczkach, póki nie zaczęłam miesiączkować...

Atticus zapomniał o swoich dłoniach. Pochylił się, by zawiązać doskonale zawiązane sznurowadła, a gdy się podniósł, jego twarz była wprawdzie zaróżowiona, ale kamienna.

– Dość tego, Skaucie – powiedział. – Przepróż ciocię. I nie zaczynaj kłótni, gdy tylko przekraczasz próg domu.

Jean Louise uśmiechnęła się do niego. Kiedy chciał jej okazać dezaprobatę, zawsze wracał do przydomka z dzieciństwa. Westchnęła.

– Przepraszam, ciociu. Przepraszam, Hank. Jestem uciemężona, Atticusie.

– Wracaj więc do Nowego Jorku i żyj swobodnie.

Alexandra powstała i wygładziła fiszbiny, w których zamknięta była jej kobieca postać.

– Jadłaś obiad w pociągu?

– Tak jest – skłamała.

– Może napijesz się kawy?

– Tak, proszę.

– Hank?

– Ja też, proszę.

Alexandra wyszła z salonu, nie spytawszy brata.

– Jeszcze się nie nauczyłeś picia kawy? – upewniła się Jean Louise.

– Nie – odpowiedział jej ojciec.

– Whiskey nie próbujesz?

– Nie.

– Papierosów ani kobiet?

– Nie.

– Miewasz jeszcze jakieś rozrywki?

– Jakoś sobie radzę.

Jean Louise ułożyła dłonie jak do kija golfowego.

– A to? – spytała.

– Nie twoja sprawa.

– Potrafiłbyś jeszcze uderzyć putterem?

– Tak.

– Kiedyś grałeś całkiem niezłe, jak na ślepego.

– Nic złego się nie dzieje z moimi...

- Oprócz tego, że nic nie widzisz.
- Zechcesz może przedstawić dowody?
- Tak jest. Jutro o trzeciej pasuje?
- Tak... nie. Mam spotkanie. Może w poniedziałek? Hank, mamy coś w planach na poniedziałkowe popołudnie?

Hank drgnął nieznacznie.

- Nic oprócz sprawy hipoteki o pierwszej. Nie powinna nam zająć więcej niż godzinę.

Atticus spojrział na córkę.

- Jestem więc do twojej dyspozycji. A sądząc po tym, jak wyglądasz, panno przemądrzała, ślepy ślepego będzie prowadził.

Stojąc przy kominku, Jean Louise sięgnęła po stary, poczerniały kij golfowy z drewnianym szafem, który od lat służył za pogrzebacz. Opróżniwszy wielką i bardzo starą spluwaczkę z leżących w niej piłek golfowych, położyła ją na boku, kopniakiem przetoczyła piłki na środek salonu, a potem celnymi uderzeniami kolejno skierowała je z powrotem do spluwaczki. Właśnie kończyła, gdy powróciła ciotka, niosąc tacę z kawą, filiżankami, spodeczkami i ciastem.

- Wiedz, Jean Louise, że to twoja sprawka, twojego ojca i twojego brata – powiedziała Alexandra – że ten dywan wygląda tak haniebnie. Czy wiesz, Hank, od czego zaczęłam, gdy się tu wprowadziłam, aby zająć się domem? Kazałam zafarbować ten dywan na jak najciemniejszy kolor. Pamiętasz jeszcze, jak dawniej wyglądał? Miał wielką, czarną plamę odtąd do samego kominka i nic nie mogło jej wywabić...

- Pamiętam, proszę pani – odpowiedział Hank. – Obawiam się, niestety, że to także moja wina.

Jean Louise wsunęła putter na miejsce, obok szczypiec do drewna, zebrała ostatnie piłki i wrzuciła je do spluwaczki. Usiadłszy na kanapie, przyglądała się, jak Hank podnosi te, które jej umknęły. Nigdy nie mam dosyć obserwowania go w ruchu, pomyślała.

Gdy wrócił, z niepokojącą chyżością wypił filiżankę gorącej, czarnej kawy, po czym rzekł:

- Panie Finch, na mnie już czas.
- Zaczekaj chwilę, to pójde z tobą – odparł Atticus.
- Ma pan ochotę?
- Pewnie. Jean Louise – dodał nagle – jeśli chodzi o tutejsze sprawy... Ile z tego przenika do gazet?

– Masz na myśli politykę? Tabloidy rozpisują się o wszelkich niedyskrecjach gubernatora, ale poza tym – cisza.

– Mówię o orzeczeniu[4], którym Sąd Najwyższy zapewnił sobie nieśmiertelną sławę.

– Ach tak. Jeśli wierzyć „Postowi”, to linczujemy Murzynów na śniadanie, „Journal” ma wszystko gdzieś, a „Times” tak bardzo się przejmuje swoimi obowiązkami wobec potomności, że zanudza czytelników na śmierć. Niespecjalnie zwracam na to wszystko uwagę; wiem o strajkach autobusowych i tej aferze w Mississippi. A propos, Atticusie, to, że stan nie dostał wyroku w tamtej sprawie, jest naszym największym błędem od czasu szturmu Picketta.

– Istotnie. Domyślam się, że gazety zrobiły z tego użytek?

– Rzuciły się na sprawę jak szalone.

– A NAACP[5]?

– O tej zgrai akurat nic mi nie wiadomo, poza tym, że w zeszłym roku jakiś urzędnik przysłał mi przez pomyłkę bożonarodzeniowe naklejki NAACP... Ponaklejałam je na wszystkie kartki, które wysyłałam w rodzinne strony. Kuzyn Edgar dostał swoją?

– Dostał. W związku z czym miał kilka ciekawych sugestii odnośnie tego, co powinienem z tobą zrobić – ojciec uśmiechnął się szeroko.

– Na przykład?

– Na przykład pojechać do Nowego Jorku, złapać cię za włosy i zrobić dobry użytek z różgi. Edgar zawsze miał sporo zastrzeżeń do twojej postawy. Twierdzi, że jesteś zanadto niezależna...

– Nigdy nie miał krzty poczucia humoru, nadęty stary sum. O właśnie, pasuje jak ulał: te jego wąsy tu i tu, a do tego usta wykrzywione jak u suma. Przypuszczam, że jego zdaniem moje życie w Nowym Jorku to *ipso facto* życie w grzechu.

– Mniej więcej – zgodził się Atticus, a potem podniósł się z fotela i skinął na Henry’ego.

– Siódma trzydzieści, skarbie? – spytał Henry, zwracając się do Jean Louise.

Kiwnęła głową, po czym dodała, zerkając kątem oka na swą ciotkę:

– Mogę iść w portkach?

– Wykluczone.

– Brawo, Hank – powiedziała Alexandra.

[3] Alger Hiss był amerykańskim prawnikiem i urzędnikiem państwowym, skazanym w 1950 r. za szpiegostwo na rzecz Związku Sowieckiego.

[4] Atticus ma na myśli orzeczenie w sprawie „Brown kontra Rada Edukacji w Topece”, o tym, że prawa stanowe wprowadzające segregację rasową w szkolnictwie są niekonstytucyjne. Orzeczenie to otworzyło drogę do utworzenia szkół integracyjnych.

[5] Krajowe Stowarzyszenie na rzecz Postępu Kolorowych – organizacja walcząca na rzecz zniesienia segregacji rasowej w USA.

3

Co do jednego nie było żadnych wątpliwości: postać Alexandry Finch Hancock była imponująca pod każdym względem, i w części rufowej równie bezkompromisowa jak od frontu. Jean Louise często się zastanawiała – ale nigdy nie pytała – skąd ciotka bierze swoje gorsety. Podnosiły jej biust na niebywałą wysokość, spinały talię i podkreślały tyły, od lat skutecznie sugerując, że Alexandra miała niegdyś figurę klepsydry.

Spośród wszystkich krewnych Jean Louise siostra ojca była jedyną osobą, która niemal permanentnie działała jej na nerwy. Alexandra nigdy nie była dla niej niemiła – nie bywała niemiła dla żadnej żywej istoty prócz królików, które truła, bo obgryzały jej azalie. Mimo to, kiedy tylko chciała i jak tylko chciała, potrafiła zmienić życie Jean Louise w istne piekło. Teraz, gdy Skaut już dorosła, nadal nie umiały przeprowadzić choćby piętnastominutowej rozmowy tak, by nie dotrzeć do punktu spornego, którego nie można obejść. W przyjaźniach bywa to ożywym doświadczeniem, jednak wśród osób blisko spokrewnionych z czasem sprawia, że serdeczność przychodzi im z trudem. Alexandra miała mnóstwo cech, które z drugiego końca kontynentu wydawały się Jean Louise wspaniałe, jednak w bliskim kontakcie dużo traciły, a nawet znikaly bez śladu – wystarczyło przyjrzeć się bliżej motywacjom kierującym jej postępowaniem. Alexandra, zdaniem jej bratanicy, była jedną z tych osób, które potrafią przejść przez życie, nie ponosząc żadnych kosztów. Gdyby miała jeszcze przed śmiercią zapłacić emocjonalny rachunek za całe swoje ziemskie bytowanie, pewnie

zatrzymałaby się w niebiańskiej recepcji, aby zażądać refundacji.

Przez trzydzieści trzy lata Alexandra była żoną, lecz nawet jeśli okres ten w jakikolwiek sposób na nią wpłynął, nigdy tego nie okazywała. Wydała na świat jednego syna, Francisa^[6], który zdaniem Jean Louise wyglądał i zachowywał się jak koń, i który dawno temu opuścił Maycomb, by wieść chwalebny żywot sprzedawcy polis ubezpieczeniowych w Birmingham. I bardzo dobrze.

W sensie technicznym Alexandra nadal była związana węzłem małżeńskim z niejakim Jamesem Hancockiem, potężnym i łagodnym mężczyzną, który z wielką skrupulatnością zarządzał magazynem z bawełną przez sześć dni w tygodniu, siódmego zaś łowił ryby. Pewnej niedzieli – od której minęło już piętnaście lat – gdy przebywał w swym wędkarskim obozowisku nad rzeką Tensas, posłał do małżonki gońca, młodego Murzyna, z wiadomością, że zostaje i nie zamierza wrócić. Kiedy Alexandra nabrała pewności, że w grę nie wchodzi związek z inną kobietą, przyjęła rzecz całą z głęboką obojętnością. Francis z kolei potraktował to doświadczenie jako swój krzyż, życiowe brzemię. Nie umiał pojąć, dlaczego na przykład wuj Atticus pozostał w znakomitych, choć luźnych stosunkach z jego ojcem, podczas gdy powinien coś zrobić. Nie rozumiał też, dlaczego matki wcale nie załamała ekscentryczna – a zatem niewybaczalna – postawa ojca. Dowiedziawszy się o rozterkach Francisa, wujek Jimmy przysłał z puszczy kolejną wiadomość. Gotów był spotkać się z synem, jeśli ten naprawdę ma ochotę przybyć do obozu i go zastrzelić. Francis jednak tego nie uczynił, a wtedy nadeszła od ojca trzecia wiadomość: „Skoro nie chcesz się tu stawić jak mężczyzna, siedź cicho”.

Dezercja wujka Jimmy’ego nie wywołała nawet najmniejszej zmarszczki na spokojnych wodach życia Alexandry. Podwieczorki jej Towarzystwa Misyjnego nadal należały do najlepszych w mieście, jej aktywność w trzech klubach kulturalnych w Maycomb wzrosła, a kolekcja szkła mlecznego rozszerzyła się, gdy Atticus zdołał wyszarpać od wujka Jimmy’ego część majątku – słowem, gardziła mężczyznami i znakomicie radziła sobie bez nich. Fakt, że syn zaczął z czasem preferować męskie towarzystwo, zupełnie uszedł jej uwadze. Wystarczyła radosna świadomość, że wybrał życie w Birmingham, bowiem był osobnikiem wręcz zaborczo uczuciowym i gdy przebywał w pobliżu, czuła się zobowiązana rewanżować mu się tym samym,

a przecież spontaniczne okazywanie emocji to coś dla niej zgoła obcego.

W oczach wszystkich ludzi, którzy starali się uczestniczyć w życiu hrabstwa, Alexandra była ostatnim przedstawicielem ginącego gatunku: miała maniery z epoki bocznokołowców oraz szkół z internatem, a jeśli tylko wypatrzyła jakiś morał, popierała go całym sercem, uwielbiała krytykować i była nieuleczalną plotkarą.

W czasach, gdy pobierała nauki na pensji, w podręcznikach nie istniało nawet pojęcie „braku wiary w siebie”, toteż Alexandra nie znała jego znaczenia. Nigdy się nie nudziła, a kiedy tylko pojawiała się choćby najmniejsza sposobność, bez namysłu realizowała swą królewską prerogatywę: aranżowała, doradzała, napominała i ostrzegała.

Nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że jednym ruchem języka może cisnąć Jean Louise w moralną otchłań. Budziła w niej zwątpienie we własne motywacje i gasiła najlepsze intencje, grając na strunach protestanckiego, filistyńskiego sumienia dziewczyny tak, że wibrowały jak cytra-widmo. Gdyby bardziej świadomie naciskała czułe punkty duszy swej bratanicy, pewnie i jej skalp mogłaby uwiązać do pasa, lecz po latach studiowania taktyki ciotki Jean Louise zbyt dobrze znała swą przeciwniczkę, stać ją było na niszczące kontrataki, choć jeszcze nie do końca potrafiła leczyć rany.

Po raz ostatni starła się z Alexandrą, gdy umarł jej brat. Po pogrzebie Jema spotkały się w kuchni, zajęte uprzążaniem resztek po plemiennej biesiadzie, tradycyjnej fazie procesu umierania w Maycomb. Calpurnia, sędziwa kucharka Finchów, uciekła z domu na wieść o śmierci podopiecznego i już nie wróciła. Alexandra przypuściła wtedy atak godny Hannibala.

– Naprawdę sędzę, Jean Louise, że czas najwyższy, żebyś na dobre powróciła do domu. Ojciec cię potrzebuje.

Zahartowana w bojach Jean Louise natychmiast się najeżyła. Łzesz, pomyślała. Gdyby Atticus mnie potrzebował, wiedziałabym o tym. Nie umiem ci tylko wytłumaczyć skąd, ponieważ w ogóle nie mam pojęcia, jak do ciebie dotrzeć.

– Potrzebuje? – powtórzyła.

– Tak, moja droga. Z pewnością sama to rozumiesz, nawet nie powinnam o tym wspominać.

Ależ wspominaj. Ustaw mnie. Proszę, znowu włazisz z buciarami na nasze prywatne terytorium. Jednak wyobraź sobie, że nawet nie muszę

z nim o tym rozmawiać.

– Ciociu, przecież wiesz, że zostałamby, gdyby naprawdę mnie potrzebował. Tylko że w tej chwili potrzebuje mnie jak dziury w głowie. Pomarlibyśmy z rozpaczą w tym domu. On o tym wie i ja o tym wiem. Nie rozumiesz, że jeśli nie wrócimy do zajęć, które pochłaniały nas przed śmiercią Jema, minie znacznie więcej czasu, zanim się pozbieramy? Ciociu, zdaję sobie sprawę, że ciężko mi do ciebie dotrzeć, ale uwierz, jeśli mam spełnić swój obowiązek wobec Atticusa, to wyłącznie zajmując się swoimi sprawami. Muszę żyć własnym życiem. Atticus będzie mnie potrzebował tylko wtedy, gdy opuści go zdrowie i z pewnością nie muszę ci tłumaczyć, co wówczas zrobię. Nie pojmujesz?

Nie pojmowała. Alexandra rozumiała tylko to, co w Maycomb było oczywiste: każda córka powinna spełnić swój obowiązek, a obowiązek jedynej córki wobec owdowiałego ojca, który właśnie stracił jedyne syna, był zupełnie jasny: Jean Louise powinna wrócić do domu i zamieszkać z Atticusem. Skoro tego oczekiwano od córki, dziewczyna, która się uchylała, córką nie była.

– ...znajdziesz pracę w banku, a w weekendy możesz sobie jeździć na wybrzeże. Mamy teraz w Maycomb urocze towarzystwo, mnóstwo nowych, młodych ludzi. Lubisz malować, prawda?

Lubisz malować. Do diabła, co takiego, zdaniem Alexandry, Jean Louise porabiała wieczorami w Nowym Jorku? Pewnie to samo, co kuzyn Edgar. Wieczorki Ligi Adeptów Sztuk Pięknych w każdy dzień powszedni o ósmej. Młode damy szkicują, malują akwarelami, piszą opowiadania. Alexandra zawsze dostrzegała i z niesmakiem podkreślała różnicę między tymi, którzy lubią malować, a malarzami oraz między tymi, którzy piszą, a pisarzami.

– ...na wybrzeżu nie brakuje pięknych pejzaży, a weekendy będziesz miała przecież wolne.

Na Jehowę! Dopada mnie zniechęca, gdy odchodzę od zmysłów z rozpaczą, i szkicuje mi całe aleje przyszłego życia. Jak to możliwe, że jest jego siostrą, a nie ma bladego pojęcia, co się dzieje w jego głowie, w mojej głowie, w czyjejkolwiek głowie? O, Panie, dlaczego nie dałeś nam języków, abyśmy potrafili przemówić do cioci Alexandry?

– Cioteczko, łatwo jest mówić komuś, co ma robić...

– Jednak bardzo trudno sprawić, żeby naprawdę to zrobił. Z tego wynika większość problemów tego świata: ludzie nie robią, co im się

każe.

Zatem postanowione, na amen. Jean Louise zostanie w domu. Alexandra oznajmi to Atticusowi, czyniąc go najszcześliwszym z ludzi.

– Ciociu, ja tu nie zostanę, bo gdybym to zrobiła, Atticus byłby najsmutniejszym z ludzi... Ale nie martw się, on doskonale rozumie i z pewnością, jeśli tylko się postarasz, dzięki tobie zrozumie także całe Maycomb.

Nóż uderzył nagle i głęboko:

– Jean Louise, twoja obojętność była największą troską twojego brata aż do dnia, w którym umarł.

Wieczór był gorący, a na mogiłę padały z rzadka krople deszczu. Nigdy mi tego nie powiedziałeś. Nigdy nawet tak nie pomyślałeś. Gdybyś pomyślał, powiedziałbyś mi. Taki właśnie byłeś. Spoczywaj w spokoju, Jem.

Jestem obojętna, wcierała sól w ranę. Jestem samolubna. Egocentryczna. Za dużo jem i czuję się jak Modlitewnik Powszechny. Panie, wybac mi, że nie zrobiłam tego, co powinnam zrobić, i że robię to, czego nie powinnam – och, do diabła z tym.

Wróciła do Nowego Jorku z bólem sumienia, którego nawet Atticus nie umiał załagodzić.

Od tamtej pory minęły dwa lata, a Jean Louise już dawno przestała się przejmować swoją rzekomą obojętnością na uczucia bliźnich. Alexandra rozbroiła ją, decydując się na bodaj jedyny akt szczodrości w całym życiu, a mianowicie, gdy Atticus zachorował na artretyzm, postanowiła zamieszkać z nim na stałe. Jean Louise przyjęła tę decyzję z pokorą i wdzięcznością. Gdyby Atticus wiedział, co zaszło między jego siostrą a córką, pewnie nigdy by im nie wybaczył. Twierdził, że nikogo nie potrzebuje, a jednak był to świetny pomysł, ktoś przecież musiał mieć na niego oko, zapinać mu koszulę, gdy ręce odmawiały posłuszeństwa, prowadzić dom. Sześć miesięcy wcześniej wpadała jeszcze Calpurnia, ale była już tak sędziwa, że Atticus praktycznie ją wyręczał, aż wreszcie wróciła do murzyńskiej dzielnicy na zasłużony odpoczynek.

– Ja pozmywam, ciociu – powiedziała Jean Louise, gdy Alexandra sprzątała naczynia. Wstała i przeciągnęła się. – Spać się chce w taką pogodę.

– To tylko kilka filiżanek – odparła Alexandra. – Minuta roboty. Zostań tu, gdzie jesteś.

Jean Louise została. Rozejrzała się po salonie. Stare meble pasowały do nowego domu. Zerknęła w stronę jadalni. Na kredensie stał ciężki, srebrny dzbanek po matce, puchary oraz taca, lśniąc na tle bladozielonej ściany.

Niesamowity człowiek, pomyślała. Zamyka się rozdział w jego życiu, a Atticus burzy stary dom i wznosi nowy w innej części miasta. Nie potrafiłabym tak. W miejscu, gdzie kiedyś mieszkaliśmy, zbudowano lodziarnię. Ciekawe, kto ją prowadzi?

Poszła do kuchni.

– Co słyhać w Nowym Jorku? – spytała Alexandra. – Chcesz jeszcze filiżankę, zanim wyleję?

– Poproszę.

– A przy okazji – w poniedziałek rano wydaję kawkę na twoją cześć.

– Ciociu! – jęknęła Jean Louise. „Kawki” były instytucją towarzyską czysto maycombskiej natury. Urządzano je dla dziewcząt powracających do domu. Dziewczęta wystawiano na widok punktualnie o 10.30 w jednym tylko celu: aby kobiety w podobnym wieku, które pozostały w rodzinnym mieście, miały okazję przyjrzeć im się z bliska. W takich okolicznościach rzadko udawało się odnowić przyjaźnie z czasów szkolnych.

Jean Louise straciła kontakt z niemal wszystkimi ludźmi, z którymi dorastała i, prawdę mówiąc, niezbyt miała ochotę odkrywać ich na nowo. Dni spędzone w szkole uważała za najmniej warte zapamiętania, a czas studiów w kolegium dla kobiet wspominała bez sentymentu, niemal oschle. Niewiele rzeczy irytowało ją bardziej niż towarzystwo osób, których ulubioną grą było A Pamiętasz Tego czy Tamtego.

– Perspektywa „kawki” budzi we mnie nieskończoną grozę – wyznała grzecznie – ale chętnie przyjdę.

– Tak myślałam, moja droga.

Coś na kształt rozczulenia ogarnęło Jean Louise. Pomyślała, że nigdy nie zdoła należycie odwdziżyć się Alexandrze za zamieszkanie z Atticusem. Chwilami uważała się za jędzę tylko dlatego, że w ogóle pozwalała sobie na sarkazm wobec ciotki, która przecież, mimo pancernych gorsetów, miała w sobie pewną bezbronność, a także finezję, o jakiej jej bratanica nawet nie mogła marzyć. Ona naprawdę jest ostatnia w swoim rodzaju. Nie tknęły jej żadne wojny, choć przeżyła trzy. Nic nie mogło naruszyć jej świata, w którym dżentelmeni palili

tytoń w hamakach rozwieszonych na werandzie, a damy wachlowały się niespiesznie, pijąc chłodną wodę.

– Jak sobie radzi Hank?

– Znakomicie, skarbie. Wiedziałaś, że został Człowiekiem Roku według klubu Kiwanis? Dostał uroczy dyplom.

– Nie wiedziałam.

Tytuł Człowieka Roku według klubu Kiwanis był powojennym wymysłem mieszkańców Maycomb. Wybrany zwykle miał opinię Młodego Człowieka, Który Daleko Zajdzie.

– Atticus był z niego taki dumny. Jego zdaniem Henry jeszcze nie do końca przyswoił pojęcie umowy, ale z podatkami radzi sobie bardzo dobrze.

Jean Louise uśmiechnęła się szeroko. Jej ojciec twierdził, że potrzeba co najmniej pięciu lat nauki po studiach prawniczych, by poznać prawo: przez dwa lata należało zgłębiać ekonomię, przez dwa kolejne poznawać prawo stanowe Alabamy, a w piątym roku – powrócić do czytania Biblii i Szekspira. Dopiero wtedy prawnik mógł się czuć przygotowany na każde zawodowe wyzwanie.

– A co byś powiedziała, gdyby Hank miał zostać mężem twojej bratanicy?

Alexandra przestała wycierać ręce ścierką do naczyń, odwróciła się i spojrzała ostro na Jean Louise.

– Mówisz poważnie?

– Możliwe.

– Nie spiesz się, skarbie.

– Spieszyć się? Mam dwadzieścia sześć lat, ciociu, a Hanka znam od zawsze.

– Tak, ale...

– O co chodzi? Nie akceptujesz go?

– Nie w tym rzecz, tylko... Jean Louise, umawiać się z chłopakiem to jedno, a wyjść za niego – to zupełnie inna sprawa. Musisz brać pod uwagę wszystkie okoliczności. Na przykład pochodzenie Henry'ego...

– ...jest dokładnie takie, jak moje. Przecież dorastaliśmy razem.

– W jego rodzinie zdarzali się pijacy...

– Ciociu, pijacy zdarzają się w każdej rodzinie.

Alexandra wyprężyła się z dumą.

– Nie w rodzinie Finchów.

- Masz rację. My jesteśmy po prostu szurnięci.
- To nieprawda i dobrze o tym wiesz – odparowała Alexandra.
- Kuzynowi Joshui kompletnie odbiło, nie zapominaj.
- Jak wiesz, on tylko w połowie był z Finchów. Jean Louise, uwierz mi, nie ma w tym hrabstwie porządniejszego chłopaka niż Henry Clinton. Z pewnością będzie wspaniałym mężem dla jakiejś dziewczyny, ale...
 - ...ale twoim zdaniem syn Clintonów nie będzie dość dobry dla córki Finchów. Ciociu, skarbie, te rzeczy wyszły z mody w czasach rewolucji francuskiej – albo od niej się zaczęły... Nigdy nie pamiętam.
 - Nie to miałam na myśli. Rzecz w tym, że w takich sprawach musisz zachować ostrożność.

Jean Louise uśmiechała się, jednak wciąż trzymała gardę. Znowu się zaczyna, pomyślała. Na Boga, dlaczego w ogóle o tym wspomniałam. Miała ochotę się kopnąć. Ciocia Alexandra, gdyby od niej wszystko zależało, wybrałaby dorodne dziewczątko-cielátko z Wild Fork dla Henry'ego i szczerze pobłogosławiła ich dzieci. Tak widziała jego miejsce w życiu.

– Nie wiem, jak daleko można się posunąć z tą twoją ostrożnością, ciociu. Atticus byłby zachwycony, gdyby Hank oficjalnie stał się członkiem rodziny. Przecież wiesz, że cieszyłyby się do końca swoich dni.

Miała rację. Atticus Finch przyglądał się z dobroduszną bezstronnością polowaniu Henry'ego na jego córkę. Zapytany, udzielał mu nawet porad, choć absolutnie odmawiał zaangażowania w ten proces.

– Atticus jest mężczyzną. Niewiele wie o tych sprawach.

Jean Louise czuła, że zaczynają ją boleć zęby.

– O jakich sprawach, ciociu?

– Posłuchaj, Jean Louise, gdybyś miała córkę, czego byś dla niej pragnęła? Naturalnie wyłącznie tego, co najlepsze. Chyba nie zdajesz sobie z tego sprawy, podobnie jak większość ludzi w twoim wieku. Czy naprawdę chciałabyś usłyszeć, że twoja córka zamierza zostać żoną człowieka, którego ojciec najpierw porzucił rodzinę, a następnie zginął pijany gdzieś na torach kolejowych w Mobile? Cara Clinton była poczciwą kobietą, miała raczej smutne życie ze swym mężem i ja o tym wiem, ale ty myślisz o ślubie z owocem tego związku. To naprawdę poważna sprawa.

Poważna, a jakże. Jean Louise dostrzegła na ponurej twarzy błysk okularów w złotej oprawce, ocienionych lekko przekrzywioną peruką.

Widząc oskarżycielski ruch kościstego palca, odpowiedziała:

*– Trunek, panowie, stąd się problem bierze!
Chcecie mej rady – taką dam odpowiedź:
Twierdzi, że gdy pije, to biedaczkę pierze,
Spijmy go więc i sprawdźmy, panowie!*[\[7\]](#)

Alexandra nie wyglądała na rozbawioną, przeciwnie – straszliwie się zdenerwowała. Nie mogła pojąć, co też lęgnie się w głowach dzisiejszej młodzieży. Nie, tu nie chodziło o brak zrozumienia – wszak młodzi ludzie są tacy sami w każdym pokoleniu – ale o zarozumiałstwo i niechęć do poważnego traktowania nawet najpoważniejszych, życiowych spraw. To irytowało ją najmocniej. Jean Louise właśnie miała popełnić największy błąd swego życia, a stać ją było tylko na to, by bez zająknięcia wyrecytować dowcipne słowa, by z niej zwyczajnie drwić! Widać, że tej dziewczynie brakowało matki, pomyślała Alexandra. Atticus pozwolił jej dziczeć, odkąd skończyła dwa latka, i proszę, jakie zbiera żniwo. Trzeba ją ustawić i to ostro, zanim będzie za późno.

– Jean Louise – powiedziała – chciałabym ci przypomnieć kilka podstawowych prawd życia. Nie – dodała czym prędzej, zawczasu uciszając bratanicę ruchem ręki. – Z pewnością już znasz niektóre, ale innych, w swej przemądrzałości, jeszcze nie odkryłaś, więc ja, z Bożą pomocą, zaraz ci je wyłuszczę. Niby mieszkasz w wielkim mieście, a niewinna jesteś jak świeżo złożone jajo. Henry nie jest i nigdy nie będzie odpowiednią partią dla ciebie. My, Finchowie, nie zawieramy ślubów z dziećmi białej, wiejskiej hołoty, a tym właśnie byli rodzice Henry’ego od urodzenia aż do śmierci. Ani przez chwilę nie zasługiwali na lepsze miano. Henry jest tym, kim jest, wyłącznie dlatego, że twój ojciec prowadził go za rękę od małego, a potem przyszła wojna, dzięki której uzyskał wykształcenie[\[8\]](#). To porządny chłopak, ale z hołoty i tego się nie wyzbędzie.

Zauważyłaś może kiedyś, jak oblizuje palce, gdy zje ciastko? Hołota. I jak kaszle, nie zasłaniając ust? Hołota. Wiedziałaś, że podczas studiów wpakował pewną dziewczynę w kłopoty? Hołota. A może dostrzegłaś dłubanie w nosie, gdy mu się zdaje, że nikt nie patrzy? Hołota...

– To nie hołota z niego wyłazi, ciociu, tylko mężczyzna – odpowiedziała spokojnie Jean Louise, gotując się w środku. Muszę dać jej jeszcze parę

minut, niech to z siebie wyrzuci i odnajdzie dobry nastrój. Ona nigdy nie bywa wulgarna, a ja jestem bliska. Nigdy nie bywa pospolita, jak Hank i ja. Wiem, za kogo się uważa, ale jeśli nie odpuści, zaraz dam jej do myślenia...

– ...a do tego jeszcze zdaje mu się, że wyrobi sobie pozycję w tym mieście, bo sunie naprzód uczepiony płaszczą twego ojca. Skąd mu przyszło do głowy, że mógłby zająć miejsce Atticusa w kościele metodystów, że mógłby przejąć jego praktykę adwokacką, że ma prawo wozić się po kraju jego samochodem. Zachowuje się, jakby ten dom już był jego własnością, a co na to Atticus? Akceptuje. Akceptuje i jest zachwycony. Już całe Maycomb gada, że Henry Clinton wyciąga łapy po wszystko, co należy do twojego ojca...

Jean Louise przestała wodzić palcami po krawędzi mokrej filizanki stojącej na zlewie. Strąciła z palca kroplę wody i roztarła ją podszwą po linoleum.

– Ciotuniu – powiedziała najserdeczniej – może lepiej idź, nasikaj sobie do kapelusza?

Rytuał sobotnich wieczorów Jean Louise i jej ojca był nazbyt stary, by można naruszyć jego świętość. Gdy weszła do salonu, stanęła naprzeciwko jego fotela i chrząknęła cicho.

Atticus odłożył „Mobile Press” i spojrzał na córkę. Obróciła się bez pośpiechu.

– Wszystko pozapinane? Szwy pończoch proste? Nie mam koguta na głowie?

– Wszystko leży jak należy – odparł Atticus. – Skłęłaś ciotkę.

– Nieprawda.

– Mówiła, że tak.

– Byłam niegrzeczna, ale nie klęłam.

Gdy Jean Louise i jej brat byli dziećmi, Atticus raz na jakiś czas przypominał im o wyraźnej różnicy między prostą skatologią a bluźnierstwem. To pierwsze mógł znieść, lecz nie cierpiał, gdy w przekleństwa wciągano Boga. Nauka przyniosła skutek: Jean Louise i Jem nigdy nie przeklinali w jego obecności.

– Dopiekła mi, Atticusie.

– Niepotrzebnie jej pozwoliłaś. Co powiedziałaś?

Atticus skrzywił się, gdy usłyszał relację Jean Louise.

– Lepiej zawrzyj z nią pokój. Twoja ciotka czasem wskakuje na wysokiego konia, skarbie, ale to dobra kobieta...

– Wściekłam się, bo chodziło o Hanka.

Atticus jako mądry człowiek porzucił temat.

Dzwonek u drzwi Finchów był instrumentem muzycznym. Wprawne ucho potrafiło odgadnąć z jego brzmienia stan umysłu osoby, która go używała. Gdy Jean Louise usłyszała *di-ding*, wiedziała od razu, że to Henry i że jest szczęśliwy. Pobieгла do drzwi.

Gdy wszedł do holu, poczuła jego przyjemny, dyskretnie męski zapach, ale wspomnienie o rozmowie w kuchni sprawiło, że nie mogła się rozkoszować bukietem aromatów kremu do golenia, tytoniu, nowego samochodu i zakurzonych książek. Wiedziona impulsem, otoczyła go ramionami w talii i przytuliła głowę do jego piersi.

– Dlaczego? – zdziwił się i ucieszył Henry.

– Dla zasady generała-weterana wojen napoleońskich. Chodźmy już.

Henry zajrzał jeszcze do salonu.

– Nie wróci późno, panie Finch – obiecał.

Atticus pomachał mu gazetą.

Gdy wychodzili na spotkanie nocy, Jean Louise zastanawiała się, co zrobiłaby Alexandra, gdyby wiedziała, że jej bratanica jeszcze nigdy w swoim życiu nie była tak bliska małżeństwa z przedstawicielem białej hołoty.

[6] W *Zabić drozda* Alexandra miała syna Henry'ego i wnuka Francisa.

[7] Jest to fragment libretta operetki Gilberta i Sullivana *Trial by Jury* z 1875 r.

[8] Młodzi żołnierze – weterani wojenni otrzymywali państwowe stypendium, umożliwiające im ukończenie nawet szkoły wyższej.

CZĘŚĆ II

4

Miasto Maycomb w Alabamie zawdzięczało swe położenie przytomności umysłu niejakiego Sinkfielda, który u zarania dziejów hrabstwa prowadził lokal u styku dwóch świńskich szlaków – jedyną tawernę w całej okolicy. Gubernator William Wyatt Bibb, któremu leżał na sercu wewnętrzny spokój nowo utworzonej prowincji, wysłał w te strony ekipę mierniczych, by precyzyjnie wytyczyli środek hrabstwa i w tymże miejscu założyli jego stolicę. Gdyby nie śmiały ruch Sinkfielda potrafiącego dbać o swoje interesy, Maycomb leżałoby zapewne pośrodku Bagien Winstona, w miejscu zgoła nieciekawym.

Na szczęście powstało i rozrosło się promieniście właśnie wokół tawerny Sinkfielda, który pewnego wieczoru ugościł ich zacnym trunkiem, a następnie zachęcił, by sięgnęli po swoje mapy i wykresy. Tu dodali co nieco, tam ujęli, aż wreszcie środek hrabstwa znalazł się tam, gdzie życzył sobie ich gospodarz. Następnego dnia Sinkfield odprawił mierniczych do domu wraz z poprawionymi mapami oraz pięcioma kwartami bimbru w sakwach – cztery były dla nich, piąta dla gubernatora.

Jean Louise nigdy nie umiała rozstrzygnąć, czy manewr Sinkfielda rzeczywiście był mądry. Za jego sprawą młode miasto powstało dwadzieścia mil od jedynego szlaku komunikacyjnego tamtych czasów – koryta rzeki, a mieszkańcy południowego krańca hrabstwa potrzebowali dwóch dni, by dotrzeć do sklepu. W konsekwencji miasto praktycznie nie rozrastało się przez sto pięćdziesiąt lat, a jedynym powodem jego istnienia była funkcja siedziby lokalnych władz. O sukcesie Maycomb,

o tym, że nie stało się jeszcze jedną z wielu zapyziałych nor Alabamy, przesądziła wysoka podaż fachowców. Do Maycomb przyjeżdżało się, by dać sobie wyrwać ząb, by naprawić wóz, by pozwolić lekarzowi osłuchać serce, by zdeponować pieniądze, by wyleczyć muły, by zbawić swoją duszę, by zmienić umowę hipoteczną.

Nowi obywatele nieczęsto się tu osiedlali. Te same rodziny wiązały się między sobą siecią małżeństw, aż wreszcie wzajemne relacje między ich członkami stały się beznadziejnie zawile, a cała populacja zaczęła wyglądać dziwnie monotennie. Jean Louise aż do drugiej wojny światowej była spokrewniona przez krew lub małżeństwo z niemal wszystkimi mieszkańcami miasta, a wcale nie był to skrajny przypadek w porównaniu z tym, co działo się w północnej części hrabstwa. Istniała tam społeczność o nazwie Old Sarum, złożona z dwóch rodzin, z początku całkiem niespokrewnionych, za to nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności noszących podobne nazwiska. Cunninghamowie i Coninghamowie zaczęli jednak wstępować w związki małżeńskie, aż w końcu pisownia nazwisk stała się kwestią czysto akademicką, póki któryś z Cunninghamów nie zapragnął na przykład wdać się w spór prawny z Coninghamem na temat prawa do ziemi. Jean Louise tylko raz w życiu widziała, jak sędzia Taylor utknął w martwym punkcie, właśnie podczas jednej z takich rozpraw. Jeems Cunningham zeznał, że jego matka używała nazwiska Cunningham w niektórych aktach własności, ale tak naprawdę była z Coninghamów i w zasadzie miała kłopoty z pisaniem, jednak lubiła siadać na ganku i gapić się w dal. Po dziewięciu godzinach słuchania o dziwactwach mieszkańców Old Sarum sędzia Taylor oddalił powództwo pod zarzutem „bzdurności sprawy” i dodał, że, na Boga, ma nadzieję, iż obie strony są usatysfakcjonowane możliwością publicznego wyżalenia się. I rzeczywiście były. Od początku właśnie o to im chodziło.

Dopiero w 1935 roku, dzięki uprzejmości F.D. Roosevelta, Maycomb doczekało się pierwszego skrawka asfaltu, ale, co ciekawe, nie na ulicy. Z jakiegoś powodu prezydent uznał, że należy poprawić stan placu łączącego frontowe drzwi szkoły podstawowej z dwiema gruntowymi drogami biegnącymi wzdłuż granic posesji. Poprawa była znacząca, głównie w dziedzinie zdzierania kolan do krwi oraz skuteczności rozłupywania dziecięcych czaszek o asfalt. Zaowocowała także pamiętną proklamacją dyrektora szkoły o tym, że na dziedzińcu nie wolno już grać

w węża – tak w sercach dzieciaków z pokolenia Jean Louise zasiano ziarno szacunku do praw stanowych.

Druga wojna światowa wiele zmieniła w Maycomb – chłopcy wracali z głowami pełnymi dziwaczych pomysłów, dotyczących głównie zbijania majątku i nadrabiania straconego czasu. Zaczęli malować domy swych rodziców na zabójcze kolory, pobielili sklepy w całym Maycomb i pozawieszali na nich neony, na dawnych poletkach kukurydzy i sosnowych zagajnikach pobudowali własne cztery ściany z czerwonej cegły, słowem – zrujnowali dawny wizerunek miasta. Ulice zyskały nie tylko nowe nawierzchnie, ale i nazwy (na przykład Adeline Avenue, na cześć panny Adeline Clay). Starsi mieszkańcy nigdy nie przywykli do ich stosowania, w zupełności wystarczały im koordynaty w rodzaju „ta ulica koło domu Tompkinsów”. Po wojnie młodzi ludzie z farm dzierżawionych w całym hrabstwie przybyli tłumnie do Maycomb, wzniesli drewniane domki wielkości pudełka zapalek i pozakładali rodziny. Nikt tak naprawdę nie wiedział, z czego żyją, ale jednak żyli – pewnie staliby się nową warstwą społeczną w stolicy hrabstwa, gdyby reszta miasta raczyła dostrzec ich istnienie.

Lecz choć wygląd Maycomb uległ zmianie, te same serca były wciąż w nowych domostwach, nad robotami kuchennymi Mixmaster i przed telewizorami. Kto chciał, mógł sobie bielić chałupę i wieszać neony, ale stare, solidne bale trzymały się zdrowo pod dodatkowym balastem.

– Nie podoba ci się tu, prawda? – spytał Henry. – Widziałem twoją minę, gdy tylko przekroczyłaś próg.

– Konserwatywny opór przed zmianami, to wszystko – odpowiedziała Jean Louise z ustami pełnymi smażonych krewetek. Siedzieli w restauracji hotelu Maycomb na chromowanych krzesłach, przy stoliku dla dwojga. Klimatyzator uparcie zaznaczał swoją obecność ponurym pomrukiem. – Podoba mi się w zasadzie tylko to, że przestało śmierdzieć.

Długi stół zastawiony mnóstwem talerzy, zapach stęchlizny starego pokoju i gorący tłuszcz w kuchni...

– Hank, co to było Wrzący Tłuszcz w Kuchni?

– Hmm?

– Zdaje się, że była taka gra.

– Chyba chodzi ci o Gorący Groch. Trzeba było skakać przez skakankę, która kręciła się coraz szybciej, podcinając nogi.

– Nie, nie. To było coś podobnego do berka.

Nie mogła sobie przypomnieć. Pewnie przypomnę sobie na łożu śmierci, pomyślała, tymczasem jednak pamiętała jedynie mignięcie dżinsowego rękawa, szybki okrzyk: „Wrzącytłuszczkuchni!”. Do kogo należał ów rękaw? I co się z tym kimś stało? Może gnieździł się teraz z rodziną w jednym z tych nowych, małych domków. Miała dziwne wrażenie, że czas ją ominął.

– Hank, pojedźmy nad rzekę – powiedziała.

– Chyba nie sądziłaś, że nie pojedziemy? – odparł z uśmiechem. Nie bardzo wiedział, dlaczego tak jest, ale Jean Louise najbardziej przypominała sobie z dawnych lat właśnie wtedy, gdy odwiedzali Finch’s Landing. Może coś było w tamtejszym powietrzu... – Jesteś jak doktor Jekyll i pan Hyde – dodał.

– Oglądasz za dużo telewizji.

– Czasem mi się zdaje, że mam cię, o tak – Henry zacisnął pięść. – A kiedy już pomyślę, że jesteś moja, okazuje się, że znów jesteś daleko.

Jean Louise uniosła brwi.

– Panie Clinton, jeśli nie ma pan nic przeciwko, kobieta światowa podzieli się z panem pewnym spostrzeżeniem: widać panu rękę.

– Powiedz, jak to jest?

Uśmiechnęła się.

– Naprawdę nie wiesz, jak się łapie kobietę, skarbie? – spytała, udając, że gładzi szczecinę na jego głowie, a potem zmarszczyła czoło i dodała: – Kobiety lubią mężczyzn władczych i trzymających dystans, o ile wiesz, na czym to polega. Musisz sprawić, by czuły się bezradne, zwłaszcza wtedy, gdy doskonale zdajesz sobie sprawę, że z łatwością mogłyby dźwignąć tę wiązkę chrustu. Nigdy nie okazuj zwątpienia w ich obecności i za nic w świecie nie mów, że ich nie rozumiesz.

– Słusznie, skarbie – zgodził się Henry. – Dyskutowałbym jedynie z ostatnią sugestią. Zdawało mi się, że kobiety lubią, gdy się je uważa za dziwne, tajemnicze.

– Nie, one tylko lubią sprawiać takie wrażenie, ale gdy już przebijesz puszyste boa, którymi się otaczają, przekonasz się, że wszystkie kobiety tego świata pragną mężczyzny silnego, czytającego w nich jak w otwartej książce, który będzie nie tylko kochankiem, ale i tym, co „strzeże Izraela”. Głupie, co?

– Potrzebny im zatem ojciec, a nie mąż.

– Na to mniej więcej wychodzi – przytaknęła. – W książkach też o tym piszą.

– Jesteś dziś wieczór prawdziwą krynicą mądrości – zauważył Henry. – Skąd to wszystko bierzesz?

– To zasługa grzesznego żywota w Nowym Jorku – odpowiedziała. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. – Dowiedziałam się wiele, obserwując eleganckich młodożenców z Madison Avenue, uprawiają oni coś w rodzaju plemiennego fandango, ale myślę, że wszędzie jest podobnie. Zaczyna się od tego, że żony śmiertelnie się nudzą, bo ich mężowie są strudzeni zarabianiem pieniędzy i przestają zwracać na nie uwagę. Lecz gdy żony zaczynają się awanturować, mężczyźni, zamiast próbować zrozumieć przyczynę, wolą wypłakać się na ramieniu innej kobiety. W końcu mają dość gadania o sobie i wracają do żon. Przez chwilę znowu jest cudownie, a potem mężowie mają dość, żony zaczynają wrzeszczeć i procedura się powtarza. Mężczyźni tego stulecia zmienili Tę Drugą Kobietę w kozetkę psychiatry, co jest zresztą znacznie tańszym rozwiązaniem.

Henry patrzył jej w oczy.

– W życiu nie słyszałem od ciebie równie cynicznych słów – powiedział. – Co się z tobą dzieje?

Jean Louise zatrzepotała powiekami.

– Przepraszam, skarbie – zgasiła papierosa. – Chodzi o to, że strasznie się boję, czy nie wyjdę za niewłaściwego mężczyznę. Niewłaściwego dla mnie. Nie różnię się niczym od innych kobiet, więc niewłaściwy mężczyzna uczyniłby ze mnie rozwrzeszczaną jędzę w rekordowym czasie.

– Dlaczego uważasz, że zwiążesz się z niewłaściwym mężczyzną? Chyba znasz mnie dość długo, aby wiedzieć, jakim jestem wybitnym żonobijcą?

Czarna dłoń położyła na tacy rachunek. Wyglądała znajomo, więc Jean Louise zadarła głowę.

– Cześć, Albercie – powiedziała. – Sprawili ci białą marynarkę.

– Zgadza się, panienko Skaut – odparł Albert. – Jak tam w Nowym Jorku?

– W sam raz – odpowiedziała, zastanawiając się, kto jeszcze w całym Maycomb pamięta Skaut Finch, małąletnią desperatkę i piekielnicę jakich mało. Zapewne nikt, może prócz wujka Jacka, który czasem

bezlitośnie upokarzał ją w towarzystwie, wspominając jej co ciekawsze wyczyny z dzieciństwa. Miała się z nim zobaczyć nazajutrz, w kościele, po południu zaś zamierzała złożyć mu dłuższą wizytę. Wujek Jack był jedną z nieustających atrakcji Maycomb.

– Jak to jest – odezwał się z namysłem Henry – że po kolacji nigdy nie wypijasz więcej niż połowę drugiej filiżanki kawy?

Zaskoczona, spojrzała w dół na swą filiżankę. Zawsze zawstydzaly ją uwagi na temat jej osobliwych przyzwyczajzeń, nawet gdy wygłaszał je Henry. Brawo, Hank, pomyślała, spostrzegawczy jesteś. Tylko dlaczego czekałeś piętnaście lat, żeby mi o tym powiedzieć?

5

Wsiadając do samochodu, mocno uderzyła głową o krawędź dachu.

– Szlag by to! Dlaczego nie budują takich, do których dałoby się normalnie wsiąść?

Rozcierała czoło tak długo, aż odzyskała ostrość widzenia.

– Jesteś cała, skarbie?

– Tak. Nic mi nie jest.

Henry delikatnie zamknął drzwi, obszedł wóz i usiadł za kierownicą.

– Za długo już żyjesz w wielkim mieście – powiedział. – Tam pewnie nigdy nie wsiadasz do samochodu?

– Nie. Jak myślisz, kiedy zaczną produkować wysokie na stopę? Może w przyszłym roku będziemy podróżować, leżąc plackiem.

– Wystrzeliwani z armaty – dorzucił Henry. – Z Maycomb do Mobile w trzy minuty.

– Naprawdę wolałabym starego, kanciastego buicka. Pamiętasz je jeszcze? W takim siedziało się przynajmniej pięć stóp nad ziemią.

– A pamiętasz, jak Jem wypadł z samochodu? – spytał Henry.

Roześmiała się.

– Dręczyłam go tym całym tygodniami: „Kto nie umie dojechać do Wiru Barkera, nie wypadając z samochodu, ten zmokły kurczak!”.

Gdzieś w mglistej przeszłości Atticus posiadał starego tourera z płóciennym dachem. Pewnego razu, gdy wiózł Jema, Henry’ego i Jean Louise na plażę, wóz podskoczył na wyjątkowo paskudnym wyboju i Jem wyleciał jak z procy. Atticus niczego nie zauważył i spokojnie dojechali na Wir Barkera, ponieważ Jean Louise ani myślała poinformować ojca,

że jej brat zniknął. Postarała się też, by nie uczynił tego Henry, zrećnie wyłamując mu palec. Kiedy stanęli nad brzegiem strumienia, Atticus odwrócił się, wołając radośnie: „Wysiadka!”, lecz jego uśmiech zaraz zgasł. „Gdzie Jem?” Jean Louise pospieszyła z odpowiedzią, że na pewno lada chwila dołączy. I rzeczywiście, nadbiegł po chwili, spocony i zdyszany po przymusowym sprincie. Bez słowa skoczył prosto do wody, nie zdjawszy nawet ubrania. Parę sekund później z nurtu wychynęło jego żądne mordy oblicze. „Właż do wody, Skaucie! Ciebie też wyzywam, Hank!” Naturalnie przyjęli wyzwanie. Jean Louise miała wrażenie, że Jem zadusi ją wtedy na dobre, ale jednak jej darował – w końcu Atticus patrzył.

– Postawili tartak tuż przy Wirze – powiedział Henry. – Już nie można tam pływać.

Nacisnął klakson, gdy zajechali pod okienko E-Lite Eat Shopu.

– Daj nam po zestawie, proszę, Bill – zawołał do chłopaka, który pojawił się na wezwanie.

W Maycomb albo się piło, albo nie. Kto pił, ten chował się gdzieś za garażem, wyciągał pintę z za pazuchy i osuszał do dna. Kto nie pił, ten po zmroku prosił o zestaw w E-Lite Eat Shopie. Nigdy nie słyszano, by ktoś w tych stronach pijał przed kolacją albo po niej, czy to w domu, czy z sąsiadem. To bowiem nazywałoby się Piciem w Towarzystwie, a kto Pił w Towarzystwie, z pewnością nie był obywatelem z najwyższej półki. Jako że wszyscy w Maycomb uważali się za obywateli z najwyższej półki, Picie w Towarzystwie nie istniało.

– Dla mnie ulgowo, skarbie – powiedziała Jean Louise. – Zabarwisz wodę i starczy.

– Jeszcze się nie nauczyłaś? – spytał Henry, sięgając pod fotel po brązową butelkę whiskey Seagram’s Seven.

– Nie lubię mocnych drinków – odrzekła.

Henry zabarwił wodę w kartonowym kubku. Dla siebie wybrał bardziej męskie proporcje, zamieszał palcem i umieścił flaszkę między kolanami, by ją zakręcić. Zaraz potem schował butelkę pod siedzenie i uruchomił silnik.

– No to jazda – mruknął.

Szum opon na asfalcie sprawił, że poczuła się senna. Lubiła Henry’ego Clintona także za to, że pozwalał jej milczeć, gdy miała na to ochotę. Nie musiała go zabawiać.

Henry nigdy jej nie nagabywał, kiedy była w takim nastroju. Łagodny z natury, wiedział, jak bardzo Jean Louise ceni jego cierpliwość. Ona z kolei nie wiedziała, że tej zalety nauczył się od jej ojca. „Spokojnie, synu” – pouczył go Atticus podczas jednej z niewielu rozmów o córce. „Nie naciskaj jej. Niech działa we własnym tempie. Bo jeśli naciśniesz, łatwiej ci będzie żyć z dowolnym mułem z tego hrabstwa”.

Rocznik Henry’ego Clintona podczas studiów prawniczych składał się z bystrych, ponurych, młodych weteranów wojennych. Konkurencja była ostra, ale Henry wiedział, co znaczy ciężka praca. Radził sobie znakomicie, lecz jeśli chodzi o praktyczne umiejętności, nabył ich raczej niewiele. Atticus miał rację, gdy twierdził, że dostrzega tylko jedną korzyść ze studiów uniwersyteckich Henry’ego, a mianowicie miał okazję zaprzyjaźnić się z przyszłymi politykami Alabamy, demagogami i mężami stanu. O tym, czym naprawdę jest prawo, przekonać się można, jego zdaniem, wyłącznie poprzez praktykę. Prawo precedensowe Alabamy, choćby w zakresie pism procesowych, było dziedziną tak eterycznej natury, że Henry zdołał zaliczyć ten przedmiot, nauczywszy się podręcznika na pamięć. Zgorzkniały człowieczek, który go nauczał, to jedyny profesor na całej uczelni mający dość odwagi, by się tego podjąć, lecz nawet on dostrzegał zagrożenie płynące z niedoskonałego zrozumienia przedmiotu. „Panie Clinton” – rzekł, gdy Henry ośmielił się zapytać o wyjątkowo wieloznaczne zadanie egzaminacyjne. „Jak dla mnie, może pan sobie pisać nawet i do sądnego dnia, ale jeśli pańskie odpowiedzi nie będą współgrały z moimi, będą błędne. Błędne, mój panie”. Trudno się dziwić, że gdy Henry zaczynał terminować, Atticus tylko zamieszał mu w głowie, wyjaśniając: „Pismo procesowe to nic innego niż zapisanie na papierze tego, co chciałbyś powiedzieć”. Cierpliwie i nieinwazyjnie Atticus uczył go wszystkiego, co wiedział o swym zawodzie. I tylko czasem Henry zastanawiał się, czy będzie tak starym człowiekiem jak jego mentor, zanim naprawdę zgłębi prawo. *Tom, Tom, syn kominiarza*. Czy to wczesny przypadek prawa pierwokupu? Nie, raczej precedensowa sprawa o znaleźne^[9]: kto wchodzi w posiadanie, ten jest w prawie wobec wszystkich, poza rzeczywistym właścicielem. Chłopak znalazł broszkę...

Henry spojrzał na Jean Louise. Drzemała.

Tak, bez wątplenia był jej rzeczywistym właścicielem. Od czasu, gdy obrzuciła go kamieniami, gdy omal nie urwał jej głowy, bawiąc się

prochem, gdy wskoczyła mu znieńacka na plecy i urządziła rodeo, założywszy nelsona, gdy zachorowała pewnego lata i w gorączce wzywała Jema, Dilla i jego... Henry nie miał pojęcia, co się stało z Dilem. Jean Louise pewnie wiedziała, utrzymywała z nim kontakt.

– Skarbie, gdzie jest Dill?

Jean Louise otworzyła oczy.

– Ostatnim razem odzywał się z Włoch.

Drgnęła. Charles Baker Harris. Dill, jej serdeczny przyjaciel. Ziewnęła, przyglądając się, jak maska samochodu pożera białą linię wymalowaną na szosie.

– Gdzie jesteśmy?

– Jeszcze dziesięć mil.

– Ale już czuć rzekę – zauważyła.

– Chyba jesteś półkrwi aligatorem – odparł Henry. – Ja nic nie czuję.

– Dwupalczasty Tom jeszcze żyje?

Dwupalczasty Tom mieszkał ponoć w pobliżu rzeki i był geniuszem: kopał tunele pod Maycomb i nocą podjadał kurczaki z zagród; raz dał się tropić od Demopolis po Tensas. I był tak stary jak samo hrabstwo.

– Może pokaże nam się tej nocy.

– Dlaczego pomyślałeś o Dillu? – spytała.

– Sam nie wiem. Pomyślałem i już.

– Nigdy go nie lubiłeś, prawda?

– Byłem o niego zazdrosny – odpowiedział z uśmiechem Henry. – Przez całe lato miał ciebie i Jema wyłącznie dla siebie, a ja wracałem do domu, gdy tylko wybrzmiał ostatni dzwonek. Tam nie miałem nikogo, z kim mógłbym się powyglupiać.

Milczała. Czas przystanął, zmienił bieg i leniwie ruszył wstecz. Jakimś cudem wtedy zawsze było lato. Hank wracał do matki i nie pokazywał się, a Jem był dla swej młodszej siostry jedynym towarzystwem. Miał jedenaście lat, dni były długie, a rytm wydarzeń ustalony.

Noce spędzali na werandzie, bo tam było najchłodniej. Sypiali tam od początku maja do końca września. Pewnego ranka Jem, który czytał od świtu, podsunął swoją futbolową gazetkę pod nos siostry, wskazał na zdjęcie i spytał:

– Skaucie, kto to jest?

– Johnny Mack Brown. Chodź, pobawimy się w historyjkę.

Jem potrząsnął gazetką.

– A to kto?

– Ty.

– Dobra. Zawołaj Dilla.

Dilla jednak nie trzeba było wołać. Coś zatrzęsło się w kapuście porastającej ogród panny Rachel, jęknęła siatka ogrodzenia i już był z nimi. Jego osobliwość polegała na tym, że pochodził z Meridian w Mississippi i posiadał wielką wiedzę o świecie. Każde lato spędzał w Maycomb u swojej cioci-babci, sąsiadki Finchów. Był niski, pękaty i jasnowłosy, zaś jego oblicze łączyło w sobie niewinność anioła oraz przebiegłość gronostaja. Był o rok starszy od Jean Louise, za to o głowę niższy.

– Hej – powiedział Dill. – Dziś bawimy się w Tarzana. Ja będę Tarzanem.

– Nie możesz być Tarzanem – zaproponował Jem.

– Ja będę Jane – wtrąciła Skaut.

– O nie, nie będę znowu małpą – zaparł się Dill. – Ja zawsze jestem małpą.

– Wolisz zagrać Jane? – spytał Jem, a potem przeciągnął się, włożył spodnie i dodał: – Pobawmy się lepiej w Toma Swifta. Ja będę Tomem.

– A ja Nedem – odpowiedzieli mu równocześnie.

– Nie, nie będziesz Nedem – dodała prędko Jean Louise, zwracając się do Dilla.

Dill poczerwieniał na twarzy.

– Skaucie, ty zawsze dostajesz drugą najlepszą rolę, a ja nigdy!

– I chciałbyś jakoś temu zaradzić? – spytała potulnie, zaciskając pięści.

– Dill, możesz być panem Damonem – zaproponował Jem. – Jest zabawny, a na koniec wszystkich ratuje. I wszystko błogosławi.

– Błogosławiona moja polisa ubezpieczeniowa – zaintonował natychmiast Dill, zakładając kciuki za nieistniejące szelki. – No dobra.

– Tylko co zagramy? – spytał Jem. – Jego Oceaniczny Port Lotniczy czy Jego Maszynę Latającą?

– Tego mam już dość – oświadczyła Skaut. – Wymyśl coś nowego.

– Dobra. Skaut, ty jesteś Ned Newton. Dill, grasz pana Damona. Pewnego dnia Tom siedzi w swoim laboratorium i pracuje nad maszyną, która potrafi widzieć przez ceglany mur. Wchodzi facet i mówi: „Pan Swift?”. Ja gram Toma, więc odpowiadam: „Słucham pana”.

– Przez ceglany mur nie można nic zobaczyć – wtrącił Dill.

- Ta maszyna może. Tak czy inaczej, facet mówi: „Pan Swift?”.
- Jem – wtrąciła tym razem Jean Louise – jeśli ma występować ten facet, to potrzebujemy czwartego. Mam pobiec po Bennetta?
- Nie, facet długo nie pożyje, więc ja go zagram. Musisz zacząć tę historię, Skaut...

Rola faceta rzeczywiście była krótka: poinformował młodego wynalazcę, że ważny profesor zaginął przed trzydziestu laty w Kongu Belgijskim i najwyższy czas, by ktoś spróbował go stamtąd wyciągnąć. Dlatego, naturalnie, poprosił o pomoc Toma Swifta i jego przyjaciół, zaś Tom bardzo się ucieszył z nowej przygody.

Razem wsiedli do Jego Latającej Machiny, zbudowanej z szerokich desek, które dawno temu przybili do najgrubszych konarów miodli.

- Strasznie tu w górze gorąco – powiedział Dill. – Ho, ho, ho.
- Co? – zdziwił się Jem.
- Mówię, że strasznie tu gorąco, bo blisko słońca. Błogosławiona moja długa bielizna.
- Nie możesz tak mówić, Dill. Im wyżej się leci, tym jest zimniej.
- Moim zdaniem goręcej.
- Wcale nie. Wysoko na niebie jest zimniej, bo powietrze jest rzadsze. Skaucie, teraz ty: „Tomie, dokąd lecimy?”.
- Zdawało mi się, że do Belgii – wtrącił Dill.
- Musisz mnie spytać, dokąd lecimy, bo facet rozmawiał tylko ze mną, a ja wam nic nie przekazałem, rozumiecie?

Rozumieli.

Gdy Jem już wyjaśnił im naturę misji, Dill spytał:

- Skoro zaginął dawno temu, skąd wiadomo, że jeszcze żyje?
- Facet mówił – odparł Jem – że dostał wiadomość ze Złotego Wybrzeża: profesor Wiggins trafił...
- Skoro przysłała wiadomości, to chyba nie zaginął? – spytała Skaut.
- ...do nieznanego plemienia łowców głów – kontynuował Jem, ignorując wyzwanie. – Ned, masz swój karabin z rentgenowskim celownikiem? Powiedz: „Tak”.
- Tak, Tom – odpowiedziała.
- Panie Damon, zapakował pan dość zapasów do Machiny Latającej? Panie Damon?!

Dill ocknął się z zamyślenia.

- Na mój błogosławiony wałek do ciasta, tak jest, Tomie!

Zapakowałem. Ho, ho, ho.

Po perfekcyjnym lądowaniu na przedmieściu Kapsztadu Skaut poskarżyła się Jemowi, że od dziesięciu minut nie miała żadnej kwestii i jeśli to się zaraz nie zmieni, rezygnuje z zabawy.

– Dobra, Skaucie. Mówisz: „Tom, nie ma czasu do stracenia. Chodźmy prosto do dżungli”.

Tak też uczyniła.

Pomaszerowali przez chaszczę na tyłach domu, wyrębiając sobie drogę wśród listowia i od czasu do czasu jednym strzałem kładąc zbląkanego słonia albo walcząc z plemieniem kanibali. Jem oczywiście prowadził.

– Kryć się! – krzyczał co jakiś czas, a wtedy padali na brzuchy i leżeli na ciepłym piasku. Gdy ratowali pana Damona, który wpadł do Wodospadu Wiktorii, Skaut stała nadąsana, bo brat kazał jej tylko trzymać koniec liny, na której opuszczał się z urwiska.

– Naprzód, jesteśmy prawie u celu! – zawołał w końcu Jem.

Pognali do garażu, czyli do wioski łowców głów. Jem padł na kolana i zaczął naśladować zaklinacza węży.

– Co ty wyrabiasz? – spytała Jean Louise.

– Ciii! Składam ofiarę.

– A wyglądasz mi na chorego – ocenił Dill. – Co to jest ta ofiara?

– Trzeba ją złożyć, żeby łowcy głów trzymali się z daleka. Patrzcie, tam są! – Jem zabuczał niskim głosem, a potem zaintonował coś jakby „buja-buja-buja”. W garażu zaroilo się od dzikusów.

Dill błysnął białkami oczu w dość obrzydliwy sposób, zeszywniał i padł na ziemię.

– Załatwili pana Damona! – wykrzyknął Jem.

Razem zanieśli sztywnego jak słup Dilla na słońce. Zebrali trochę liści figowca i ułożyli je na nim rzędem, od głowy aż po stopy.

– Myślisz, że to mu pomoże, Tom? – spytała Skaut.

– Możliwe. Jeszcze nie wiem. Panie Damon? Panie Damon, niech pan się ocknie! – Jem palnął leżącego w czoło.

Dill powstał, zrzucając z siebie liście.

– Przestań już, Jemie Finchu – rzucił ostrzegawczo, ale zaraz przyjął znowu pozycję horyzontalną. – Długo tu nie zostanę. Gorąco mi.

Jem wykonał jeszcze kilka tajemniczych, kapłańskich gestów nad jego głową, po czym rzekł:

– Spójrz tylko, Ned. Już się budzi.

Dill zatrzepotał powiekami, wstał i potoczył wzrokiem po podwórzu.

– Gdzie ja jestem?

– Tutaj, Dill – odpowiedziała lekko zaniepokojona Jean Louise.

Jem się zirytował.

– Przecież wiesz, że tak nie wolno. Powiedz: „Panie Damon, zaginął pan w Kongu Belgijskim i rzucono na pana urok. Jestem Ned, a to jest Tom”.

– To my też zaginęliśmy? – zdziwił się Dill.

– Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteście, gdy rzucono na ciebie urok, ale teraz już wiemy – wyjaśnił Jem. – Profesor Wiggins czeka związany w tamtej chacie, musimy go uwolnić...

I prawdopodobnie został tam na zawsze, ponieważ w tym momencie Calpurnia złamała wszelkie zaklęcia. Wyjrawszy zza progu, wrzasnęła:

– Chcecie lemoniady? Jest w pół do jedenastej. Lepiej chodźcie do domu i napijcie się, zanim się żywcem ugotujecie na tym słońcu!

Tuż za drzwiami wiodącymi na werandę postawiła pękaty dzbanek i trzy szklanki, zyskując tym samym gwarancję, że pozostaną w cieniu przynajmniej pięć minut. W wakacje codziennie dostawali przed południem lemoniadę. Gdy już wypili po trzy szklanki każdy, poczuli, że przez resztę ranka czeka ich wyłącznie nuda.

– Może pójdziemy na pastwisko Dobbsa? – zaproponował Dill.

Nie.

– To może zrobimy latawiec? – powiedziała Skaut. – Moglibyśmy wziąć trochę mąki od Calpurnii...

– Nie da się puszczać latawca latem – oznajmił Jem. – Przecież w ogóle nie ma wiatru.

Termometr na werandzie wskazywał dziewięćdziesiąt dwa stopnie^[10], garaż zdawał się falować w oddali, a obie znajdujące się obok olbrzymie miodle stały w absolutnym bezruchu.

– Wiem, co zrobimy – odezwał się nagle Dill. – Odrodzenie.

Spojrzeli po sobie. Tak, to była myśl.

W najgorętsze dni lata w Maycomb odbywał się co najmniej jeden cykl spotkań rekolekcyjnych zwany odrodzeniem. Zazwyczaj wierni trzech miejscowych Kościołów – metodyści, baptyści i prezbiterianie – łączyli siły, by posłuchać kazań jednego wizytującego pastora, lecz bywało i tak, że pojawiał się konflikt, choćby o wynagrodzenie dla duchownego. Wtedy każda kongregacja przeprowadzała odrodzenie na własną rękę,

z otwartym zaproszeniem dla wszystkich. To oznaczało, że zdarzały się takie lata, kiedy miejscową społeczność poddawano duchowej odnowie przez trzy tygodnie w ciągu jednych wakacji. Czas odrodzenia był czasem wojny: wojny z grzechem, coca-colą, filmem i niedzielnymi polowaniami; wojny z coraz silniejszą wśród kobiet tendencją do malowania się i palenia papierosów w miejscach publicznych; wojny z piciem whiskey, w ramach której co roku przynajmniej pięćdziesięcioro dzieci stawało przed ołtarzem, by uroczyście przysiąc, że nie będą pić, palić ani przeklinać aż do dwudziestego pierwszego roku życia; wojny z czymś tak mglistym, że Jean Louise właściwie nie miała pojęcia, co to takiego, ale na szczęście nie trzeba było w tej sprawie przysięgać; i wreszcie wojny pomiędzy damami o to, która z nich najzaciej ugości kaznodzieję. W tygodniu odrodzenia także i stali duszpasterze Maycomb mogli liczyć na darmowe posiłki u parafian, co zdaniem bardziej cynicznych osobników stanowiło główny powód, dla którego tak często Kościoły organizowały oddzielne uroczystości – któż pogardziłby dodatkowymi dwoma tygodniami gościny? To jednak, naturalnie, było kłamstwo.

W tym tygodniu Jem, Dill i Skaut spędzili już trzy wieczory w dziecięcym kąciuku kościoła baptystów (bo właśnie baptyści byli tym razem gospodarzami odrodzenia), przysłuchując się kazaniom wielbnego Jamesa Edwarda Mooreheada, znanego mówcy z północnej Georgii. Przynajmniej to właśnie kazano im robić. Tak naprawdę niewiele rozumieli z tych nauk, poza pewnymi spostrzeżeniami na temat piekła. Dzięki nim w umyśle Jean Louise utrwalił się na zawsze następujący wizerunek: piekło to jezioro ognia dokładnie wielkości Maycomb w Alabamie, otoczone ceglana ścianą o wysokości dwustu stóp. Szatan spędza czas, przerzucając grzeszników widłami za tenże mur, gdzie w bulionie z płynnej siarki gotują się przez całą wieczność.

Wielebny Moorehead był wysokim, smutnym, lekko przygarbionym człowiekiem i miał zwyczaj nadawać swym kazaniom przejmujące tytuły typu: „Czy porozmawiałbyś z Jezusem, gdybyś go spotkał na ulicy?”. Duchowny wątpił, by tak się stało, nawet gdyby słuchacze wyrazili wolę dialogu, bowiem Jezus najprawdopodobniej posługiwał się językiem aramejskim. Drugiego wieczoru wielbny Moorehead wygłosił kazanie zatytułowane „Owoce grzechu”. W tym samym czasie w miejscowym kinie można było zobaczyć film pod tym samym tytułem (dozwolony od

lat szesnastu), w związku z czym mieszkańcy Maycomb stawili się tłumnie w świątyni, żywiąc przekonanie, że nauczanie tego wieczoru dotyczyć będzie właśnie filmu. Tak się jednak nie stało. Wielebny Moorehead przez trzy kwadranse dzielił włos na czworo, rozważając głównie gramatyczną poprawność własnego tekstu. Głębia jego przemyśleń była tak wielka, że zagubił się w niej nawet Atticus Finch.

Jem, Dill i Skaut pewnie zanudziliby się na śmierć, gdyby nie pewien szczególny talent wielebnego Mooreheada, który niezmiernie ich fascynował. Wielebny był bowiem „świstaczem”. Miał szparę między przednimi zębami (Dill przysięgał, że to zęby sztuczne, acz bardzo realistycznie wykonane), przez którą emitował porażająco donośny poświst za każdym razem, gdy wymawiał słowo zawierające co najmniej jedno „s”. Sakrament. Jezus. Chrystus. Smutek. Wskrzeszenie. Sukces. To były słowa, na które czekali każdego wieczoru, a ich uwagę i cierpliwość los nagradzał w dwójnasób. Po pierwsze, w tamtych czasach żaden pastor nie mógł wygłosić kazania, nie używając choćby jednego z tych słów, a gdy już to zrobił – co zdarzało się zwykle co najmniej siedem razy – ogarniało ich rozbawienie, które tłumili w sobie z największym trudem. Po drugie, zasłuchani bez reszty w słowa kaznodziei, Jem, Dill i Skaut cieszyli się sławą najgrzeczniejszych dzieci w całym zgromadzeniu.

Trzeciego wieczoru odrodzenia, gdy wszyscy troje wystąpili, by przyjąć Chrystusa jako swego Zbawiciela, pochylili głowy i twardo wpatrywali się w posadzkę, gdyż wielebny Moorehead, złożywszy dłonie nad ich głowami, wygłosił między innymi słowa: „Błogosławiony, który nie siada w kole szyderców”. Dill nie wytrzymał i roześmiał się w głos, a wtedy duchowny szepnął do Jema: „Zabierz to dziecko na świeże powietrze. Za wiele emocji”.

– Wiesz co? – rzekł Jem. – Możemy urządzić odrodzenie na twoim podwórku, przy sadzawce.

Dill uznał, że to świetny pomysł.

– Dobra, Jem. Zrobimy ołtarz ze skrzynek.

Żwirowa alejka oddzielała posesję Finchów od podwórza panny Rachel, otoczonego krzewami azalii, róż, kamelii i gardenii jaśminowatej. W sadzawce mieszkało kilka starych, opasłych złotych rybek, a także żaby i jaszczurki wodne. Cień zapewniały im lilie wodne i bluszcz. Dorodny figowiec górował zaś nad wszystkim koroną pełną trujących

liści, czyniąc to miejsce najchłodniejszym w całej okolicy. Panna Rachel rozstawiła wokół sadzawki meble ogrodowe; przy samym pniu znalazło się miejsce na stół na koziołkach.

W wędzarni odszukali dwie puste skrzynki, które ustawili nad brzegiem oczka wodnego. Dill zajął miejsce za ołtarzem.

– Będę panem Mooreheadem – oznajmił.

– Ja będę panem Mooreheadem – odparł Jem. – Jestem najstarszy.

– No dobra – zgodził się Dill.

– Ty i Skaut będziecie zgromadzeniem.

– Czyli nie będziemy mieli nic do roboty – wtrąciła Jean Louise. – Zdechnę tu, jeśli będę musiała siedzieć godzinę i słuchać twojego gładzenia, Jemie Finchu.

– Możecie zebrać ofiarę – zaproponował Jem. – I być chórzystami.

Zgromadzenie przyniosło sobie dwa krzesła ogrodowe i zasiadło przed ołtarzem.

– A teraz coś zaśpiewajcie – powiedział Jem.

Skaut i Dill zaśpiewali:

*Cudowna Boża Łaska ta
Zbawiła z grzechów mnie.
Zgubiony, nędzny byłem ja,
Lecz teraz cieszę się. Amen*[\[11\]](#).

Jem pochylił się, otoczył ramionami pulpit ze skrzynek i zaczął poufałym tonem:

– Rety, jak przyjemnie ujrzeć was rankiem tak licznie zgromadzonych. A piękny mamy ranek.

– Amen – zgodził się Dill.

– Czy ktoś ma ochotę otworzyć się w ten piękny ranek i zaśpiewać z całego serca? – spytał Jem.

– Tak jest! – odpowiedział Dill.

Dill, którego nikczemny wzrost i niedoskonałość proporcji skazały na dolę aktora charakterystycznego, powstał i na ich oczach zamienił się w jednoosobowy chór:

*Gdy ustanie czas, na gromki trąby Pana dźwięk,
I bezchmurny świt wieczysty mrok rozproszy wraz,*

*Gdy zbawionych rzesze staną tam, gdzie drugi brzeg,
Wśród wezwanych z woli Pana będę tam i ja.*

Pastor i reszta zgromadzenia dołączyli do niego w refrenie. Gdy śpiewali, z daleka dobiegł głos Calpurnii, ale słysząc go, Skaut tylko machnęła ręką, jakby odganiała natrętnego komara.

Dill, czerwony na twarzy z wysiłku, z ulgą wrócił na miejsce w pierwszym rzędzie gorliwych wiernych.

Jem umieścił na nosie niewidzialne *pince-nez*, odchrząknął i zagaił:

– Słowo na dziś, drodzy bracia, zaczerpnąłem z psalmu *Sławcie Pana z radością, wszystkie bramy*.

Zdjawszy binokle, zaczął udawać, że przeciera szkła, powtarzając przy tym głębokim głosem:

– Sławcie Pana z radością.

– Czas zebrać ofiarę – wtrącił Dill i chwilę później był już bogatszy o dwie pięciocentówki z kieszeni Jean Louise.

– Oddasz po kościele, Dill – zastrzegła.

– Proszę o ciszę – upomniął ją Jem. – Czas na kazanie – dodał.

A potem wygłosił najdłuższą i najnudniejszą mowę, jaką Skaut kiedykolwiek słyszała. Mówił o tym, że grzech to jedna z najbardziej grzesznych rzeczy, jakie w ogóle potrafi sobie wyobrazić, że ten, kto grzeszy, nie odniesie sukcesu, za to błogosławieni, którzy nie siadają w kole szyderców... – innymi słowy, powtórzył najlepiej jak umiał wszystko, co usłyszeli w ciągu ostatnich trzech wieczorów. Przemawiał niskim głosem, przechodzącym niespodziewanie w przenikliwy pisk albo milkł nagle, gwałtownie nabierając powietrza, jakby piekielna otchłań właśnie otworzyła się pod jego stopami.

– Gdzie jest Diabeł? – zapytał w pewnej chwili, po czym wskazał na zgromadzenie. – Tutaj, w Maycomb w stanie Alabama!

Gdy zaczął opowieść o piekle, Skaut nie wytrzymała.

– Dosyć tego, Jem.

Opis, który zaprezentował wielebny Moorehead, wystarczył jej na całe życie. Jem zmienił więc taktykę i zajął się problematyką nieba. Było ono, jak głosił, pełne bananów (ulubionych owoców Dilla) oraz pieczonych ziemniaków (ulubionego dania Jean Louise), zaś dobrych chrześcijan czeka po śmierci ucztowanie aż po dzień Sądu Ostatecznego. Niestety, dzień ów miał oznaczać koniec przyjemności: Bóg wszak notował

wszystkie uczynki ludzi od dnia ich narodzin, co naturalnie musiało skończyć się wyrokiem piekielnych mąk.

Na koniec Jem zaproponował, aby wystąpili wszyscy, którzy chcieliby zjednoczyć się z Chrystusem. Skaut wystąpiła.

Jem położył dłoń na jej głowie i rzekł:

– Młoda damo, czy żałujesz za grzechy?

– Tak, wielebny – odpowiedziała.

– Czy zostałeś już ochrzczona?

– Nie, wielebny.

– W takim razie – Jem zanurzył dłoń w czarnej toni sadzawki i znowu położył ją na głowie siostry – ja ciebie chrzczę...

– Zaraz, zaraz! – zawołał Dill. – Tak nie można!

– Można – odparł Jem. – Skaut i ja jesteśmy metodystami.

– Tak, ale odgrywamy odrodzenie w Kościele baptystów. Musisz ją zanurzyć. Zresztą ja chyba też chcę się ochrzcić – Dill już wiedział, jak będzie wyglądała dalsza część ceremonii i z całej siły walczył o nową rolę. – Ja się do tego nadaję – nalegał. – Jestem przecież baptystą, należy mi się porządny chrzest.

– Słuchaj no, Dillu Ogórasie Harrisie – warknęła groźnie Skaut. – Od samego rana nie zagrałam jeszcze żadnej... błogosławionej roli. Ty siedziałeś w pierwszej ławie, ty śpiewałeś solo, ty zbierałeś na tacę. Teraz moja kolej!

Przyjęła bojową pozycję, wczepiona palcami stóp w miękką ziemię, z lewą ręką uniesioną wysoko i z zaciśniętymi pięściami.

Dill cofnął się o krok.

– Daj spokój, Skaucie.

– Ona ma rację, Dill – wtrącił Jem. – Możesz być moim pomocnikiem.

Jem spojrzał na siostrę.

– Skaucie, lepiej się rozbierz, żeby nie przemoczyć ubrania.

Natychmiast zrzuciła ogrodniczki – jedyną odzież, którą nosiła.

– Tylko nie trzymaj mnie za długo pod wodą – zastrzegła. – I nie zapomnij zatkać mi nosa.

Stała na betonowym brzegu sadzawki. Podstarzała złota rybka wypłynęła ku powierzchni i posłała jej smętne spojrzenie, po czym zniknęła w ciemnej wodzie.

– Głęboko tu? – spytała Jean Louise.

– Najwyżej dwie stopy – odparł Jem, po czym spojrzał na Dilla,

szukając potwierdzenia. Jednak Dill właśnie zniknął. Oddalał się biegiem w stronę domu panny Rachel.

– Myślisz, że oszalał? – spytała.

– Nie wiem. Zaczekajmy, może zaraz wróci.

Jem wpadł na pomysł, żeby tymczasem przegnać ryby na drugą stronę sadzawki; nie chcieli przecież wyrządzić im krzywdy. Gdy pochylali się nad brzegiem, młócąc wodę rękami, rozległ się zza ich pleców złowrogi głos:

– Łuuuu...

– Łuuuu... – wołał Dill spod prześcieradła w królewskim rozmiarze, w którym wyciął dziury na oczy. Wzniósłszy ramiona nad głowę, rzucił się w stronę Jean Louise.

– Jesteś gotowa? – spytał. – Pospiesz się, Jem, robi mi się gorąco.

– Na miłość boską – obruszył się Jem. – Coś ty znowu wymyślił?

– Jestem Duchem Świętym – odpowiedział skromnie Dill.

Jem chwycił siostrę za rękę, a następnie poprowadził do sadzawki. Woda była ciepła i mulista, a dno śliskie.

– Zanurz mnie tylko raz – powiedziała Skaut.

Jem stanął na brzegu. Postać okryta prześcieradłem dołączyła do niego, wymachując dziko ramionami. Jem podtrzymał Jean Louise jedną ręką, a drugą wepchnął dziewczynę pod powierzchnię wody. Zanim zanurzyła głowę, usłyszała jeszcze, jak jej brat intonuje:

– Jean Louise Finch, ja ciebie chrzczę w imię...

Łup!

Szpicruta panny Rachel trafiła nieomylnie w zadek świętej zjawy. Nie chcąc się cofnąć – niewątpliwie ku kolejnym ciosom – Dill zrobił szybki krok naprzód i dołączył do Jean Louise w sadzawce. Panna Rachel chłostała zaś bez opamiętania falującą masę lilii wodnych, mokrego prześcieradła, ramion, nóg oraz licznych odnóg bluszczu.

– Wynocha mi stąd! – wrzeszczała. – Ja ci dam Ducha Świętego, Charlesie Bakerze Harrisie! Będziesz mi niszczył najładniejszą pościel?! Dziury wycinał?! Brał imię Pana Boga swego nadaremno?! Wyłazić z wody, ale to już!

– Przestań, ciociu Rachel! – wybulgotał Dill z głową na wpół zanurzoną w wodzie. – Daj mi szansę!

Dill próbował zachować resztki godności, ale z umiarkowanym powodzeniem. Wynurzył się z sadzawki niczym mały potwór z bajki,

okryty przemoczonym prześcieradłem oraz warstwą zielonkawego szlamu. Wokół jego głowy i szyi owinęła się zielona macka bluszczu. Otrząsnął się gwałtownie, by ją strącić, a panna Rachel cofnęła się nieco, aby uniknąć prysznicza.

Jean Louise wygramoliła się w ślad za nim. Okrutnie swędział ją nos podrażniony wodą, a gdy kichnęła – zabolał.

Panna Rachel nawet nie dotknęła Dilla, tylko wskazała mu kierunek czubkiem szpicruty, mówiąc:

– Marsz!

Skaut i Jem w milczeniu odprowadzili ich wzrokiem aż do domu panny Rachel. Nie mogli nie współczuć Dillowowi.

– Chodźmy do domu – rzekł Jem. – Pewnie już czas na obiad.

Zawrócili w stronę swego podwórka i spojrzeli prosto w oczy ojca. Czekał na nich na podjeździe.

Obok niego stali wielebny James Edward Moorehead oraz kobieta, której nie znali. Wyglądało na to, że przyglądali się wszystkiemu od dłuższego czasu.

Atticus wyszedł im naprzeciw, niespiesznie zdejmując marynarkę. Kolana ugięły się pod Skautem i poczuła nagły ucisk w krtani. Dopiero gdy ojciec zarzucił jej marynarkę na ramiona, uświadomiła sobie, że stoi naga w obecności kaznodziei. Chciała dać drapak, lecz Atticus w porę pochwycił ją za kark.

– Idź do Calpurnii. Wejdz tylnymi drzwiami.

Szorując ją zawzięcie w wannie, Calpurnia mamrotała:

– Pan Finch zadzwonił już z rana, aby mnie uprzedzić, że przyprowadzi na obiad pastora i jego żonę. Darłam się, aż zsiniałam na twarzy – i nic. Dlaczego nie odpowiedzieliście?

– Nie słyszeliśmy cię – skłamała.

– A ja musiałam wybrać: albo dopilnuję ciasta w piekarniku, albo pójdę was szukać. Powinniście się wstydzić! Jak można tak upokarzać tatę!

Jean Louise miała wrażenie, że kościsty palec Calpurnii przebije jej ucho.

– Przestań – powiedziała.

– Nawet jeśli on nie wybił wam ze łbów tych głupot, ja to zrobię – obiecała jej Calpurnia. – A teraz wyłaź z wanny.

Omali nie obdarła Jean Louise ze skóry, trąc ją szorstkim ręcznikiem. Gdy skończyła, kazała jej unieść ręce nad głowę i wbiła dziewczynę

w sztywną, świeżo wykrochmaloną różową sukienkę. Chwyciwszy dwoma palcami za podbródek, zaczęła czesać włosy Skauta grzebieniem o ostrych zębach. Wreszcie rzuciła jej pod nogi parę lakierków.

– Wkładaj.

– Nie zapnę sama.

Calpurnia z hukiem zamknęła klapę sedesu i usiadła na niej. Skaut przyglądała się w milczeniu, jak wielkie dłonie godne stracha na wróble radzą sobie z przepychaniem perłowych guziczków przez zbyt ciasne dziurki. Podziwiała siłą Calpurnii.

– A teraz marsz do taty.

– Gdzie Jem?

– Myje się w łazience pana Fincha. Jemu mogę zaufać.

Wszedłszy do salonu, Skaut i Jem przysiedli cichutko na kanapie. Atticus i wielebny Moorehead prowadzili bardzo nieciekawą rozmowę, a pani Moorehead gapiła się na dzieci. Jem spojrzał na nią w końcu i uśmiechnął się, ale zrezygnował wobec braku reakcji.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy Calpurnia zadzwoniła na obiad. Przez chwilę siedzieli przy stole w niezręcznym milczeniu, nim Atticus poprosił wielebnego Mooreheada o kilka słów modlitwy. Duchowny zaś, zamiast zwrócić się do Stwórcy o całkiem bezosobowe błogosławieństwo, skorzystał z okazji, by zawiadomić Go o występkach Skauta i Jema. Gdy wyjaśniał Panu, że są to dzieci pozbawione matczynej opieki, Jean Louise czuła, że ma już tylko cal wzrostu. Zerknęła na Jema. Brat siedział z nosem niemal w talerzu, zaczerwieniony po czubki uszu. Wątpiła, czy Atticus będzie jeszcze kiedyś w stanie nosić głowę wysoko, a jej podejrzenia potwierdziły się, kiedy wielebny Moorehead powiedział wreszcie „amen” i Atticus się wyprostował. Spod jego okularów spływały po policzkach dwie wielkie łzy. Och, jakże mu dopiekli tym razem... Powiedziawszy nagle „przepraszam”, wstał gwałtownie i wyszedł do kuchni.

Calpurnia wkroczyła ostrożnie do salonu, niosąc ciężką tacę. Jak zawsze, gdy w domu zjawiali się goście, zmieniały się jej maniery. Choć potrafiła mówić po angielsku nie gorzej od wszystkich, w ich obecności nagle zapominała o istnieniu czasowników. Z wyniosłą miną rozstawiała talerze z warzywami, ale wydawała się spokojna. Jean Louise odezwała się, kiedy Calpurnia stanęła przy niej.

– Przepraszam – powiedziała, a gdy kucharka nachyliła się, dodała

szeptem: – Cal, czy Atticus bardzo się gniewa?

Calpurnia wyprostowała się, spojrzała na nią z góry i odpowiedziała na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli:

– Pan Finch? Nie, panno Skaut. On na ganku, ubawiony!

Pan Finch? Ubawiony! Ocknęła się, gdy samochód zjechał z asfaltowej drogi na gruntową. Przeczesała włosy palcami, a potem otworzyła schowek na rękawiczki, znalazła paczkę papierosów, wyjęła jednego i zapaliła.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedział Henry. – Byłaś myślami gdzieś daleko? Może w Nowym Jorku ze swoim chłopakiem?

– Jakoś tak zebrało mi się na wspomnienia – odpowiedziała. – O tym dniu, kiedy urządziliśmy sobie nabożeństwo odrodzenia. Nie było cię wtedy.

– Dzięki Bogu. To jedna z ulubionych historyjek doktora Fincha.

Jean Louise parsknęła śmiechem.

– Wujek Jack opowiada mi ją od prawie dwudziestu lat i za każdym razem czuję się zakłopotana. Wiesz, że Dill był jedyną osobą, którą zapomnieliśmy zawiadomić o śmierci Jema? Potem ktoś mu wysłał wycinek z gazety. W taki sposób się dowiedział.

– Zawsze tak bywa – odparł Henry. – Zapominamy o najstarszych przyjaciółach. Myślisz, że on jeszcze kiedyś wróci?

Jean Louise pokręciła głową. Gdy Armia posłała Dilla do Europy, już tam pozostał. Był urodzonym włóczęgą. Kiedy okoliczności zmuszały go do przebywania przez jakiś czas w tym samym otoczeniu, wśród tych samych ludzi, zachowywał się jak mała pantera w klatce. Jean Louise zastanawiała się czasem, gdzie pewnego dnia dogoni go śmierć. Pewne było tylko jedno: nie na chodniku w Maycomb.

Powiew chłodnego powietrza znad rzeki przeciął gorączkę nocy.

– Finch's Landing, łaskawa pani – obwieścił Henry.

Sama Przystań Fincha składała się z trzystu sześćdziesięciu sześciu schodków biegnących w dół urwistego brzegu oraz z szerokiego pomostu wdzierającego się głęboko w nurt rzeki. Kto chciał tam dotrzeć, musiał też przemierzyć trzysta jardów polany dzielącej klif od ściany lasu. Przecinały ją koleiny wąskiej drogi, niknącej w oddali między ciemnymi drzewami. Prowadziła do białego domu otoczonego werandą ze wszystkich stron i na obu kondygnacjach.

Mimo upływu lat stary dom Fincha nie był ruiną – o jego kondycję dbali nowi właściciele, członkowie klubu łowieckiego. Grupa biznesmenów z Mobile nabyła budynek i wydzierżawiła otaczający go teren, by stworzyć tu coś, co w Maycomb nazywano „prywatnym piekłem hazardu”. Prawda jednak była inna: w zimowe wieczory pokoje zabytkowego domostwa rozbrzmiewały śmiechem rozbawionych dżentelmenów, a gdy czasem ktoś użył strzelby, to nie w gniewie, tylko z nadmiaru dobrego humoru. Niech sobie grają w pokera i hulają, ile tylko zechcą, myślała Jean Louise, byle tylko dobrze opiekowali się starym domem.

Dom zaś miał swoją historię, typową dla całego Południa. Kupił go dziadek Atticusa Fincha od wuja pewnego słynnego truciciela kobiet, który działał po obu stronach Atlantyku, ale pochodził z bardzo dobrej rodziny osiadłej w Alabamie. W tych ścianach przyszedł na świat ojciec Atticusa, a także on sam, Alexandra, Caroline (która wyszła za człowieka z Mobile) oraz John Hale Finch. Polana była miejscem rodzinnych zjazdów aż do chwili, gdy wyszły z mody, co zdarzyło się już za pamięci Jean Louise.

Prapradziadek Atticusa Fincha, angielski metodysta, osiedlił się nad rzeką opodal Claiborne i spłodził siedem córek oraz syna. Panny znalazły mężów wśród żołnierzy pułkownika Maycomb'a i podobnie jak ich brat doczekały się potomstwa – tak powstało osiem rodów znanych w całym hrabstwie. Mijały lata, a ich członkowie spotykali się corocznie. Mieszkańcy Finch's Landing musieli stopniowo wycinać otaczającą dom polanę, by starczyło miejsca dla stale rosnącego zgromadzenia, aż wreszcie plac osiągnął obecne rozmiary. Przydawał się jednak nie tylko podczas rodzinnych zjazdów. Murzyni grywali tu w koszykówkę, Ku Klux Klan urządzał swoje spotkania, gdy jeszcze się liczył, a za czasów Atticusa odbywały się również turnieje, podczas których dżentelmeni walczyli o zaszczyt porwania swych dam do Maycomb na wielki bankiet. Alexandra twierdziła, że to właśnie widok wujka Jimmy'ego trafiającego kopią w obręcz w pełnym galopie sprawił, że postanowiła zostać jego żoną.

Także za czasów Atticusa Finchowie ostatecznie przenieśli się do miasta – on sam studiował prawo w Montgomery i powrócił, by otworzyć kancelarię w Maycomb; tam też osiadła Alexandra, zniewolona zręcznością wujka Jimmy'ego. John Hale Finch udał się do Mobile na

studia medyczne, a Caroline wyszła za mąż w siedemnastym roku życia. Gdy umarł ich ojciec, wydzierzawili las, ale matka nie chciała porzucić starych śmieci. Została w domu i była świadkiem, jak dzierżawcy stopniowo zmieniali się we właścicieli, aż wreszcie, gdy odeszła, w rękach rodziny zostały tylko polana, dom i przystań. W budynku nie mieszkał już nikt, kiedy w końcu sprzedano go dzentelmenom z Mobile.

Jean Louise miała wrażenie, że pamięta swoją babcie, ale nie była pewna. Gdy pierwszy raz w życiu zobaczyła obraz Rembrandta przedstawiający kobietę w czepku i krezie, powiedziała: „To babcia”. Atticus jednak zaprzeczył; twierdził, że nie widzi podobieństwa. Lecz Jean Louise nadal sądziła, że coś pamięta: słabo oświetlony pokój w starym domu, a pośrodku niego siedzącą staruszkę w czarnej sukni z białym, koronkowym kołnierzem.

Nawet stopnie wiodące ku przystani miały swoją nazwę: Schody Starszaków. Gdy Jean Louise jeszcze jako mała dziewczynka uczestniczyła w rodzinnych zjazdach, wraz z innymi dziećmi zmuszała rodziców, by przesiadywali nad samym urwiskiem, istniała bowiem obawa, że któreś pobiegnie schodami na przystań. W końcu postanowiono podzielić malców na dwie grupy: niepływających i pływających. Tych pierwszych relegowano na drugi koniec polany, pod las, z nakazem trzymania się bezpiecznych zabaw; ci drudzy mogli zbiec na dół, naturalnie pod opieką dwóch młodych Murzynów.

Klub łowiecki dbał i o schody, a przystań wciąż była czynna – cumowały w niej łodzie myśliwych, dość gnuśnych dzentelmenów, którzy woleli spłynąć z prądem rzeki, leniwie wiosłując w stronę Bagna Winstona, niż przebijać się przez gęsto podszyty sosnowy las. W dole rzeki, gdzie kończył się wysoki brzeg, zachowały się jeszcze resztki drugiej przystani, na której Murzyni należący do Finchów ładowali na barki bele bawełny i innych produktów, a wyładowywali bloki lodu, mąkę, cukier, narzędzia rolnicze oraz drobiazgi potrzebne kobietom. Do Finch's Landing zaglądali jedynie podróżni: damy wspinające się po schodach miały wreszcie powód, by zemdleć, zaś ich bagaże zabierano na przystań towarową – wysiadanie na brzeg w obecności Murzynów było w tamtych czasach nie do pomyślenia.

– Myślisz, że schody są bezpieczne?

– Jasne – odparł Henry. – Klub o nie dba, ale... Wiesz, że znajdujemy się na cudzym terenie?

– Do diabła z tym. Chciałabym dożyć dnia, w którym ktoś zabroni Finchowi stąpać po własnej ziemi – umilkła na moment. – Co właściwie chcesz przez to powiedzieć?

– Pięć miesięcy temu sprzedali ostatni skrawek.

– I nie wspomnieli mi o tym ani słowem – powiedziała Jean Louise.

Henry przystanął, zaskoczony tonem jej głosu.

– Tobie jest wszystko jedno, prawda?

– Raczej tak. Szkoda tylko, że mi nie powiedzieli.

Henry nie był przekonany.

– Na miłość boską, Jean Louise, a po co ta ziemia panu Finchowi i reszcie?

– Po nic. W dodatku musieli płacić podatek i tak dalej... Ale szkoda, że mi nie powiedzieli. Nie lubię niespodzianek.

Henry parsknął śmiechem, a potem schylił się po garść szarego piasku.

– Taka z ciebie południowa damulka? Mam ci odegrać Geralda O’Harę?

– Przestań, Hank – w jej głosie nie było złości.

– Mam wrażenie, że jesteś najcięższym przypadkiem z całej rodziny – rzekł Henry. – Pan Finch ma siedemdziesiąt dwa lata, ale jeśli chodzi o takie sprawy, ty zachowujesz się jakbyś miała sto.

– Nie lubię, gdy ktoś mąci w moim świecie bez ostrzeżenia. Chodźmy na przystań.

– Dasz radę?

– Dniem czy nocą, i tak będę szybsza od ciebie.

Puścili się biegiem do schodów. Pokonawszy kilka stopni, poczuła na dłoni dotyk zimnego metalu. Zatrzymała się. To także zmieniło się od zeszłego roku: zamontowano poręcz ze stalowej rurki. Hank był już zbyt daleko, by mogła go doścignąć, ale mimo wszystko spróbowała.

Gdy bez tchu wpadła na pomost, Henry leżał już na deskach.

– Uważaj na smołę, skarbie – ostrzegł.

Palili w milczeniu. Henry podłożył ramię pod jej głowę i od czasu do czasu nachylał się, by ją pocałować. Patrzyła w niebo.

– Tak blisko... Wydaje się, że można by wyciągnąć rękę i dotknąć – powiedziała.

– Mówiłaś poważnie, że nie lubisz, kiedy ktoś mąci w twoim świecie?

– Hm? – Właściwie nie była pewna. Nie, chyba nie lubiła. Spróbowała wyjaśnić: – Chodzi o to, że za każdym razem, gdy wracam do domu – i to już od pięciu lat, a może i dłużej, od czasów college’u – coś się pomału

zmienia...

– I nie jesteś pewna, czy ci się to podoba, co? – Henry uśmiechał się w blasku księżyca.

Zauważyła. Usiadła.

– Nie wiem, czy potrafię to jakoś wytłumaczyć. Gdy mieszkasz w Nowym Jorku, często masz wrażenie, że Nowy Jork to nie świat. To znaczy za każdym razem, gdy wracam do domu, czuję, że wracam do świata, a gdy wyjeżdżam z Maycomb, to jakbym opuszczała świat. Wiem, głupie. Nie umiem lepiej wyjaśnić... A najgłupsze, że dostałabym wścieklizny, gdybym miała zamieszkać w Maycomb na stałe.

– Nie sądzę – odpowiedział Henry. – Nie chcę cię do niczego nakłaniać, nie ruszaj się, ale w jednej sprawie musisz podjąć decyzję, Jean Louise. Zobacysz jeszcze więcej zmian; zobacysz, jak jeszcze za naszego życia Maycomb kompletnie zmienia oblicze. Twój problem polega na tym, że chcesz mieć ciastko i zjeść ciastko, chciałabyś zatrzymać czas, ale nie możesz. Prędzej czy później będziesz musiała rozstrzygnąć: Maycomb czy Nowy Jork.

Naprawdę prawie rozumiał. Wyjdę za ciebie, Hank, pomyślała, jeśli sprawisz, że zamieszkamy tutaj, w Finch's Landing. Zamienię Nowy Jork na to jedno, jedyne miejsce, ale nie na Maycomb.

Spojrzała na szeroki nurt rzeki. Po stronie hrabstwa Maycomb brzeg piętrzył się wysoko; po stronie hrabstwa Abbott był zupełnie płaski. Gdy mocniej popadało, rzeka występowała z brzegów i po polach bawełny w Abbott dało się pływać łódką. Popatrzyła w górę nurtu. To tam rozegrała się Bitwa na Canoe, pomyślała. Tam Sam Dale dał łupnia Indianom, a Czerwony Orzeł skoczył z urwiska[12].

*I wtedy myśli, że już zna
Szmat wzgórz, który mu życie dał,
I morze, ku któremu gna[13].*

– Mówiłaś coś? – spytał Henry.

– Nie, nic. Tylko czasem bywam romantyczna – odpowiedziała. – A przy okazji... Ciocia cię nie akceptuje.

– Wiem to od urodzenia. A ty?

– Ja tak.

– To wyjdź za mnie.

– To złóż mi propozycję.

Henry podniósł się i usiadł obok niej. Spuścili nogi poza krawędź pomostu.

– Gdzie moje buty? – spytała nagle.

– Tam, gdzie je zrzuciłaś, w samochodzie. Jean Louise, stać mnie już na to, żeby utrzymać nas oboje. Jeśli koniunktura się utrzyma, za kilka lat będziemy żyć naprawdę dobrze. Południe to dziś kraina wielkich możliwości. Nawet tu, w samym Maycomb, dość jest pieniędzy, żeby zatopić... A może chciałabyś mieć męża w legislaturze?

Jean Louise była zaskoczona.

– Startujesz w wyborach?

– Myślę o tym.

– Wbrew systemowi?

– Tak. Wkrótce i tak zawali się pod własnym ciężarem, więc jeśli tylko zdążę wejść na parter, to...

– Przyzwoita władza w hrabstwie byłaby szokiem. Obywatele mogą tego nie przeżyć – stwierdziła. – Co na to Atticus?

– Uważa, że sytuacja już dojrzała.

– Nie będzie ci tak łatwo, jak jemu. Ojciec Jean Louise prowadził kampanię tylko za pierwszym razem. Kiedy już znalazł się w stanowym parlamencie, mógł tam zostać praktycznie tak długo, jak chciał, w zasadzie nie miał konkurentów. Był zresztą wyjątkiem w dziejach hrabstwa: żadna machina partyjna nie sprzeciwiała się jego kandydaturze, żadna też go nie popierała. Nikt też nie odważył się stanąć z nim w szranki. Gdy zrezygnował, system po prostu wchłonął miejsce po ostatnim niezależnym kandydacie.

– Nie, ale mogę napędzić im strachu. Elita sądownictwa wyraźnie przysnęła. Jeśli wystartuję z ostrą kampanią, może mi się udać.

– Nie znajdziesz we mnie pomocnicy, skarbie – uprzedziła. – Polityka nudzi mnie niemiłosiernie.

– Przynajmniej nie będziesz kandydować przeciwko mnie, a to już spora ulga.

– Jesteś więc młodzieńcem z przyszłością? Dlaczego nie powiedziałeś mi, że zostałeś Człowiekiem Roku?

– Bałem się, że mnie wyśmiejesz – wyznał.

– Wyśmieję, Hank?

– Tak. Mam wrażenie, że nabijasz się ze mnie w co drugim zdaniu.

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Ile już razy uraziła jego uczucia?

– Nigdy nie byłam szczególnie taktowną osobą, to jasne, ale przysięgam na Boga, że nigdy się z ciebie nie naśmiewałam, Hank. W głębi serca – nigdy.

Otoczyła ramionami jego głowę. Czuła pod brodą czarny aksamit jego króciutko przyciętych włosów. Henry pocałował ją i pociągnął za sobą na deski pomostu.

Jakiś czas później Jean Louise wyrwała się z jego objęć.

– Lepiej już wracajmy, Hank.

– Jeszcze nie.

– Tak.

Hank westchnął ciężko.

– Najbardziej nie cierpię w Finch's Landing tego, że zawsze trzeba wdrapywać się z powrotem na górę.

– Mam w Nowym Jorku przyjaciela, który zawsze wbiega po schodach; chyba z milę na minutę. Twierdzi, że dzięki temu nie miewa zadyszki. Może i ty powinienesz spróbować?

– To twój chłopak?

– Nie wygłupiaj się – odparła.

– Raz już dziś tak powiedziałaś.

– Idź do diabła.

– Tak też mówiłaś.

Jean Louise wsparła dłonie na biodrach.

– A może chciałbyś sobie popływać w ubraniu? Tego jeszcze dziś nie mówiłam. W tej chwili mam wielką ochotę cię popchnąć.

– Wiesz co? Chyba powinnaś.

– I tak zrobię – obiecała, kiwając głową.

Henry chwycił ją za ramię.

– Jeśli wpadnę, to z tobą.

– Dam ci jedną szansę – odparła. – Masz pięć sekund na opróżnienie kieszeni.

– Zwariowałaś, Jean Louise – powiedział, w pośpiechu wyciągając pieniądze, kluczyki, portfel i papierosy. Zrzucił pantofle.

Mierzyli się wzrokiem jak walczące koguty. W końcu Henry zaatakował pierwszy, ale gdy spadała do wody, zdążyła pociągnąć go za koszulę. Przez chwilę płynęli w milczeniu w stronę środka nurtu, a potem zawrócili i niespiesznie wrócili do przystani.

– Pomóż mi wyjść – poprosiła.

Ociekając wodą, w ubraniach, które przywarły do ich ciał, wolno wspinali się po schodach.

– Prawie wyschniemy, zanim dojdziemy do samochodu – odezwał się Henry.

– Prąd był dziś silny – odpowiedziała.

– Albo zmęczyłaś się rozpustą.

– Uważaj, żebym cię nie zepchnęła z tego urwiska. Mówię poważnie – zachichotała. – Pamiętasz, jak pani Merriweather urządzała biednego pana Merriweathera? Gdy będziesz moim mężem, czeka cię to samo.

Pan Merriweather miał ciężkie życie, kiedy zdarzało mu się kłócić z małżonką na drodze publicznej. Nie umiał bowiem prowadzić samochodu, a pani Merriweather w krytycznym punkcie sporu po prostu zatrzymywała wóz i autostopem docierała do miasta. Pewnego razu, gdy posprzeczali się w wąskiej alejce, pan Merriweather przesiedział przy aucie siedem godzin, zanim przejeżdżający opodal farmer zabrał go na wóz.

– Kiedy będę w legislaturze, nie będziemy mogli wskakiwać do rzeki o północy – powiedział Henry.

– W takim razie nie kandyduj.

Silnik samochodu mruczał, a chłodne powietrze znad rzeki z wolna ustępowało gorącemu. Jean Louise dostrzegła w szybie odbicie światła auta jadącego za nimi i zaraz potem zostali wyprzedzeni, a potem jeszcze raz. I znowu. Zbliżali się do Maycomb.

Opierając głowę na ramieniu Henry'ego, Jean Louise pomyślała, że jest dobrze. Może nam się udać, mimo wszystko. Jednak ja nie jestem zwierzęciem udomowionym. Nie wiem nawet, jak rządzić kucharką! I o czym właściwie rozmawiają prawdziwe damy, gdy składają sobie wizytę? Musiałabym nosić kapelusz, a dzieci wypadłyby mi z rąk na pewną śmierć.

Coś, co wyglądało jak olbrzymia czarna pszczoła, śmignęło obok nich i z piskiem opon weszło w zakręt. Usiadła prosto, wystraszona.

– Co to było?

– Murzynowóz.

– Litości, co oni wyprawiają?

– Próbują się pokazać; taki ostatnio mają zwyczaj – odparł Henry. – Mają dość pieniędzy, żeby kupować używane samochody i szaleć po

okolicznych szosach. Są zagrożeniem dla innych.

- Mają prawa jazdy?
- Nieliczni. I nie ubezpieczają się.
- Rany, a jeśli coś się stanie?
- Wtedy jest dość smutno.

Gdy stanęli u drzwi, Henry pocałował ją delikatnie i uwolnił z uścisku.

– Jutro wieczorem? – spytał.

Skinęła głową.

– Dobranoc, mój miły.

Niosąc buty w rękę, na paluszkach zakradła się do sypialni w frontowej części domu i włączyła światło. Rozebrała się, włożyła bluzę od piżamy i po cichu wśliznęła się do salonu. Włączyła małą lampkę i podeszła do półek z książkami. A niech to, pomyślała, wodząc palcem po niezliczonych tomach poświęconych historii wojskowości. Zawahała się na moment przy *Drugiej wojnie punickiej*, a zatrzymała przy *Oto dlaczego*. Trzeba się przygotować do starcia z wujkiem Jackiem, pomyślała. Wróciwszy do swojego pokoju, wyłączyła górne światło i po omacku odnalazła lampkę nocną. Ułożywszy się wygodnie w łóżku, w którym przyszła na świat, przeczytała trzy strony, nim zasnęła, nie zgasiwszy lampki.

[9] Nawiązanie do wiersza Williama Blake'a *Kominiarz* oraz do precedensowej sprawy, w której brytyjski sąd orzekł, że klejnot znaleziony w kominie należy do kominiarza, o ile właściciel nie zgłosi roszczenia. Było to ważne orzeczenie z punktu widzenia prawa własności w krajach anglosaskich.

[10] Ponad 33°C.

[11] Fragment hymnu *Amazing Grace* Johna Newtona w tłumaczeniu Adeli Bajko.

[12] Chodzi o potyczkę, w której trzech biali mężczyźni pod wodzą Sama Dale'a starli się z dziewięcioma Krikami w canoe bojowym, zbijając ośmiu z nich, a jednego raniąc. Czerwony Orzeł (William Weatherford), wódz owego plemienia, półkrwi Indianin, pół Szkot, uciekając przed siłami lokalnej milicji, skoczył konno z urwiska w nurt rzeki Alabama i w ten sposób udało mu się zbiec.

[13] Fragment jednego z utworów poetyckich Matthew Arnolda w przekładzie Macieja Szymańskiego.

CZEŚĆ III

6

– Jean Louise, Jean Louise, obudź się!

Walczyła, by wyjść porankowi na spotkanie, a głos Alexandry z wolna przenikał do jej świadomości. Wreszcie otworzyła oczy i ujrzała ciotkę nad sobą.

– Co... – jęknęła.

– Jean Louise, powiedz mi, co według ciebie – nie, według was! – miało znaczyć to, że tej nocy pływałaś nago z Henrym Clintonem?

Jean Louise usiadła na łóżku.

– He?

– Pytałam, co według was miało znaczyć to, że tej nocy pływałaś nago z Henrym Clintonem. Od rana gada o tym całe Maycomb!

Jean Louise oparła głowę na podciągniętych kolanach, próbując ocknąć się do reszty.

– Kto ci to powiedział, ciotuniu?

– Mary Webster zadzwoniła bladym świtem. Powiedziała, że widziano was nagich na samym środku rzeki, w dodatku o pierwszej w nocy!

– Kto ma tak bystre oczy, nie może mieć uczciwych zamiarów. – Jean Louise wzruszyła ramionami. – Cóż, ciociu, w takim razie wygląda na to, że będę musiała wyjść za Hanka, czyż nie?

– No... nie wiem, Jean Louise, co mam o tobie myśleć. Ojciec skona, po prostu skona, gdy się dowie. Lepiej sama mu powiedz, zanim usłyszy o wszystkim gdzieś na rogu ulicy.

Atticus stał na progu, z rękami w kieszeniach.

– Dzień dobry – powiedział. – A co takiego miałyby mnie zabić?

– Ja mu nie powiem, Jean Louise – zastrzegła Alexandra. – To twoja rzecz.

Jean Louise dała ojcu milczący znak; został odebrany i zrozumiany. Atticus spojrział na nią z powagą.

– Co się stało? – spytał.

– Mary Webster znowu nadaje. Tej nocy jej zwiadowcy widzieli mnie i Hanka pływających w rzece, bez ubrań.

– Hmm – mruknął Atticus, poprawiając okulary. – Mam nadzieję, że nie pływaliście stylem grzbietowym.

– Atticusie! – oburzyła się Alexandra.

– Wybacz, Zandro. To prawda, Jean Louise?

– Częściowo. Myślisz, że honor rodziny ucierpiał nieodwracalnie?

– Myślę, że przeżyjemy.

Alexandra przysiadła na skraju łóżka.

– Zatem to prawda – westchnęła. – Jean Louise, przede wszystkim, nie mam pojęcia, co robiliście na przystani w środku nocy...

– Ależ masz! Przecież Mary Webster o wszystkim ci powiedziała, ciotuniu. Może wspomniała o tym, co się działo później? Poproszę o resztę mojego neglizżu.

Atticus rzucił jej spodnie od piżamy. Włożyła je pod kołdrę, a potem odrzuciła ją i przeciągnęła się.

– Jean Louise... – zaczęła Alexandra i urwała. Atticus uniósł w rękę na wpół wysuszoną, bawełnianą sukienkę. Położył ją na łóżku i podszedł do krzesła. Znalazłszy na nim na wpół wysuszoną halkę, rzucił ją w ślad za sukienką.

– Jean Louise, przestań już dręczyć ciotkę. W tym pływałaś?

– Tak jest. Myślisz, że powinniśmy obnosić te szmatki na tyczce po całym mieście?

Alexandra, wyraźnie zbита z tropu, dotknęła wilgotnych jeszcze części stroju Jean Louise i rzekła:

– Ale co was opętało, żeby tak w ubraniu do rzeki...?

Gdy jej brat i bratanica wybuchnęli śmiechem, dodała:

– To wcale nie jest zabawne. Nawet jeśli kapaliście się w ubraniu, Maycomb wam tego nie odpuści. Równie dobrze mogliście pływać nago. Nadal nie umiem sobie wyobrazić, co wam strzeliło do głowy.

– Ja też nie – odpowiedziała Jean Louise. – Poza tym, o ile to cię pocieszy, ciotciu, wcale nie było to aż tak przyjemne. Zaczęliśmy się

przekomarzać, aż w końcu rzuciłam Hankowi wyzwanie i nie mógł się wycofać. Ja również nie mogłam, więc chwilę później byliśmy w wodzie.

Wyjaśnienia Jean Louise nie zrobiły na Alexandrze wrażenia.

– Oboje jesteście już w takim wieku, że nie przystoi wam podobne zachowanie.

Jean Louise westchnęła i wstała z łóżka.

– W takim razie przepraszam – powiedziała. – Jest może kawa?

– Czeka na ciebie cały dzbanek.

Jean Louise dołączyła do ojca w kuchni. Zatrzymawszy się przy kuchence, napełniła filiżankę kawą i usiadła na stole.

– Jak możesz pić na śniadanie lodowate mleko?

Atticus pociągnął jeszcze łyk.

– Jest smaczniejsze niż kawa.

– Gdy błagaliśmy z Jemem o kawę, Calpurnia odpowiadała nam zwykle, że jeśli będziemy ją pić, staniemy się czarni jak ona. Masz mnie już dosyć?

Atticus parsknął z cicha.

– Jasne, że nie, ale potrafię sobie wyobrazić kilka ciekawszych sposobów na spędzenie nocy niż te wasze wygłupy. Teraz lepiej szykuj się na szkółkę niedzielną.

Niedzielny gorset Alexandry był wynalazkiem jeszcze straszliwszym od tych, których używała na co dzień. Tak opancerzona, a także wyperfumowana, w kapeluszu i rękawiczkach, w pełnej gotowości stanęła u drzwi pokoju Jean Louise.

Niedziela była jej dniem, właśnie wtedy, na krótko przed szkółką niedzielną spotykała się z piętnastoma innymi damami w sali kościoła metodystów, by poprowadzić sympozjum, które bratanica nazywała „tygodniowym przeglądem nowin”. Jean Louise żałowała, że tym razem z jej winy sabat ten nie będzie dla ciotki przyjemny. Tego dnia Alexandra musiała przejść do defensywy, jednak z drugiej strony nie ulegało żadnej wątpliwości, że w działaniach obronnych poradzi sobie niemal równie dobrze jak w zaczepnych; jej geniusz taktyczny był gwarancją, że obroni reputację swej bratanicy, zanim jeszcze zasiądzie ze swymi towarzyszkami, by wysłuchać kazania.

– Jean Louise, jesteś gotowa?

– Prawie – powiodła szminką po ustach, przyklepała włosy na czubku głowy, wyprostowała ramiona i odwróciła się na pięcie. – Jak wyglądam?

– Jeszcze nigdy nie widziałam cię kompletnie ubranej. Gdzie twój kapelusz?

– Ciociu, wiesz doskonale, że gdybym wkroczyła dziś do kościoła w kapeluszu, wszyscy pomyśleliby, że ktoś umarł.

Po raz ostatni włożyła kapelusz na pogrzeb Jema. Właściwie nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, ale krótko przed ceremonią namówiła pana Ginsberga, by otworzył sklep specjalnie dla niej, i wybrała sobie nakrycie głowy, doskonale wiedząc, że brat wyśmiałby ją, gdyby tylko mógł ją zobaczyć – mimo to jakoś lepiej się poczuła.

Gdy przybyli do kościoła, wujek Jack już czekał na schodach.

Doktor John Hale Finch nie był wyższy od swej bratanicy, mierzącej pięć stóp i siedem cali. Po ojcu odziedziczył nos o wysoko wysklepionym grzbiecie, zdecydowaną linię dolnej wargi oraz wysokie kości policzkowe. Przypominał nieco swą siostrę, Alexandrę, choć fizyczne podobieństwo kończyło się na wysokości szyi. Doktor Finch był bowiem szczupły w pajączy wręcz sposób, brakowało mu krzepy Alexandry. To przez niego Atticus ożenił się dopiero po czterdziestce, albowiem brat, gdy nadeszła pora wyboru drogi życiowej, zdecydował się na medycynę. Tak się złożyło, że bawełna kosztowała wtedy ledwie centa za funt, przez co Finchowie mieli wszystko prócz pieniędzy. Atticus, który jeszcze nie rozkręcił na dobre swej praktyki prawniczej, wydawał każdego zarobionego – a czasem i pożyczonego – dolara na opłacenie studiów brata; na szczęście inwestycja zwróciła się z nawiązką.

Doktor Finch został chirurgiem, praktykował w Nashville i sprytnie grał na giełdzie, dzięki czemu w czterdziestym piątym roku życia zdołał zgromadzić dość majątku, by zrezygnować z pracy i poświęcić się bez reszty swej pierwszej i największej miłości: zgłębianiu wiktoriańskiej literatury. Hobby to pozwoliło mu zyskać reputację najbardziej czytanego, patentowanego ekscentryka w całym hrabstwie Maycomb. Upajał się nektarem owej literackiej wiedzy tak długo i tak głęboko, że przesiąkł nim na wylot, co objawiało się pewnymi osobliwościami w zachowaniu i mowie. Lubił ryzykownie wtrącać rozmaite „ha!”, „he” oraz liczne archaizmy do zdań pełnych całkiem współczesnego slangu, do którego również miał słabość. Dowcip miał ostry jak szpilka do kapelusza; bywał roztargniony; mimo kawalerskiego stanu sprawiał wrażenie, jakby hodował w pamięci niezliczone, zabawne wspomnienia; posiadał żółtawego, dziewiętnastoletniego kota, a większość

mieszkańców hrabstwa zwyczajnie go nie rozumiała, gdyż często ubarwiał wypowiedzi subtelными aluzjami do zapomnianych przedmiotów i zjawisk wiktoriańskiego świata.

Na obcych robił wrażenie lekko niezrównoważonego psychicznie, lecz ci, którzy potrafili dostroić się do jego fal, wiedzieli, że doktor Finch to człowiek w pełni władz umysłowych i znakomity znawca rynkowych machinacji. Licząc na jego radę w tej materii, przyjaciele często gotowi byli zaryzykować nawet przydługi wykład o poezji Mackwortha Praeda. Dzięki długotrwałej i bliskiej relacji (doktor Finch próbował bowiem wyhodować naukowca z samotnej nastolatki) Jean Louise poznała świat wujka na tyle dobrze, że zazwyczaj doskonale go rozumiała, a z rozmów czerpała głęboką satysfakcję. Gdy nie zaśmiewała się w duchu z dowcipów doktora, trwała w stanie permanentnego oczarowania pojemnością jego pamięci i otwartością nadaktywnego umysłu.

– Dzień dobry, córo Nereusza! – rzekł wuj, cmokając dziewczynę w policzek. Jednym z nielicznych ustępstw doktora Fincha wobec wynalazków dwudziestego wieku była skłonność do używania telefonu. Trzymając bratanicę na odległość wyciągniętych ramion, przez chwilę przypatrywał się jej z rozbawieniem.

– Spędziłaś w domu ledwie dziewiętnaście godzin, a już folgujesz swej słabości względem ablucyjnych ekscesów, ha! Klasyczny przypadek watsońskiego behawioryzmu – chyba napiszę o tobie artykuł i wyślę do „AMA Journal”[\[14\]](#).

– Milcz lepiej, stary szarlatan – wyszeptała Jean Louise przez zaciśnięte zęby. – Odwiedzę cię dziś po południu.

– Ty i Hank harcujący w rzece, ha! Powinniście się wstydzić! To hańba dla rodziny... Dobrze się bawiliście?

Szkółka niedzielna właśnie się zaczynała. Doktor Finch uklonił się w progu kościoła i dodał:

– Twój kochanek-współwinowajca już czeka.

Jean Louise posłała wujowi spojrzenie, które nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia, po czym wmaszerowała do świątyni z maksymalną godnością, na jaką było ją stać. Uśmiechem i skinieniem głowy powitała innych metodystów z Maycomb, po czym zasiadła przy oknie i przez całą lekcję drzemała z otwartymi oczami, jak to miała w zwyczaju.

[14] Czasopismo Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego.

7

Nie ma to jak mrozący krew w żyłach hymn, by się człowiek poczuł jak w domu, pomyślała Jean Louise. Poczucie osamotnienia szczyło w jednej chwili, gdy dwustu grzeszników jednym głosem zażądało odkupienia przez kąpiel w czerwonym potopie. Czy to ofiarowując Bogu owoce halucynacji pana Cowpera^[15], czy ogłaszając, że to Miłość ją unosi, Jean Louise współuczestniczyła w owej ciepłej bliskości, która jednoczy nawet najbardziej zróżnicowane jednostki, skazane na spędzanie w tej samej łodzi jednej godziny tygodniowo.

Siedziała obok ciotki, w środkowej ławce po prawej stronie sali; jej ojciec i doktor Finch jak zawsze zajęli miejsca po lewej, w trzeciej ławce od frontu. Dlaczego tak czynili? Nie miała pojęcia, ale siadali tam razem, odkąd doktor Finch powrócił do Maycomb. Nikt by nie zgadł, że są braćmi, pomyślała. Trudno uwierzyć, że ojciec jest dziesięć lat starszy od wujka Jacka.

Atticus Finch przypominał swą matkę; Alexandra i John Hale Finch zdecydowanie wdali się w ojca. Atticus był o głowę wyższy od brata, oblicze miał szerokie i szczere, naznaczone prostym nosem i długą kreską wąskich ust. Jednak, pomyślała Jean Louise, jednak jest coś, co pozwala domyślić się pokrewieństwa, a mianowicie wujek Jack i Atticus jednakowo siwieją i mają takie same oczy; tak, to musi być to. Miała rację. Wszyscy Finchowie mieli zdecydowaną linię brwi i oczy o ciężkich powiekach. Gdy spoglądali z ukosa albo wprost przed siebie, obiektywny obserwator zapewne dostrzegłby w nich to, co w Maycomb nazywano rodzinnym podobieństwem.

Medytacje Jean Louise przerwał Henry Clinton, który podawszy dalej tacę na ofiary w rzędzie za jej plecami, czekał na drugą, powracającą właśnie z rąk do rąk w ławce dziewczyny... Mrugnął do niej całkiem otwarcie i z powagą. Alexandra, która przechwyciła ów sygnał, spojrzała na niego z żądzą mordu w oczach. Henry zaś, jak gdyby nigdy nic, dokończył zbieranie ofiary i wraz ze swym towarzyszem stanął nabożnie przed ołtarzem.

Był to moment, w którym metodyści z Maycomb przystępowali do śpiewania doksologii, głównie po to, by oszczędzić pastorowi trudu wymyślania kolejnej modlitwy, tym razem nad tacą, jako że właśnie odmówił trzy inne. Od najdawniejszych czasów utrwalonych w eklezjastycznej pamięci Jean Louise w Maycomb śpiewało się doksologię tylko w jeden sposób:

Chwal – Boga – odeń – płynię – wszelkie – błogostawieństwo...

Był to sposób równie uświęcony, jak popularna wśród południowych metodystów tradycja funtowania kaznodziei[16]. Tej niedzieli jednak, gdy Jean Louise i reszta zgromadzonych w błogiej nieświadomości sposobili gardła do wyśpiewania hymnu w należyтым stylu, pani Clyde'owa Haskins, niczym grom z jasnego nieba rąbnęła w klawisze organów w rytmie zgoła zdumiewającym:

*ChwalBogaodktóregopłyniewszelkiebło – go – sła – wień – stwo,
ChwalBogawszelkiestworzenieiJegonadgrze – chem – zwy – cię – stwo,
ChwalBogaczęścoddawajPanu przed – wiecz – ne – mu
ChwałaOjcuiSynowiiDucho – wi – Świę – te – mu!*

W zamieszaniu, które powstało w tym momencie, nawet pojawienie się arcybiskupa Canterbury w stroju ceremonialnym nie zrobiłoby na Jean Louise wielkiego wrażenia. Zgromadzenie bowiem, kompletnie nie zwracając uwagi na interpretacyjną rewolucję w wykonaniu pani Haskins (która z szalonym przekonaniem odegrała psalm rodem raczej z katedry w Salisbury), zaintonowało doksologię od początku do końca w taki sposób, w jaki zostało nauczone.

W pierwszej chwili Jean Louise pomyślała, że Herbert Jemson postradał zmysły. Odkąd sięgała pamięcią, Herbert pełnił funkcję

dyrektora muzycznego Kościoła metodystów w Maycomb. Był to masywny, poczciwy mężczyzna obdarzony przez naturę ciepłym barytonem oraz niewymuszonym taktem, pozwalającym mu bez wysiłku zarządzać parafialnym chórem uciemionych solistów. Pan Jemson posiadał też niezawodną pamięć i dlatego zawsze doskonale wiedział, które hymny upodobali sobie okręgowi przełożeni Kościoła. W przeróżnych wewnętrznych wojenkach, raz po raz dzielących maycombskich wyznawców metodyzmu, Herbert pozostawał bezstronny, zawsze gotowy przemawiać do rozsądku i szukać porozumienia między co bardziej prymitywnymi parafianami a frakcją „młodoturków”. Od trzydziestu lat poświęcał wolny czas lokalnemu Kościołowi. Za to zresztą Kościół – całkiem niedawno – nagroził go udziałem w obozie muzycznym metodystów w Południowej Karolinie.

W drugiej chwili Jean Louise doszła do wniosku, że o wywołanie zamieszania należy winić pastora. Był nim wówczas młody mężczyzna, pan Stone, obdarzony, jak mawiał doktor Finch, najwybitniejszym talentem do nudziarstwa, jaki zdarzyło mu się napotkać u człowieka przed pięćdziesiątką. W zasadzie wszystko było z nim w porządku, posiadał jednak komplet cech dyplomowanego księgowego: nie lubił ludzi, dobrze liczył, nie miał poczucia humoru i był tępakiem. Wspólnota w Maycomb od lat nie była dość duża, by mógł do niej trafić naprawdę dobry pastor, ale zarazem zbyt duża na to, aby skierować tam kompletną ofermę. Ku uciesze mieszkańców, Konferencja Kościoła uznała, że należy posłać do stolicy hrabstwa duszpasterza młodego i pełnego energii. Niestety, w ciągu niespełna roku zrobił on na zgromadzeniu takie wrażenie, że pewnej niedzieli doktor Finch pozwolił sobie, niby w roztargnieniu, na następujący, głośny komentarz: „Prosiliśmy o chleb, a przysłali nam kamień”[\[17\]](#).

Pan Stone już od dawna podejrzewany był o liberalne tendencje; zdaniem niektórych był nazbyt przyjacielski, zwłaszcza wobec swych jankeskich współbraci. Całkiem niedawno poniósł porażkę w dyskusji na temat apostolskiego symbolu wiary, lecz najgorsze było to, że przejawiał znamiona ambicji. Jean Louise właśnie przygotowywała w duchu nokautujący akt oskarżenia przeciwko niemu, gdy przypomniała sobie, że pan Stone nie ma choćby szcątkowego słuchu muzycznego.

Niewzruszony niewiernością Herberta Jemsona – której muzycznego przejawu nie usłyszał, bo nie potrafił – wielebny Stone powstał i z Biblią

w dłoni podszedł do pulpitu. Otworzywszy Pismo, rzekł:

– Słowo Boże na dziś pochodzi z dwudziestego pierwszego rozdziału Księgi Izajasza, wers szósty: „Bo tak powiedział do mnie Pan: Idź, postaw wartownika, iżby doniósł, co zobaczy”.

Jean Louise bardzo starała się słuchać, co takiego, zdaniem pana Stone’a, miał zobaczyć wartownik, lecz z każdą chwilą czuła, że – choć starała się nad tym zapanować – jej rozbawienie coraz bardziej zmienia się w oburzenie, aż wreszcie zaczęła gapić się z niechęcią na Herberta Jemsona. Jak on śmiał cokolwiek zmienić? Czyżby śniło mu się, że sprowadzi ich na powrót do macierzystego Kościoła? Gdyby pozwoliła w tym momencie dojść do głosu rozsądkowi, zapewne zaraz by sobie przypomniała, że Herbert Jemson był metodystą w każdym calu: miał wielkie braki w wiedzy teologicznej, które nadrabiał bezmiarem dobrych uczynków.

Doksologię załatwił nam koncertowo, myślała, zaraz pewnie zapali kadzidło... „Ortodoksja moją panią”. Czy to wujek Jack wymyślił, czy jeden z anglikańskich biskupów? Spojrzała z oddali na jego ostry profil. Zdenerwował się, pomyślała.

Pan Stone tymczasem nudził dalej... Chrześcijanin może wyzbyć się frustracji wywołanych współczesnym życiem, jeśli tylko... Przychodząc co srode na Wieczorek Rodzinny z dobrze zapakowanym daniem... Niech będzie z wami teraz i na zawsze, amen.

Pastor pożegnał zgromadzonych błogosławieństwem i ruszył w stronę drzwi frontowych, zaś Jean Louise podążyła w przeciwnym kierunku, by odciąć drogę odwrotu Herbertowi, który został jeszcze, żeby pozamykać okna. Doktor Finch był jednak od niej szybszy.

– ...i nie należy tak tego śpiewać, Herbercie – mówił właśnie. – W końcu jesteśmy metodystami, D.V.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć, doktorze Finch. – Dyrektor muzyczny uniósł ręce do góry, jakby chciał odpędzić nadciągające nieszczęście. – Tak nam kazali grać i śpiewać w Obozie Charlesa Wesleya.

– Chyba nie zamierzasz przyjąć tego tak spokojnie? Kto konkretnie wam kazał? – Doktor Finch przygryzł dolną wargę, aż niemal znikła, a potem uwolnił ją z głośnym cmoknięciem.

– Nauczyciel muzyki. Prowadził specjalny kurs o tym, co jest nie tak z muzyką kościelną na Południu. Przyjechał z New Jersey – odparł

Herbert.

– Naprawdę?

– Tak.

– I co, jego zdaniem, jest z nią nie tak?

– Powiedział, że w sposób, w jaki śpiewamy nasze hymny, możemy sobie śpiewać *Stick your snout under the spout where the Gospel comes out*, że prawo kościelne powinno zakazać wykonywania utworów Fanny Crosby, i że *Opoka wieków* to bluźnierstwo rzucone w twarz Pana.

– Doprawdy?

– Mówił też, że powinniśmy podkreślić naszą doksologię.

– Podkreślić? A jak?

– Tak jak dzisiaj.

Doktor Finch usiadł w pierwszej ławce, zarzucił ramię za oparcie i w zamyśleniu zabębnił palcami. Po chwili spojrział znowu na Herberta.

– Najwyraźniej – rzekł. – Najwyraźniej naszym braciom z Północy nie wystarczają już działania Sądu Najwyższego. Zdaje się, że teraz życzą sobie, byśmy zmienili nasze hymny.

– Nauczyciel mówił też, że powinniśmy w ogóle zrezygnować z tych typowo południowych i nauczyć się innych. Oczywiście wcale mi się to nie spodobało, ponieważ niektóre z jego ulubionych w ogóle nie mają melodii.

„Ha!” doktora Fincha było tym razem wyjątkowo dźwięczne, a to oznaczało, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Zapanował nad sobą na tyle, by spytać:

– Południowe hymny, Herbercie? Tak je nazwał?

Doktor Finch położył dłonie na kolanach i wyprostował grzbiet.

– Pozwól, Herbercie – rzekł – że przysiadziemy sobie cichutko w tej świątyni i przeanalizujemy fakty. Jak rozumiem, ten wasz nauczyciel chce, byśmy śpiewali doksologię dokładnie według zaleceń Kościoła Anglii, a jednocześnie sam sobie przeczy, żądając, byśmy odrzucili na przykład... *Stój przy mnie?*

– Tak jest.

– Lyte.

– Słucham?

– To Lyte, mój panie. Lyte. Co z *Gdy strzegę cudownego Krzyża?*

– To też – przypomniał sobie Herbert. – Dał nam listę.

– Dał wam listę, tak? To pewnie umieścił na niej także *Naprzód*,

żołnierze Chrystusa, co?

– Na samym szczycie.

– Ha! – huknął doktor Finch. – H.F. Lyte, Isaac Watts i Sabine Baring-Gould.

Ostatnie nazwisko przeciągnął w typowo maycombski sposób, dodając pauzy między sylabami.

– Wszyscy ci dobrzy ludzie, Herbercie, byli porządnymi Anglikami – rzekł po chwili. – On zaś chciałby wyrzucić ich dzieła, a jednocześnie zmusić nas, byśmy śpiewali doksologię, jak to czynią w opactwie westminsterskim, czy tak? No, to pozwól, że ci coś powiem...

Jean Louise spojrzała na Herberta, który nerwowo potakiwał ruchem głowy, a potem na swego wuja, który w tym momencie żywo przypominał jej Theobalda Pontifexa[18].

– Otóż ów człowiek jest snobem, Herbercie, i to fakt.

– Moim zdaniem raczej mięczakiem – odparł Herbert.

– Niewątpliwie. Powiedz jednak, czy masz zamiar przystać na te wszystkie bzdury?

– Wielkie nieba, skąd! – zaproponował Herbert. – Pomyślałem tylko, że raz spróbuję, by się upewnić odnośnie tego, co wcześniej podejrzewałem. Nasze zgromadzenie nigdy się nie nauczy, a ja wolę stare hymny.

– Podobnie jak ja, Herbercie – powiedział doktor Finch, po czym wstał i chwycił pod ramię Jean Louise. – Zobaczymy się w następną niedzielę i jeśli zauważę, że ten kościół uniósł się choćby o stopę nad ziemię, to będzie twoja wina.

Herbert dostrzegł w jego oczach jakiś błysk i odgadł, że to żart. Roześmiał się więc i odrzekł:

– Spokojna głowa, panie doktorze.

Jack Finch odprowadził bratanicę do samochodu, przy którym czekali już Atticus i Alexandra.

– Podwieźć cię? – spytała.

– Jasne, że nie – odparł doktor. Miał zwyczaj co niedzielę chodzić pieszo do kościoła i z powrotem, nie zważając na burze, upały czy mrozy.

Gdy się odwracał, Jean Louise zawołała:

– Wujku Jacku... Co znaczy D.V.?

Doktor Finch westchnął, co naturalnie miało oznaczać „coś ty robiła w szkole, młoda damo?”, po czym odparł:

– *Deo volente*. Z woli Bożej, moje dziecko. Z woli Bożej. Stare, dobre,

katolickie powiedzonko.

[15] William Cowper, angielski poeta religijny z drugiej połowy XVIII wieku. W swych hymnach radośnie wielbił Boga, sam jednak cierpiał na ciężką depresję.

[16] Mowa o *pounding the preacher*. Wspomniana tradycja polegała na tym, że parafianie znosili do domu nowego pastora po funcie rozmaitych produktów, na dobry początek.

[17] Jest to nawiązanie do nazwiska pastora; z ang. *stone*, czyli kamień.

[18] Jest to postać z wiktoriańskiej powieści.

8

Z taką samą gwałtownością, z jaką dzieciak wyrywa larwę mrówkolwa z norki, by wystawić ją na zabójcze promienie słońca, Jean Louise została wyłuskana ze swego cichego królestwa i bez niczyjej pomocy, najlepiej jak umiała, musiała zadbać o wrażliwy naskórek w owo wilgotne, niedzielne popołudnie, dokładnie o 14.28. Okoliczności, które doprowadziły do tego zdarzenia, były zaś następujące:

Po obiedzie, podczas którego Jean Louise zabawiała domowników relacją o tym, co doktor Finch miał do powiedzenia na temat stylowego śpiewania hymnów, Atticus zasiadł w fotelu w kącie salonu, by poczytać niedzielne gazety, zaś jego córka już nie mogła się doczekać dobrej zabawy z wujem, gdyż ten prócz humoru miał do zaoferowania herbatniki oraz najmocniejszą kawę w całym Maycomb.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Atticus zawołał:

– Wejdz!

Odpowiedział mu głos Henry’ego:

– Jest pan gotowy, panie Finch?

Jean Louise rzuciła ścierkę do naczyń, ale zanim wyszła z kuchni, zajrzał tam Henry.

– Hej – powiedział.

Alexandra zaatakowała bez zwłoki.

– Henry Clintonie, powinieneś się wstydić.

Henry, uzbrojony przez naturę w niemałą dawkę uroku, zwrócił swój czar przeciwko Alexandrze, lecz bez wyraźnego rezultatu.

– Ależ panno Alexandro – odrzekł – przecież wiemy oboje, że nawet

gdyby pani chciała, nie umiałaby się na nas zbyt długo gniewać.

– Uratowałam was w ostatniej chwili, ale następnym razem może mnie zabraknąć.

– Panno Alexandro, doceniam to jak nic innego na świecie – odpowiedział, po czym zwrócił się do Jean Louise. – Dziś wieczorem, siódma trzydzieści. I żadnych przystani. Pójdziemy do kina.

– Zgoda. Dokąd się teraz wybieracie?

– Mamy spotkanie w sądzie.

– W niedzielę?

– Tak.

– Racja. Zapomniałam, że w tych stronach politykuje się właśnie w niedzielę.

Zza drzwi dobiegło wołanie Atticusa.

– Pa, skarbie – szepnął Henry.

Jean Louise poszła za nim do salonu, a gdy za Atticusem i Henrym zatrzasnęły się drzwi, wróciła do fotela ojca, żeby zebrać z podłogi porzucone gazety. Podniósłszy je, ułożyła w ściśle określonym porządku i dołożyła do schludnego stosiku na kanapie. Podeszła teraz do stolika z lampą, by wyrównać leżące tam książki, a gdy to robiła, dostrzegła między nimi broszurę wielkości podłużnej koperty.

Okładkę zdobiła podobizna Murzyna-ludożercy, powyżej zaś widniał tytuł: *Czarna zaraza*. Autor chwalił się nie tylko nazwiskiem, ale i kilkoma tytułami naukowymi. Jean Louise otworzyła broszurę, usiadła w fotelu ojca i zaczęła czytać. Gdy skończyła, chwyciła ją za koniuszek okładki i niosąc przed sobą tak, jakby trzymała za ogon zdechłego szczura, pomaszerowała do kuchni, by pokazać znalezisko ciotce.

– Co to jest? – spytała.

Alexandra zerknęła ponad okularami.

– Własność twojego ojca, jak sądzę.

Jean Louise przydepnęła pedał kubła i wrzuciła broszurę do śmieci.

– Nie rób tego – zaoponowała Alexandra. – Ostatnio coraz trudniej je znaleźć.

Jean Louise otworzyła usta, potem je zamknęła, a następnie znowu otworzyła.

– Ciociu, czy ty to w ogóle czytałaś? Wiesz, co tam wypisują?

– Oczywiście.

Jean Louise nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby Alexandra

odpowiedziała jej siarczystym przekleństwem.

– Ależ... Ciociu, czy ty wiesz, że w porównaniu z tymi bredniami wymyśli doktora Goebbelsa to bajania naiwnego pastuszka?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, moja droga. W tej książeczce jest sporo prawdy.

– Doprawdy? – spytała cierpko Jean Louise. – Najbardziej podobał mi się fragment o tym, że Murzyni, daj im Boziu zdrowie, nic nie mogą poradzić na to, że są gorsi od białych, gdyż ich czaszki są grubsze, a puszki mózgowe – cokolwiek to znaczy – płytsze. Dlatego musimy być dla nich bardzo mili; trzeba też pilnować, żeby nie zrobili sobie krzywdy i aby trzymali się miejsc, które dla nich wyznaczaliśmy. Na Boga, ciociu...

Alexandra stała sztywno, jakby połknęła wycior.

– Tak?

– Ja po prostu nie wiedziałam, że gustujesz w takich świństwach, ciociu.

Alexandra milczała.

– Jestem też pod wrażeniem przypowieści – ciągnęła Jean Louise – w której tłumaczy się, że od zarania dziejów władcy świata zawsze byli biali, z wyjątkiem Czyngis-chana – tu autor pozwolił sobie na uczciwy wyjątek – a najdobitniejszym przykładem tej tendencji byli faraonowie, biali ludzie rządzący czarnymi i Żydami...

– Przecież to prawda.

– Jasne, tylko jakie to ma znaczenie?

Jak zawsze, gdy była zdenerwowana, gdy czegoś oczekiwała albo się obawiała, jej umysł pracował w zwariowanym rytmie operetek Gilberta i Sullivana. W jej głowie wirowały trzy zjawy, jakby wspomnienia niezliczonych godzin spędzonych na szalonych tańcach z wujkiem Jackiem i Dillelem chciały przesłonić nadchodzące jutro i towarzyszący mu bagaż trosk.

– Już ci mówiłam – powiedziała Alexandra. – Tę broszurę przyniósł twój ojciec ze spotkania Rady Obywateli.

– Z czego?

– Ze spotkania Rady Obywateli Maycomb. Nie wiedziałaś, że mamy tu coś takiego?

– Nie.

– Szkoda, bo twój ojciec należy do zarządu, a Henry to jeden z bardziej

aktywnych członków. – Alexandra westchnęła. – Nie twierdzą, że Rada jest nam potrzebna. W Maycomb jeszcze nic się nie wydarzyło, ale rozsądek nakazuje być przygotowanym. Dlatego obaj tam poszli.

– Spotkania Rady Obywateli? Tu, w Maycomb? – Jean Louise czuła, że powtarza słowa ciotki jak idiotka. – Atticus?

– Mam wrażenie, moja droga – odparła Alexandra – że nie do końca zdajesz sobie sprawę z tego, co się tutaj dzieje...

Jean Louise obróciła się na pięcie, wyszła z domu frontowymi drzwiami i przemaszerowała przez rozległe podwórze, szybkim krokiem kierując się w stronę centrum. W uszach dźwięczało jej jeszcze wołanie: „Chyba nie wybierasz się tak do miasta?”. Całkiem zapomniała o samochodzie stojącym w garażu i o kluczykach leżących na stoliku w holu. Szła energicznie, w rytmie absurdalnej przyśpiewki, którą nie wiadomo dlaczego podsunęła jej pamięć:

*Taki układ jest,
Jeśli chcesz mnie mieć:
Kiedy już wywiniesz orła,
Wtedy pannie, którą kochasz,
Też się urżnie łeb!
Taki układ jest!*

Co Hank i Atticus sobie wyobrażają? O co w tym wszystkim chodzi? Nie wiedziała, ale czuła, że dowie się, nim zajdzie słońce.

Ta broszura, leżąca niewinnie w domu, na oczach Boga i ludzi, musiała mieć coś wspólnego ze sprawą rad obywatelskich. Jean Louise już o nich słyszała, o tak! Pisały o nich bez przerwy nowojorskie gazety. Żałowała, że nie czytała uważnie tych artykułów, ale jedno spojrzenie na pierwszą kolumnę zwykle wystarczało do odgadnięcia, o co chodzi: to byli ci sami ludzie, którzy tworzyli Niewidzialne Imperium i tak nienawidzili katolików; ci sami tchórzliwi, prostacy ignoranci o czerwonych twarzach; ci sami wzorowi obywatele, jej stuprocentowi, anglosascy rodacy, bracia Amerykanie – biała hołota.

Atticus i Hank próbowali widocznie czegoś tu dokonać; zapewne chcieli mieć oko na to, jak się rozwijają sprawy... Jednak ciocia wspomniała, że Atticus należy do zarządu. Z pewnością się myliła. Tak, to wszystko było pomyłką; Alexandrze czasem mieszały się najbardziej oczywiste fakty...

Zwolniła, wkraczając do centrum Maycomb. Ulice były puste, jeśli nie liczyć dwóch samochodów przed witryną apteki. Stary budynek sądu lśnił bielą w popołudniowym słońcu. W oddali cwałował ulicą czarny ogar, a araukarie stroszyły się milcząco w kątach placu.

Dopiero gdy podeszła do północnej bramy, ujrzała podwójny szereg pustych samochodów stojących wzdłuż muru.

Wspinając się po schodach prowadzących do gmachu sądu, nie zwróciła uwagi ani na znudzonych staruszków, ani na chłodziarkę do wody ustawioną tuż za drzwiami, ani na stojące w holu krzeselka z siedziskami z trzcinowej plecionki; dotarł do niej dopiero słodkawy smród uryny bijący z co ciemniejszych zakamarków siedziby sądu. Minęła kolejno biura poborcy podatkowego, asesora podatkowego, przedstawiciela władz hrabstwa, archiwisty i sędziego spadkowego. Weszła po niemalowanych schodach na piętro, na którym mieściła się sala rozpraw, a potem jeszcze wyżej, na galerię dla kolorowych. Zajęła swoje dawne miejsce, na samym końcu pierwszego rzędu – tam, gdzie siadywała niegdyś z bratem, przyglądając się ojcu przy pracy.

Poniżej, na surowych ławach, zasiadła nie tylko większość hołoty Maycomb, ale także silna reprezentacja najbardziej szanowanych obywateli hrabstwa.

Spojrzała na daleki koniec sali i przy balustradzie oddzielającej wysoki sąd od publiczności dostrzegła siedzących za długim stołem ojca, Henry'ego Clintona, kilku innych mężczyzn, których doskonale знаła, oraz jednego nieznanego.

U szczytu tegoż stołu zajął miejsce podobny do wielkiego, opuchłego, szarego ślimaka William Willoughby, polityczny symbol wszystkiego, czym jej ojciec i podobni doń ludzie szczerze gardzili. Ten też jest ostatnim w swoim rodzaju, pomyślała Jean Louise. Dawniej Atticus żałował mu choćby chwili, a teraz zasiada przy tym samym...

William Willoughby istotnie był ostatnim w swoim rodzaju – przynajmniej na jakiś czas. Ludzie wokół niego stawali się coraz zamożniejsi, więc z wolna wykrwawiał się na śmierć, albowiem krew jego życia stanowiła bieda. W każdym hrabstwie na głębokim Południu żył sobie taki Willoughby, a wszyscy podobni do siebie tak bardzo, że tworzyli osobną kategorię: ludzi, na których – w zależności od terytorium – mówiono Wielki Człowiek, Mały Człowiek albo po prostu On. W swoim hrabstwie On piastował zwykle jedno z kluczowych

stanowisk – mógł być na przykład szeryfem albo sędzią – ale zdarzały się i lokalne mutacje, choćby w Maycomb. Willoughby postanowił, że nie poświęci swego bezcennego czasu żadnej funkcji publicznej. Był unikatem. Wolał trzymać się za kulisami, co sugerowało, że nie miał nadmiernie rozdętego ego, najważniejszej cechy kieszonkowych despotów.

Willoughby postanowił, że będzie rządził hrabstwem nie z wygodnego gabinetu, ale z miejsca, które w najlepszym razie można określić mianem klitki – z małego, ciasnego, cuchnącego pokoiku, na drzwiach którego widniało jego nazwisko. Mieściło się w nim niewiele więcej niż telefon, stół kuchenny i komplet bardzo, ale to bardzo starych krzeseł z podłokietnikami. Dokądkolwiek udawał się Willoughby, nieodmiennie podążała koteria raczej pasywnych, w większości negatywnych postaci, znanych jako Publiczność Sądowa – okazów rozmieszczonych przezeń na rozmaitych szczeblach administracji hrabstwa i poszczególnych miasteczek. Ich zadanie było proste: robić, co kazał.

Jeden z owych popleczników siedział teraz obok swego pana. Tom-Carl Joyner, prawa ręka Willoughby'ego, czuł w pełni usprawiedliwioną dumę. Czyż nie służył swemu pryncypałowi wiernie od samego początku? Czyż nie wykonywał dla niego najczarniejszej roboty? Czyż dawno temu, jeszcze w czasach Wielkiego Kryzysu, nie wpadał nocami do nor głodnych, niedouczonej nędzarzy przyjmujących pomoc społeczną – czy to w gotówce, czy w prawie do udziału w robotach publicznych – by wbijać im do łbów, że od tej pory ich głos należy do pana Willoughby'ego? „Nie głosujesz, nie jesz”. Podobnie jak gromada jego pomniejszych satelitów z biegiem lat Tom-Carl zdołał stworzyć wokół siebie aurę szacunku i nie lubił, gdy przypominano mu o nikczemnych początkach działalności. Na spotkaniu w Maycomb mógł się czuć komfortowo, bowiem wiedział już od pewnego czasu, że małe imperium, które nocami budował, będzie należało do niego, gdy Willoughby znudzi się swym zajęciem albo umrze. Nic w twarzy Toma-Carla nie zdradzało, by przeczuwał nadciągającą przykrą niespodziankę. Oto człowiecza wolność, zrodzona z gospodarczego sukcesu, podmywała już fundamenty jego królestwa; jeszcze dwie tury wyborów powszechnych i mogło ono runąć, by stać się co najwyżej surowcem dla pracy magisterskiej jakiegoś socjologa. Spoglądając na jego nadętą gębę, Jean Louise omal nie parsknęła śmiechem. Przyszło jej na myśl, że

Południe bywa okrutne wobec społeczników, skazując ich na wymarcie.

Powiodła wzrokiem po rzędach znajomych głów – siwe włosy, rude włosy, włosy starannie zaczesane celem ukrycia braku włosów – wspominając dawne czasy, gdy podczas nudniejszych rozpraw dyskretnie ćwiczyła celność plucia, mierząc w łyse głowy lśniące pod galerią. Sędzia Taylor przyłapał ją na tym pewnego razu i zagroził, że każe ją aresztować.

Zegar ścienny skrzypnął, brzęknął i jęknął *flu!*, wybijając godzinę czternastą. Ledwie wybrzmiał jego dźwięk, powstał ojciec Jean Louise, by zwrócić się – bez emocji, jak zawsze na sali sądowej – do zebranych:

– Panowie, dziś naszym mówcą jest pan Grady O’Hanlon. Naturalnie nie trzeba go nikomu przedstawiać. Panie O’Hanlon?

Pan O’Hanlon przy wtórze okłasków podniósł się z krzesła i rzekł:

– Jak powiedziała krowa do farmera w chłodny poranek, dziękuję za ciepłe dłonie.

Jean Louise nigdy w życiu nie słyszała o panu O’Hanlonie, ale już pierwsze słowa, które wygłosił, dały jej wystarczające wyobrażenie o tym, kto zacz. Był to mianowicie zupełnie zwyczajny, bogobojny mąż, nieróżniący się niczym od innych zwyczajnych, bogobojnych mężów, poza tym, że porzucił pracę zawodową, aby poświęcić cały swój czas zmaganiom o zachowanie systemu segregacji rasowej. Cóż, pomyślała, ludzie miewają przedziwne hobby.

Pan O’Hanlon, jasny szatyn o błękitnych oczach i twarzy muła, nosił dość szokujący krawat i wystąpił bez marynarki. Po chwili zresztą rozluźnił węzeł pod szyją, rozpiął kołnierzyk, po czym zatrzepotał powiekami, powiódł dłonią po włosach i przeszedł do rzeczy.

Urodził się i wychował na Południu, gdzie uczęszczał do szkoły, poślubił damę z Południa, przeżył tam całe życie, a tym, co interesowało pana O’Hanlona najbardziej, było ratowanie południowego stylu życia, bo przecież żaden czarnuch i żaden Sąd Najwyższy nie ma prawa mówić mu – ani nikomu innemu – jak należy żyć... Rasa to rzecz niezmienna jak... Inherentnej niższości... Lubieżne, wełniste łby... Wciąż na drzewach... Cuchnące brudasy... Brać nasze córki za żony... Kundlic rasę... Kundlic... KUNDLIĆ... Ratowanie Południa... Czarny Poniedziałek... Niżej od karaluchów... Wszak Bóg stworzył rasy... Nikt nie wie dlaczego, lecz to On sam ustanowił segregację... Gdyby miał inne zamiary, uczyniłby nas jednokolorowymi... Z powrotem do Afryki...

W głowie Jean Louise rozległ się nagle cichy głos ojca, głos z dawnej, cieplej, przytulnej przeszłości. „Panowie, jeśli jest w całym świecie jedno takie hasło, w które naprawdę wierzę, to brzmi ono tak: »Równe prawa dla wszystkich, szczególne przywileje – dla nikogo«”.

Zaś czołowi kaznodzieje czarnuchów... Niczym małpy... Usta zdolne pomieścić puszkę w rozmiarze 2... Przekręcają Ewangelię... Sąd woli słuchać komunistów... Wywieźć ich wszystkich i rozstrzelać za zdradę...

Pan O'Hanlon kontynuował swą monotonną diatrybę, a w pamięci Jean Louise z wolna klarowało się inne wspomnienie, jawnie przeczące jego słowom. Oto znowu spoglądała z góry na te same głowy, ale na sali sądowej zapanowało lekkie poruszenie. Przeniosła wzrok ku podwyższeniu dla ławników, potem na sędziego Taylora i wreszcie na towarzyszącego mu niczym ryba-pilot stenografa. Jej ojciec właśnie wychodził zza stołu, przy którym zasiadał jeden z „lubieżnych, wełnistych łbów”...

Atticus Finch rzadko przyjmował sprawy kryminalne, nie gustował bowiem w prawie karnym. Tylko z jednego powodu zaakceptował akurat tę: po prostu wiedział, że jego klient nie jest winny zarzucanych mu czynów i dlatego za nic w świecie nie mógł pozwolić na to, by czarnoskóry chłopak trafił do więzienia, dostając obrońcę z urzędu, któremu nie zależało na niczym. Oskarżony trafił doń za sprawą Calpurnii. Kobieta opowiedziała swemu chlebodawcy całą historię – tę prawdziwą. Była to prawda nader paskudna.

Atticus ryzykował karierę, ujawniając fałszywość oskarżenia. Stał przed sądem i dokonał tego, co w hrabstwie Maycomb nie udało się nikomu ani wcześniej, ani później: dowiódł niewinności kolorowego w sprawie o gwałt. Głównym świadkiem oskarżenia była biała dziewczyna.

Atticus wykorzystał wtedy dwa wielce znaczące fakty. Po pierwsze, choć rzekomo pokrzywdzona miała tylko czternaście lat, w akcie oskarżenia nie było mowy o gwałcie na nieletniej, toteż mógł – i zdołał – dowieść, że zbliżenie nastąpiło za jej zgodą. Po drugie, przeprowadzenie rzeczonego dowodu ułatwił fakt, iż wskutek wypadku oskarżony miał tylko jedną sprawną rękę.

Atticus wykorzystał każdą iskrę swego talentu, by doprowadzić tę sprawę do końca po myśli swego klienta, a jednocześnie instynktownie odczuwał niesmak tak gorzki, że mogła go zmyć jedynie świadomość, iż

tylko dzięki takiej postawie będzie mógł dożyć swoich dni w spokoju sumienia. Gdy zapadł werdykt, opuścił salę rozpraw w środku dnia, wrócił pieszo do domu i wziął gorącą kąpiel. Nigdy nie rozważał tego, ile kosztował go tamten dzień; nigdy nie spoglądał w przeszłość. Nie wiedział nawet, że podczas rozprawy obserwowały go z galerii dwie pary oczu tak podobnych do jego.

...nie chodzi o to, czy banda zasmarkanych czarnuchów będzie chodziła do szkoły z waszymi dziećmi albo jeździła w przedniej części autobusu... To kwestia tego, czy chrześcijańska cywilizacja będzie trwać, czy może staniemy się niewolnikami komunistów... Prawnicy czarnuchów... Zdeptali Konstytucję... Nasi żydowscy przyjaciele... Zabili Jezusa... Wybrali czarnucha... Nasi pradziadowie... Czarnuchy-sędziowie i czarnuchy-szeryfowie... Segregacja oznacza równość... Dziewięćdziesiąt pięć procent pieniędzy z podatków... Dla czarnucha i tego starego kundla... Podążając za złotym cielcem... Nauczanie Ewangelii... Stara pani Roosevelt... Zabawia czterdziestu pięciu czarnuchów, ale ani jednej czystej, białej, południowej dziewczyny... Huey Long, ten chrześcijański dżentelmen... Czarny jak wypalony knot... Przekupiono Sąd Najwyższy... Porządni, biali chrześcijanie... Czyż Jezus został ukrzyżowany za czarnuchów...

Dłoń Jean Louise zaczęła się ślizgać. Oderwała ją od balustrady i spojrzała, skóra była mokra od potu. W wilgotnym miejscu na drewnianej poręczy tańczył blask bijący z górnych okien sali. Patrzyła na ojca zasiadającego po prawicy pana O'Hanlona, nie wierząc własnym oczom. Patrzyła też na Henry'ego zasiadającego po lewicy pana O'Hanlona, nie wierząc własnym oczom...

Lecz oni wszyscy naprawdę siedzieli w sali rozpraw. Mężczyźni uczciwi, z charakterem, odpowiedzialni. Mężczyźni wszelkich profesji i o rozmaitej reputacji. Wydawało się, że jedynym z całego hrabstwa, którego tu zabrakło, był wujek Jack. Właśnie, wujek Jack! Czy nie miała się z nim spotkać? O której?

Niewiele wiedziała o sprawach mężczyzn, ale rozumiała, że obecność jej ojca przy jednym stole z człowiekiem, z którego ust lały się tak brudne słowa, czyniła je mniej brudnymi? Nie. Oznaczała przyzwolenie.

Było jej niedobrze. Zaczęła drżeć, czując nagły skurcz żołądka.

Hank.

Wszystkie nerwy w jej ciele wydały ostatni krzyk i umarły. Popadła

w odrętwienie.

Powstała niezgrabnie i chwiejnym krokiem zszedłszy z galerii, ruszyła zabudowanymi schodami w dół. Nie słyszała szurania stóp, którymi ciężko powłóczyła po stopniach. Nie słyszała, jak pracowity ścienny zegar wybija czternastą trzydzieści. Nie czuła już nawet fetoru na parterze.

Pałace słońce boleśnie raziło jej oczy. Zasłoniła twarz dłońmi, a gdy je wolno cofnęła, dając sobie czas na przywyknienie do jaskrawego światła, ujrzała bezludne Maycomb, rozedrgane w parnym powietrzu popołudnia.

Zeszła po schodach, by przystanąć w cieniu dębu. Wyciągnęła rękę, chcąc oprzeć się o jego pień. Znowu popatrzyła na miasto i coś chwyciło ją za gardło: Maycomb odwzajemniało spojrzenie.

„Odejdź” – mówiły stare budynki. „Nie ma tu dla ciebie miejsca. Nie jesteś tu mile widziana. Mamy swoje tajemnice”.

Usłuchała. W bezdźwięcznym skwarze ruszyła główną ulicą miasta, której przedłużeniem była szosa do Montgomery. Maszerowała, mijając domy o rozległych podwórzach, na których krzątały się damy-ogrodniczki w asyście powolnych i postawnych mężów. Zdawało jej się, że pani Wheeler pokrzykuje do panny Maudie Atkinson z drugiej strony ulicy. Gdyby panna Maudie zobaczyła ją w tej chwili, powiedziałyby pewnie: „Chodź, dam ci ciasta; upiekłam wielkie dla pana doktora i małe dla was”. Przez jakiś czas liczyła pęknięcia w chodnikowych płytach, zbrojąc się w duchu przed atakiem pani Henry Lafayette Dubose: „Nie waż się mówić do mnie »hej«, Jean Louise, mówi się »dzień dobry«!”, a potem minęła w pośpiechu stary budynek ze stromym dachem, chałupkę panny Rachel i już stała przed swoim domem.

LODY DOMOWEJ ROBOTY.

Z całej siły zacisnęła powieki. Chyba oszalałam, pomyślała.

Spróbowała ruszyć dalej, ale było za późno. Kanciasta, niewysoka, nowoczesna lodziarnia stała w miejscu, w którym niegdyś znajdował się jej dom. Drzwi były otwarte, a z okienka spoglądał na nią jakiś mężczyzna. Wyłowiła ćwierćdolarówkę z kieszeni spodni.

– Mogę prosić o rozek waniliowy?

– Rozków już się nie produkuje. Mogę dać...

– Nie ma sprawy. Proszę dać, co tylko pan ma – wpadła mu w słowo.

– Jean Louise Finch, prawda? – spytał.

– Tak.

– Mieszkała pani tu kiedyś, prawda?
– Tak.
– A nawet się tu urodziła, prawda?
– Tak.
– Maycomb się zmieniło, prawda?
– Tak.
– Ale nadal mnie pani nie pamięta, prawda?
– Nie pamiętam.
– No to pani nie powiem, kim jestem. Proszę sobie tam usiąść, zjeść loda i spróbować odgadnąć. Jeśli się pani uda, dokładkę dostanie pani za darmo.

– Dziękuję panu – odpowiedziała. – Mogłabym przejść tam, na tyły?
– Jasne. Mamy stoliki i krzeselka. Ludzie lubią siadywać w tym miejscu, gdy przychodzą wieczorem na lody.

Na podwórku za budynkiem lodziarni rozsypano biały żwirek. Jak tu ciasno bez domu, bez garażu i bez dorodnych miotli, pomyślała. Usiadła przy stoliku i położyła na blacie pudełko lodów. Muszę to przemyśleć.

To, co się stało, stało się tak szybko, że jej żołądek wciąż jeszcze pulsował. Odetchnęła głęboko, próbując go uspokoić, ale bez rezultatu. Poczula, że zielenieje, że zbliża się wysoka fala mdłości. Szybko opuściła głowę. Nie, nie mogła myśleć. Jednak coś wiedziała.

Jedyna ludzka istota, której ufała bezgranicznie, całym sercem, zawiodła ją. Jedyny mężczyzna, na którego zawsze mogła wskazać i powiedzieć z pełnym przekonaniem: „Oto dżentelmen, dżentelmen z głębi duszy i serca”, właśnie ją zdradził – publicznie, ohydnie, bezwstydnie.

9

Prawość, humor i cierpliwość – oto trzy słowa, z którymi kojarzył się ludziom Atticus Finch. Można było zdefiniować go i w inny sposób: wybierz dowolnego obywatela hrabstwa Maycomb, nie zważając na jego pozycję, i spytaj o Atticusa Fincha, a najprawdopodobniej usłyszysz: „Nigdy nie miałem lepszego przyjaciela”.

Tajemnica życia Atticusa Fincha była prosta i bardzo złożona zarazem. Większość ludzi potrzebowała kodeksów i ledwie próbowała się do nich stosować, on zaś przestrzegał swojego co do joty, bez wysiłku, bez fanfar i rozterek duszy. Nie miał drugiej natury. Zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz był takim samym człowiekiem. Cały jego kodeks postępowania to prosta etyka Nowego Testamentu, zaś nagrodą za przestrzeganie – szacunek i oddanie wszystkich, którzy mieli okazję poznać Atticusa. Kochali go nawet wrogowie, ponieważ nawet nie twierdził, że są wrogami. Nigdy nie zdobył majątku, lecz mimo to był najbogatszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkały jego dzieci. Miały okazję poznać go lepiej, niż to się zwykle zdarza w rodzinach. Jeszcze w czasach, gdy pracował w legislaturze, Atticus poznał, pokochał i poślubił dziewczynę z Montgomery, młodszą odeń o dobrych piętnaście lat. Sprowadził ją do Maycomb i zamieszkali w nowo nabytym domu przy głównej ulicy. Kiedy miał czterdzieści dwa lata, urodziła mu syna, któremu nadali imiona na cześć jego ojca i dziadka: Jeremy Atticus. Cztery lata później na świat przyszła córka, którą nazwali Jean Louise, na cześć jej matki i babki. Minęły jeszcze dwa sezony, nim Atticus wrócił pewnego wieczora z pracy i znalazł żonę martwą – leżała za parawanem

dorodnych glicynii, czyniących kąt werandy tak przytulnym miejscem. Od zgonu minęła ledwie chwila; fotel na biegunach, z którego spadła, jeszcze się bujał. To właśnie Jean Graham Finch wniosła do rodziny owo słabe serce, które dwadzieścia dwa lata później zabiło Jema na chodniku za oknem biura ojca.

Atticus miał więc czterdzieści osiem lat, gdy został wdowcem z dwojgiem małych dzieci i murzyńską kucharką imieniem Calpurnia. Należy wątpić, by kiedykolwiek szukał sensu tego, co go spotkało. Starał się po prostu wychować potomstwo najlepiej, jak umiał. I odniósł sukces, jeśli jego miarą może być uczucie, którym obdarzyły go dzieci. Nigdy nie był zbyt zmęczony, by pograć z nimi w głupiego Jasia; nigdy zbyt zajęty, by wymyślać fantastyczne historie; nigdy zbyt pochłonięty własnymi sprawami, by z uwagą wysłuchać relacji czy skargi. Ponadto każdego wieczora czytał im na głos aż do zachrypnięcia.

Czyniąc to, Atticus upiekł kilka pieczeni na jednym ogniu, choć prawdopodobnie srodze rozczarowałyby psychologa dziecięcego swą metodą. Czytał bowiem Jemowi i Jean Louise to, co akurat było i jego lekturą, sącząc w ich głowy wiedzę zgoła osobliwą. Dzieci ząbkowały, chłonąc tajniki historii wojskowości, treść nowych ustaw, *Zagadki detektywistyczne*, *Kodeks Alabamy*, Biblię oraz *Złoty skarbiec* Palgrave'a, antologię angielskiej poezji.

Dokądkolwiek się udawał, zwykle zabierał ze sobą Jema i Jean Louise. Byli z nim w Montgomery podczas letnich sesji stanowego parlamentu, na meczach futbolu amerykańskiego, na kongresach politycznych, w kościele, a także w biurze, gdy musiał popracować do nocy. Po zachodzie słońca rzadko widywano Atticusa w miejscach publicznych bez dzieci.

Jean Louise nie znała matki, nie wiedziała nawet, czym tak naprawdę jest matka, lecz mimo to rzadko jej potrzebowała. Odkąd sięgała pamięcią, nigdy nie została źle zrozumiana przez ojca, nigdy też nie potraktował jej niezręcznie – poza tym jednym przypadkiem, gdy miała lat jedenaście. Był to pamiętny dzień, w którym wróciła ze szkoły na obiad i odkryła, że właśnie zaczęła krwawić.

Pomyślała naturalnie, że umiera, i zaczęła krzyczeć wniebogłose. Calpurnia, Atticus i Jem przybiegli do niej natychmiast. Gdy Atticus oraz Jem zrozumieli, co się stało, mogli jedynie spojrzeć bezradnie na Calpurnię i zostawić sprawę w jej rękach.

Aż do tej chwili Jean Louise jakoś nie była świadoma, że jest dziewczynką. Żyła aktywnie i nieostrożnie, wdając się w bijatyki, grając w piłkę, wspinając się na drzewa, zawsze i wszędzie dotrzymując kroku starszemu Jemowi oraz nieodmiennie górując nad rówieśnikami we wszystkim, co wymagało sprawności fizycznej.

Gdy wreszcie uspokoiła się na tyle, by wysłuchać Calpurnii, szybko dotarło do niej, jak okrutnie zdrwił z niej los: oto musiała wkroczyć do kobiecego świata, którym szczerze gardziła, którego nie pojmowała, i przed którym nie umiała się bronić – do świata, który w dodatku wcale jej nie chciał.

Jem porzucił ją, gdy miał szesnaście lat. Zaczął na mokro zaczesywać włosy do tyłu i umawiać się z dziewczynami. Wtedy, gdy jedynym przyjacielem Jean Louise został Atticus, na stare śmieci powrócił doktor Finch.

Dwaj starzejący się mężczyźni przeprowadzili ją pospołu przez najbardziej samotne i najtrudniejsze godziny, przez chaos oraz koszmary towarzyszące przemianie z rozbrykanej chłopczycy w młodą kobietę. Atticus wyjął z rąk dziewczyny wiatrówkę i wręczył kij golfowy, zaś doktor Finch uczył ją... Doktor Finch uczył ją tego, co sam uważał za ciekawe. Bez przekonania i tylko na użytek świata uczestniczyła w grze pozorów: w stopniu dostatecznym opanowała skomplikowane zasady, którymi powinna się kierować dorastająca dziewczyna z dobrej rodziny; zdołała wykształcić w sobie coś w rodzaju półzainteresowania ubraniami, chłopcami, fryzurami, plotkami i kobiecymi aspiracjami. Zmieniła się, lecz nigdy nie czuła się pewnie z dala od bezpiecznej przystani – od ludzi, w których miłość wierzyła bezwarunkowo.

Atticus posłał ją do college'u dla kobiet w Georgii, a gdy skończyła naukę, orzekł, że już najwyższy czas, by zaczęła radzić sobie samodzielnie – może na przykład w Nowym Jorku? Poczuli się wtedy lekko urażona, jakby wyrzucono ją z domu, ale po latach doceniła prawdziwą wartość ojcowskiej mądrości. Atticus się starzał i pragnął odejść w błogiej świadomości, że jego córka poradzi sobie w życiu.

W istocie przecież ani na chwilę nie została sama, zawsze towarzyszyła jej najpotężniejsza z moralnych sił kształtujących jej życie – miłość ojca. Jean Louise nigdy jej nie kwestionowała, nigdy o niej nie myślała, nigdy nawet nie zdawała sobie sprawy, że za każdym razem, gdy musi podjąć decyzję, odruchowo i podświadomie zadaje sobie pytanie: „A co by zrobił

Atticus?”. Nie była świadoma również tego, że zawsze, gdy się okopywała, by bronić swoich przekonań, to w jego imieniu; że cokolwiek było w jej charakterze porządnego, godnego szacunku, to dzięki niemu. Nie zastanawiała się nawet nad tym, że zwyczajnie uwielbia swego ojca.

Wiedziała jedynie, że współczuje wszystkim rówieśnikom buntującym się przeciwko rodzicom, rzekomo niedającym im tego czy tamtego, rzekomo czegoś im zabraniającym. Żal jej było także owych matron w średnim wieku, odkrywających po długich analizach, że same są źródłem swoich niepokojów; litowała się nad każdym, kto swego ojca nazywał „starym”, sugerując, że to jakiś ordynus, a może i pijaczyna, który okrutnie, niewybaczalnie wręcz zawiódł swoje potomstwo.

Innymi słowy, szafowała współczuciem, bezpieczna w swym małym, przytulnym świecie.

10

Jean Louise podniosła się z ogrodowego krzesła, na którym siedziała, i udawszy się w kąć posesji, zwróciła swój niedzielny obiad. Wbiła palce w oka drucianej siatki oddzielającej ogród panny Rachel od dawnego podwórka Finchów. Gdyby był tu Dill, przeskoczyłby już przez ogrodzenie, zbliżył twarz do jej twarzy, pocałował, chwycił za rękę – razem przetrwaliby przecież wszelkie domowe kłopoty. Lecz Dilla już dawno przy niej nie było.

Mdłości powróciły ze zdwojoną siłą, gdy przypomniała sobie scenę w sądzie, ale w jej żołądku nie zostało już nic.

Gdybyś tylko napluł mi w twarz...

Przecież to nadal mogła być jedynie straszliwa pomyłka. Umysł Jean Louise nie chciał przyjąć tego, co widziały oczy i słyszały uszy. Wróciła do stolika, usiadła i zapatrzyła się w kałużę lodów waniliowych, spływającą wolniutko ku krawędzi blatu. Strużka rozdzieliła się, zamarła na moment, a potem pokonała próg i zaczęła kapać. Kap, kap, kap – krople lądowały na białym żwirku i wsiąkały, a gdy osiągnęły punkt nasycenia, pojawiła się nowa, małeńka kałuża.

Zrobiłeś to. To pewne, tak samo jak fakt, że tam siedziałeś.

– I co, odgadła pani moje nazwisko? No proszę, zmarnowała się porcja lodów.

Jean Louise uniosła głowę. Sprzedawca wyglądał tym razem przez okno na tyłach lodziarni, nie więcej niż pięć stóp od jej stolika. Wycofał się po chwili i wrócił ze szmatką w dłoni. Sprzątając kałużę ze stołu, dodał:

– To jak się nazywam?

Rumpelszyk.

– Och, przepraszam – przyjrzała się mężczyźnie nieco uważniej. – Jest pan jednym z Coninghamów, tych przez „C” i „o”?

Sprzedawca wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Prawie. Z tych przez „C” i „u”. Skąd pani wiedziała?

– Podobieństwo rodzinne. Co się stało, że wyniósł się pan z lasu?

– Zostało mi po matce trochę drewna, to sprzedałem i postawiłem tę budę.

– Która godzina? – spytała Jean Louise.

– Dochodzi wpół do piątej – odparł pan Cunningham.

Wstała, uśmiechnęła się na pożegnanie i zapewniła go, że wkrótce znowu tu zajrzy. Przez bite dwie godziny nie wiedziałam, gdzie się znajduję, pomyślała, idąc w stronę chodnika. Jestem taka zmęczona.

Nie chciała wracać do centrum. Poszła okreśną drogą, przez szkolny dziedziniec, aleję dorodnych orzeszników i kolejny plac – boisko do futbolu, na którym dawno temu zdezorientowany Jem zaatakował zawodnika własnej drużyny. Jestem taka zmęczona.

Alexandra czekała na progu; ustąpiła, by przepuścić Jean Louise.

– Gdzie byłaś? – spytała. – Jack dzwonił dawno temu, pytał o ciebie. W takim stroju składałaś wizyty krewnym?

– Ja... Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Jean Louise, zacznij mówić do rzeczy i zadzwoń zaraz do wuja.

Niechętnie podeszła do telefonu.

– Jeden, jeden, dziewięć – powiedziała.

– Doktor Finch – odezwał się głos w słuchawce.

– Przepraszam – szepnęła. – Zobaczymy się jutro?

– Tak.

Była zbyt znużona, by czuć rozbawienie manierami swego wuja, który nie znosił telefonów i najchętniej prowadził rozmowy monosylabami.

Odwróciła się.

– Marnie wyglądasz. Co się stało? – spytała Alexandra.

Łaskawa pani, mój ojciec sprawił, że czuję się jak flądra zostawiona na brzegu przez odpływ, a pani pyta, co się stało?

– Żołądek – mruknęła.

– Sporo tu ostatnio takich dolegliwości. Boli?

Oczywiście, że boli. Jak jasna cholera. Boli tak bardzo, że nie mogę tego znieść.

– Nie, ciociu. To tylko niestrawność.

– Może weź Alka-Seltzer?

Jean Louise odpowiedziała, że tak właśnie zrobi i w tym momencie w głowie Alexandry w końcu zaświtało.

– Jean Louise, a może byłaś na spotkaniu tych panów?

– Byłam.

– W takim stroju?

– Tak.

– I gdzie siedziałaś?

– Na galerii. Nie widzieli mnie. Obserwowałam ich z góry... Ciociu, gdy Hank wpadnie wieczorem, powiedz mu, że jestem... niedysponowana.

– Niedysponowana?

Nie mogła tego znieść ani minuty dłużej.

– Tak, ciociu, a teraz zrobię to, co każda młoda, świeża, biała, chrześcijańska dziewczyna z Południa powinna uczynić, gdy się czuje niedysponowana.

– Co takiego?

– Położę się do łóżka.

Jean Louise poszła do swego pokoju, zamknęła drzwi, rozpięła bluzkę i suwak w spodniach, po czym padła na wznak na żelazne łóżko swej matki. Po omacku chwyciła poduszkę i wcisnęła w nią twarz. Minutę później już spała.

Gdyby była w stanie myśleć logicznie, mogłaby uniknąć nadchodzących wypadków, traktując wydarzenia tego dnia jako epizod historii starej jak świat. Rozdział, w jakim wzięła udział, rozpoczął się dwieście lat wcześniej za sprawą dumnej społeczności, której nie mogły zniszczyć ani najkrwawsza wojna, ani najtrudniejszy pokój. Teraz rozgrywał się na nowo, w bardziej intymnej skali, u schyłku cywilizacji, której nie mogły ocalić ani wojny, ani pokój.

Gdyby zaś potrafiła wejrzeć w siebie, przebić bariery otaczające jej wybiórczy, hermetyczny świat, być może odkryłaby, że całe jej życie naznaczyły skutki pewnego defektu wzroku, którego nawet nie była świadoma, i którego nie uleczyli jej bliscy, a mianowicie Jean Louise od urodzenia nie rozróżniała kolorów.

CZEŚĆ IV

11

Dawno, dawno temu był w życiu Jean Louise taki czas, kiedy jedyne spokojne chwile jej egzystencji stanowiły owe sekundy między otwarciem oczu o poranku a odzyskaniem pełnej świadomości, potem bowiem rozpoczynał się ów koszmar na jawie, który nazywała dniem powszednim.

Jean Louise była wtedy w szóstej klasie, szczególnie pamiętnej przez wzgląd na to, czego dowiedziała się wówczas na lekcjach i poza nimi. W salach i na korytarzach panował tłok, bo do miejscowych dzieciaków dołączyła liczna grupa starszych uczniów z Old Sarum, gdzie ktoś podłożył ogień w budynku szkoły. Najstarszy z chłopców w szóstej klasie pani Blunt miał prawie szesnaście lat i trzech kolegów w podobnym wieku. Było też kilka szesnastoletnich dziewcząt, zmysłowych, zadowolonych z siebie stworzeń, dla których szkoła stanowiła coś w rodzaju wakacji od codziennego znoju przy pieleniu pól bawełny i karmieniu trzody. Panna Blunt była im „równa”, w tym sensie, że wzrostem nie przewyższała najrośniejszego z chłopców, za to była odeń dwukrotnie szersza.

Jean Louise natychmiast polubiła przybyszy z Old Sarum. Po tym, jak przykuła uwagę klasy, nieprzypadkowo wplatając motyw Gastona B. Meansa[19] w dyskusję o bogactwach naturalnych Afryki Południowej, a następnie podczas przerwy dowiodła swej nieprzeciętnej biegłości w strzelaniu z pistoletu na gumkę, nowi w pełni odwzajemnili jej zaufanie.

Z typową dla siebie szorstką łagodnością starsi chłopcy pomogli jej

zdobyć cenne umiejętności: nauczyli ją grać w kości oraz żuć tytoń, nie gubiąc ani kawałeczka. Dziewczęta z kolei głównie chichotały, zasłaniając usta dłońmi, i szeptały między sobą z zapalem, lecz mimo to Jean Louise uważała, że bywają przydatne, zwłaszcza gdy trzeba było wybierać strony przed meczem siatkówki. Wszystko wskazywało, że będzie to cudowny rok.

Cudowny był jednak tylko do owego dnia, gdy przyszła do domu na obiad i już nie wróciła na lekcje: spędziła całe popołudnie, płacząc z wściekłości i starając się zrozumieć straszliwe nowiny, które przyniosła jej Calpurnia.

Następnego dnia kroczyła do szkoły z niesłychaną godnością, choć bez dumy, obciążona damskim rynsztunkiem, którego wcześniej nie знаła. Była przekonana, że wszyscy doskonale wiedzą, co się z nią dzieje, że ją obserwują. Zadziwiające wydawało się jedynie, że przez tyle lat nie słyszała choćby słowa o tym, czego teraz doświadczała. A może jednak nikt o tym nie wie, pomyślała. Nawet jeśli, ja niestety wiem.

Na przerwie, gdy George Hill zaprosił ją do zabawy w Gorący Tłuszcz w Kuchni, pokręciła głową.

– Ja już nic nie mogę robić – powiedziała, siadając na schodach, by podziwiać chłopców tarzających się w kłębach kurzu. – Nie mogę nawet chodzić.

Gdy już dłużej nie była w stanie tego znieść, dołączyła do gromadki dziewcząt pod wielkim dębem w kącie szkolnego dziedzińca.

Ada Belle Stevens powitała ją śmiechem, ale przesunęła się, robiąc jej miejsce na długiej betonowej ławce.

– Dlaczego się nie bawisz? – spytała.

– Bo nie chcę – odpowiedziała Jean Louise.

Ada Belle zmrużyła oczy, a jej białe brwi drgnęły nieznacznie.

– Założę się, że wiem, co się z tobą dzieje.

– Co?

– Masz klątwę.

– Co takiego?

– Klątwę. Klątwę Ewy. Nie miałybyśmy jej, gdyby Ewa nie zżarła jabłka. Żle się czujesz?

– Nie – odparła Jean Louise, w duchu przeklinając Ewę. – Skąd wiedziałas?

– Łazisz, jakbyś jechała na oklep na gniadej kobyle – wyjaśniła Ada

Belle. – Przyzwyczaisz się. Ja mam to samo od lat.

– Nigdy się nie przyzwyczaję.

Nie było jej łatwo. Nie mogąc oddawać się zajęciom, którymi zwykle zabijała czas, Jean Louise poprzestała na hazardzie, grając na małe kwoty za stertą węgla na tyłach szkoły. Świadomość niebezpieczeństwa podobała jej się znacznie bardziej niż sama gra. Skaut nie była dostatecznie dobra z arytmetyki, by się przejmować tym, co przegrała, a co wygrała. Przyjemność nie polegała na pokonywaniu praw rachunku prawdopodobieństwa, ale na wodzeniu za nos panny Blunt. W grze brali udział co bardziej leniwi chłopcy z Old Sarum, a najbardziej leniwym z nich był niejaki Albert Coningham, z gatunku wolno myślących, któremu Jean Louise co sześć tygodni służyła bezcenną pomocą podczas testów.

Pewnego dnia, gdy dzwonek wezwał ich na lekcje, Albert wstał i otrzepując pył węglowy z portek, rzekł:

– Zaczekaj no, Jean Louise.

Zaczekała.

Gdy zostali sami, Albert powiedział:

– Chcę, abyś wiedziała, że tym razem dostałem z geografii C z minusem.

– To świetnie, Albercie.

– Chciałem ci podziękować.

– Nie ma za co.

Albert zarumienił się aż po linię włosów, a potem przyciągnął Jean Louise do siebie i pocałował. Odsunęła się czym prędzej, czując na ustach jego mokry, ciepły język. Nikt nigdy nie próbował całować jej w taki sposób. Albert wypuścił dziewczynę i odmaszerował w kierunku szkoły. Podążyła za nim, lekko otumaniona i poirytowana.

Do tej pory musiała znosić jedynie pocałunki krewnych w policzek, który natychmiast ukradkiem wycierała. Atticus też czasem ją całował, i to gdzie popadło, natomiast Jem nie robił tego nigdy. Doszedłszy do wniosku, że Albert po prostu nie trafił tam, gdzie zamierzał, wkrótce zapomniała o sprawie.

Mijały miesiące, a zrezygnowana Jean Louise siadywała z dziewczętami pod drzewem, w duchu przeklinając swój los, a wzrokiem śledząc chłopaków szalejących po dziedzińcu. Pewnego ranka, gdy się nieznacznie spóźniła, jej starsze koleżanki chichotały jakby dyskretniej

niż zwykle. Zażądała wyjaśnień.

– Chodzi o Francine Owen – odpowiedziała jedna z nich.

– Francine Owen? Nie ma jej od paru dni – przypomniała sobie Jean Louise.

– Wiesz dlaczego? – spytała Ada Belle.

– Nie.

– Z powodu jej siostry. Obie zabrała opieka społeczna.

Szturchnięta w bok, Ada Belle posunęła się nieco, robiąc miejsce na ławie dla Jean Louise.

– A co z nią?

– Jest w ciąży, a wiesz z kim? Z tatą.

– Co znaczy „w ciąży”? – spytała Jean Louise.

W kręgu dziewcząt rozległ się chóralny jęk.

– Będzie miała dziecko, głupolu.

Jean Louise zakodowała sobie w pamięci nową definicję.

– Ale co ma z tym wspólnego jej tata? – spytała po chwili.

Ada Belle westchnęła.

– Jej tata jest tatą.

Jean Louise parsknęła śmiechem.

– Daj spokój, Ado Belle...

– Taka jest prawda, Jean Louise. Założę się, że Francine nie jest w ciąży tylko dlatego, że jeszcze nie zaczęła.

– Czego nie zaczęła?

– Ministruować – odparła zniecierpliwiona Ada Belle. – Na pewno robił to z obiema.

– Co robił? – Jean Louise była już kompletnie skołowana.

Dziewczęta zakwiczały z uciechy.

– Ty o niczym nie masz pojęcia, Jean Louise – oznajmiła Ada Belle. – Najpierw musisz... A potem, jeśli najpierw zaczęłaś, a potem to zrobiłaś, jak nic będziesz miała dziecko.

– Ale co zrobiłam, Ado Belle?

Ada Belle spojrzała po twarzach koleżanek i mrugnęła do nich porozumiewawczo.

– Do tego potrzeba chłopaka. Musi cię mocno ścisnąć, potem strasznie dyszeć, a potem pocałować po francusku. Wystarczy, że całując otworzy usta i wetknie język w twoje i...

Donośne dzwonięcie w uszach Jean Louise sprawiło, że nie słyszała

dalszego ciągu wyjaśnień. Poczwała, że krew odpływa jej z twarzy, a dłonie wilgotnieją. Spróbowała przełknąć ślinę. Postanowiła, że nie odejdzie, bo gdyby to zrobiła, od razu by się domyśliły. Stała więc, próbując się uśmiechać, ale wargi jej drżały. Zacisnęła je z całej siły, aż zgrzytnęły zęby.

– ...i już po wszystkim. Co z tobą, Jean Louise? Błada jesteś jak duch. Chyba cię nie wystraszyłam, co? – Ada Belle uśmiechnęła się chytrze.

– Nie – odpowiedziała dzielnie Jean Louise. – Tylko jakoś mi chłodno. Chyba wejdę do środka.

Idąc ukosem przez szkolne podwórze, modliła się w duchu, by nie zauważyły, jak bardzo trzęsą się jej kolana. Dotarwszy do dziewczęcej toalety pochyliła się nad umywalką i z wymiotowała.

Nie miała najmniejszych wątpliwości. Stało się: Albert dotknął jej językiem.

Była w ciąży.

Do tej pory miała raczej blade, lecz, jak sądziła, wystarczające pojęcie o zasadach rządzących światem dorosłych. Wiedziała na przykład, że można nie mieć męża, a mimo to mieć dziecko. Aż do tej chwili nie obchodziło ją, w jaki sposób może dojść do takiej sytuacji; temat był po prostu z gruntu nieciekawym. Pamiętała jedynie, że gdy kobiecie trafi się nieślubne dziecko, hańba spada na całą jej rodzinę. Słyszała kiedyś, jak Alexandra rozprawiała o Zakale Rodziny; zhańbienie objawiało się głównie tym, że pannę z dzieckiem odsyłano do Mobile, do jakiegoś „domu”, z dala od porządnym ludzi, a jej rodzinie nie wolno było więcej chodzić z podniesioną głową. Raz nawet zdarzyło się coś takiego w jednym z domów przy drodze na Montgomery, a wtedy damy z drugiego końca ulicy szeptały o tym tygodniami.

Jean Louise nienawidziła samej siebie i wszystkich dookoła. Nikomu nie uczyniła przecież krzywdy. Nieuczciwość tego, co ją spotkało, wręcz przytłaczała dziewczynę. Przecież nawet nie chciała, żeby coś podobnego się stało!

Wycofawszy się chyłkiem ze szkoły, poszła na tyły domu, wdrapała się na miodlę rosnącą na podwórzu i przesiedziała w jej konarach aż do obiadu.

Obiad zaś zjadła w milczeniu i dłużył się jej niemiłosiernie. Ledwie zauważała Jema i Atticusa przy stole. W końcu wróciła na drzewo i spędziła tam resztę dnia, aż wreszcie o zmroku zawołał ją ojciec.

– Złaż już – powiedział.

Była zbyt przybita, żeby zareagować, nawet na jego lodowaty ton.

– Dzwoniła panna Blunt. Mówiła, że wyszłaś ze szkoły na przerwę i już nie wróciłaś. Gdzie się podziewałaś?

– Siedziałam na drzewie.

– Źle się czujesz? Przecież wiesz, że kiedy tak się zdarzy, masz się meldować u Calpurnii.

– Nie.

– Skoro nie czujesz się źle, w jaki sposób zamierzasz wyjaśnić mi swoje zachowanie? Masz jakąś wymówkę?

– Nie mam.

– Zatem posłuchaj, co ci powiem: jeśli to się powtórzy, będziesz miała ze mną do czynienia.

– Dobrze.

Chciała mu powiedzieć, chciała zrzucić z ramion ten ciężar, słowa miała już na końcu języka, a jednak milczała.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak.

– W takim razie chodź do domu.

Przy kolacji miała ochotę cisnąć pełnym talerzem w Jema, piętnastolatka nieporównywalnie swobodniej nawiązującego kontakt z ojcem. Jem bowiem tylko od czasu do czasu rzucał jej karcące spojrzenia. Już ja ci się odwdzięczę, spokojna głowa, obiecała mu w myślach. Ale teraz nie mogę.

Każdego ranka budziła się pełna kociej energii i najlepszych intencji – i każdego ranka zaraz powracała dusząca groza: oczekiwanie na dziecko. Za dnia myśl o tym, co ma się zdarzyć, czaiła się nieustannie gdzieś na granicy świadomości, gotowa powrócić w najmniej oczekiwanej chwili, jak drwiący szept.

Sprawdziła w słowniku wyraz „noworodek” i nie znalazła nic ciekawego; jeszcze mniej napisano o „porodzie”. Znalazłszy w biblioteczkę bardzo starą książkę zatytułowaną *Diabły, leki i lekarze* przeraziła się i wpadła w niemą histerię na widok rycin przedstawiających średniowieczne fotele porodowe i instrumenty położnicze. Nie podniosła jej na duchu wiadomość o tym, że ciężarnymi często rzucano o ścianę, by wywołać poród. Stopniowo zbierała za to informacje od koleżanek ze szkoły, celowo zadając pytania

w parotygodniowych odstępach, by nikt nie nabrał podejrzeń.

Tak długo, jak było to możliwe, unikała Calpurnii, przekonana, że została przezeń okłamana. Cal powiedziała przecież, że wszystkie dziewczęta miewają to, co się jej przytrafiło, że to rzecz równie naturalna jak oddychanie, że to oznaka dorastania i że ustanie grubo po pięćdziesiątce. Na wieść o tym, że aż do późnej starości nie zazna już żadnych zabaw, które tak lubiła, Jean Louise wpadła w rozpacz i postanowiła nie zadawać więcej pytań. Co gorsza, Cal nie wspomniała jej ani słowem o dzieciach oraz francuskich pocałunkach.

W końcu jednak Jean Louise przemogła się i ostrożnie wypytała kucharkę o rodzinę Owenów. Calpurnia oświadczyła na początek, że nie ma ochoty rozmawiać o panie Owenie, który nie zasługuje nawet na to, by go nazywać człowiekiem, ale owszem, to prawda, zamknęli go w więzieniu i spędzi tam dłuższy czas. Tak, siostrę Francine, biedactwo, rzeczywiście odesłano do Mobile. Francine trafiła zaś do Baptistycznego Domu Sierot w hrabstwie Abbott. Jean Louise natomiast nie powinna zaprzętać sobie myśli tym towarzystwem. Widząc, że Calpurnia zaczyna wpadać w furję, Skaut postanowiła odpuścić.

Gdy odkryła, że do porodu musi minąć dziewięć miesięcy, poczuła się jak skazaniec, któremu odroczone wyrok. Liczyła tygodnie, zaznaczając je w kalendarzu, nie zważając na to, że zanim rozpoczęła owe zapiski, minęły już cztery miesiące. Im bardziej zbliżał się czas rozwiązania, w tym głębszej panice spędzała dni i noce, wyczekując chwili, w której znajdzie przy sobie noworodka. Tego, że dziecko lęgnie się gdzieś w brzuchu, była absolutnie pewna.

Instynktownie starała się unikać jeszcze jednej myśli, która prześladowała ją od dłuższego czasu: myśli o rozstaniu. Wprost nie mogła jej znieść, ale wiedziała, że przyjdzie w końcu ten dzień, w którym nic już nie uda się ukryć ani odłożyć na potem. Choć relacje dziewczyny z Atticusem i Jemem były w głębokim kryzysie („Ostatnio jesteś wręcz beznadziejna, Jean Louise” – oznajmił ojciec. „Czy ty w ogóle możesz skupić się na czymś przez pięć minut?”), nie potrafiła sobie wyobrazić egzystencji bez nich, bez względu na to, jak pięknie mogło być w niebie. Tego, że mogłaby trafić do Mobile, skazując swą rodzinę na życie z pochyloną głową, nawet nie brała pod uwagę; czegoś takiego nie życzyła nawet cioci Alexandrze.

Według jej obliczeń dziecko miało przyjść na świat w październiku.

Zaplanowała, że odbierze sobie życie trzydziestego września.

W Alabamie jesień nadchodzi późno. Czasem można przysiąc na ogrodowych krzesłach bez grubego płaszcza nawet i w Halloween. Wieczory są długie, ale ciemność zapada nagle: niebo zmienia barwę z mętnego oranżu na ciemny granat, zanim się zrobi pięć kroków. Wraz z blaskiem słońca gaśnie też ciepło dnia, a wtedy mało komu chce się wychodzić z domu.

Jesień była jednak i najszcześniejszą porą. W kształtach i dźwiękach, które przynosiła, nie brakowało nadziei. Słyszac odgłosy zderzeń skórzanej piłki z młodymi ciałami, dobiegające z pobliskiego boiska, Jean Louise rozmyślała o szkolnej orkiestrze, zimnej coca-coli i prażonych orzeszkach ziemnych, a także o widoku pary wokół ust przechodniów. Nawet zbliżające się rozpoczęcie roku szkolnego wydawało jej się czymś, na co warto czekać: dumiała o starych konfliktach oraz przyjaźniach, o tygodniach spędzanych na przypominaniu sobie tego, o czym w połowie zapomniało się przez długie lato. Jesień była porą ciepłych kolacji i rozkoszowania się smakiem wszystkiego, czego nie udało się docenić sennym rankiem. Świat przeżywał najlepsze chwile, a ona właśnie miała go opuścić.

Miała już dwanaście lat i chodziła do siódmej klasy, ale nie mogła zbyt cieszyć się z ukończenia podstawówki; nie zachwycała się ani przemarszami z klasy do klasy na kolejne lekcje, ani zajęciami z nowymi nauczycielami, ani nawet tym, że znalazła się bliżej swego bohatera, starszego brata. Atticus wyjechał do Montgomery, zajęty polityką, a Jema widywała tak rzadko, że równie dobrze mogłoby go nie być.

Trzydziestego września przesiedziała lekcje w stanie tak głębokiej apatii, że nie zapamiętała niczego. Gdy dobiegły końca, poszła do biblioteki i została tak długo, aż woźny kazał jej się wynosić. Wolnym krokiem ruszyła w stronę miasta, by jak najdłużej być jego obywatelem. Dzień miał się ku końcowi, kiedy przekraczała stary tor kolejowy opodal chłodni. Portier Theodore pozdrowił ją, gdy go mijała. Poszła dalej, oglądając się raz po raz, aż zniknął w swojej stróżówce.

Miejska wieża ciśień stała na polu w pobliżu chłodni i była najwyższą budowlą, jaką Jean Louise kiedykolwiek widziała. Długa i wąska drabinka łączyła ziemię z niewielką galeryjką otaczającą zbiornik.

Rzuciwszy książki na ziemię, zaczęła się wspinać. Kiedy znajdowała

się wyżej, niż sięgały korony miodli w ogródku Finchów, spojrzała w dół i zakreśliła jej się w głowie. Od tej chwili patrzyła już tylko w górę.

Miała pod sobą całe Maycomb. Zdawało jej się nawet, że widzi swój dom: Calpurnia pewnie piekła herbatniki, a Jem miał lada chwila wrócić z treningu. Spojrzała w stronę placu i dostrzegła Henry'ego Clintona, który właśnie wyszedł z Jitney Jungle, niosąc torby z zakupami, które ostrożnie ułożył na tylnym siedzeniu czyjś samochodu. Uśmiechnęła się niespodziewanie, gdy w jednej chwili zapaliły się wszystkie latarnie w centrum miasteczka.

Siedziała na brzeżku galerii, machając nogami. Nie przestała nawet wtedy, kiedy zgubiła jeden, a chwilę później drugi but. Zastanawiała się, jaki będzie miała pogrzeb. Stara pani Duff pewnie przesiedzi całą noc, każąc ludziom wpisywać się do księgi. Czy Jem będzie płakał? Jeśli tak, to po raz pierwszy.

Nie była pewna, czy powinna skoczyć na główkę, czy po prostu zsunąć się z galerii. Może gdyby spadła na plecy, nie bolałoby aż tak bardzo? Zastanawiała się, czy jej bliscy kiedykolwiek się dowiedzą, jak bardzo ich kochała.

Nagle ktoś ją chwycił. Zesztywniała, czując, jak mocne ręce przyciskają jej ramiona do boków. To były dłonie Henry'ego, zielone od warzyw, które dźwigał. Chłopak bez słowa postawił ją na nogi, a potem poprowadził w stronę pionowej drabinki.

Gdy stanęli na ziemi, pociągnął ją za włosy.

– Przysięgam na Boga, że tym razem powiem o wszystkim panu Finchowi! – ryknął. – Przysięgam, Skaucie! Coś ty sobie wyobrażała, włączając na tę wieżę? Przecież mogłaś się zabić!

Znowu szarpnął ją za włosy i kilka z nich zostało mu w dłoni. Potrząsnął nią jeszcze, a potem rozwiązał i zdjął swój biały fartuch, zwinął go w kłęb i ze złością cisnął na ziemię.

– Nie rozumiesz, że groziła ci śmierć? Rozum ci odjęło?

Jean Louise spoglądała na niego pustym wzrokiem.

– Theodore wypatrzył cię na górze i zaraz poleciał po pana Fincha, ale nie mógł go znaleźć, więc przybiegł do mnie. Boże Wszechmogący!

Dopiero teraz, widząc, jak Skaut drży, zrozumiał, że wcale nie weszła na górę po to, by się bawić. Delikatnie położył dłoń na jej karku, a w drodze do domu próbował dowiedzieć się, co ją gryzie, ale nie pisnęła ani słowa. Zostawił ją w salonie i poszedł do kuchni.

– Skarbie, coś ty tam robiła?

Zwracając się do niej, Calpurnia nieodmiennie używała tonu, w którym mieszały się szorstka czułość i łagodna dezaprobata.

– Panie Hanku – dodała – niech no pan lepiej wraca już do sklepu. Pan Fred pewnie zachodzi w głowę, co się z panem stało.

W zamyśleniu, żując słodką gumę, Calpurnia przez dłuższą chwilę przyglądała się Jean Louise.

– No, co znowu wykombinowałaś? – spytała. – Po co wlazłaś na wieżę ciśnień?

Skaut ani drgnęła.

– Jeśli mi powiesz, nic nie zdradzę panu Finchowi. Co cię gryzie, skarbie?

Calpurnia przysiadła obok Jean Louise. Wiek średni miała już za sobą i zaczynała pomału przybierać na wadze. Coraz częściej też mrużyła słabnące oczy widoczne pod czupryną siwiejących loków. Położywszy dłonie na kolanach, wbiła w nie nieruchome spojrzenie.

– Chyba nie ma na tym świecie czegoś tak złego, żebyś nie mogła mi o tym powiedzieć – odezwała się po chwili.

Jean Louise rzuciła się na jej kolana i zaraz poczuła na ramionach oraz grzbiecie szorstkie, czułe dłonie Calpurnii.

– Będę miała dziecko! – zaszlochała.

– Kiedy?

– Jutro!

Calpurnia podniosła Jean Louise i otarła jej twarz rogiem fartucha.

– Na miłość boską, skąd ci to przyszło do głowy?

Połykając łzy, Jean Louise wyznała jej całą haniebną prawdę, niczego nie pomijając, a potem błagała, by nie odsyłano jej do Mobile, nie rozciągano ani nie rzucono nią o ścianę.

– Może mogłabym zamieszkać u ciebie, Cal? Proszę.

Wyniosłyby dziecko nocą, gdy tylko się urodzi; razem zachowałyby wszystko w tajemnicy.

– I przez tyle miesięcy trzymałaś to wszystko w sobie? Dlaczego nie pisnęłaś ani słówka?

Jean Louise poczuła na sobie ciężkie ramię Calpurnii, gest pocieszenia w sytuacji, której już nic nie mogło naprawić.

– Co im do łbów strzeliło, opowiadać takie rzeczy... – mamrotała Cal. – Pozabijam, niech no tylko wpadną w moje ręce...

– Cal, ty mi pomożesz, prawda? – wyszeptała lękliwie Skaut.

– Jasne, jak Bóg na niebie, skarbie – odpowiedziała Calpurnia. – A teraz wbij sobie do głowy jedno: nie jesteś w ciąży i nigdy nie byłaś. W ogóle nie tak się sprawy mają.

– Skoro nie jestem, to... Co mi jest?

– Tyle książek przeczytałaś, a mimo to jesteś bodaj najbardziej niedouczonym dzieckiem, jakie znam... – Cal umilkła na chwilę. – Z drugiej strony, w zasadzie nie miałaś szans – dodała.

Następnie wolno, z namysłem, opowiedziała małej całkiem prostą historię. Skaut słuchała, przetwarzając szokujące informacje zdobyte przez ostatni rok w krystalicznie czysty i zgoła odmienny obraz sytuacji. Im dłużej chrapliwy głos Calpurnii wypędzał z niej demony strachu, tym śmieiej wracało w Jean Louise życie. Oddychała głęboko, czując w gardle chłód jesieni. Słuchała, jak skwierczą na patelni kiełbaski, patrzyła z daleka na sportowe czasopisma Jema leżące na stoliku w salonie i czuła w nozdrzach gorzko-słodką woń fryzury Calpurnii.

– Cal – odezwała się wreszcie. – Dlaczego ja o tym wszystkim nie wiedziałam?

Calpurnia zmarszczyła brwi, szukając odpowiedzi.

– Jest tak, jakbyś trochę została w tyle, panno Skaut. Nie nadrobiłaś straty... Gdybyś wychowała się na farmie, wiedziałabyś o wszystkim, zanim nauczyłabyś się chodzić. Gdybyś wzrastała wśród kobiet, gdyby żyła twoja mama...

– Mama?

– Tak. Pewnie zobaczyłabyś kiedyś, jak tatuś ją całuje, i założę się, że gdy tylko nauczyłabyś się mówić, zaczęłabyś zadawać pytania.

– To oni też robili takie rzeczy?

Calpurnia błysnęła złotymi koronami na trzonowcach.

– A myślisz, że skąd, na Boga, wzięłaś się na tym świecie? Pewno, że robili.

– No, chyba jednak nie.

– Skarbie, musisz jeszcze trochę podrosnąć, żeby dostrzec w tym wszystkim sens, ale uwierz mi, tatuś i mamusia bardzo, bardzo się kochali, a gdy ktoś tak mocno kocha drugiego człowieka, właśnie to chce z nim robić. Wszyscy tak mają, panno Skaut. Chcą się pobierać, całować, przytulać i tak dalej... I chcą mieć dzieci.

– Ale ciocia i wujek Jimmy chyba nie.

Calpurnia zmięła w dłoni rąbek fartucha.

– Różni ludzie, panno Skaut, biorą ślub z rozmaitych przyczyn. Zdaje mi się, że panna Alexandra wyszła za mąż, aby zatrzymać dom. – Umilkła, w zamyśleniu drapiąc się po głowie. – Nie powinnaś się tym interesować. Nie twoja sprawa. Sprawami innych ludzi będziesz się zajmować wtedy, gdy już zadbasz o własne.

Calpurnia wstała.

– Od tej chwili nie słuchaj więcej, co opowiadają ci z Old Sarum. Nie musisz im zaprzeczać, wystarczy, że nie będziesz zwracała uwagi na ich bajki. Gdybyś chciała się czegoś dowiedzieć, przyleć zaraz do starej Cal.

– Dobrze, ale dlaczego wcześniej mi o niczym nie mówiłaś?

– Bo zmiany zaszły w tobie dość wcześnie i jakoś nie bardzo przypadły ci do gustu. Uznaliśmy, że i reszty nie przyjęłabyś zbyt dobrze. Pan Finch kazał poczekać, aż się trochę oswoisz z nową sytuacją. Nie przewidzieliśmy, że dowiesz się tego tak szybko i tak fałszywie, panno Skaut.

Jean Louise przeciągnęła się z lubością i ziewnęła, znowu zadowolona z życia. Poczowała się dziwnie senna i nie była pewna, czy dotrwa do kolacji.

– Będzie na wieczór ciepłe ciasto, Cal?

– Tak, proszę pani.

Trzasnęły drzwi frontowe, a zaraz potem z holu dobiegł odgłos ciężkich kroków Jema. Wszedł do kuchni, wyjął z lodówki kwartę mleka i wypił duszkiem, by ugasić pragnienie po futbolowym treningu.

Zanim Skaut zasnęła na kanapie, zdążyła jeszcze pomyśleć, że Calpurnia po raz pierwszy powiedziała do niej „panno Skaut” oraz „proszę pani”. Zwykle zwracała się w ten sposób do osób z towarzystwa. Pewnie się starzeje, pomyślała Jean Louise.

Jem obudził ją, gdy włączył górne światło. Uchyliła powieki i zobaczyła, że idzie w jej stronę. Wielkie, bordowe „M” odcinało się wyraźnie od białego tła swetra.

– Nie śpisz, Trzyoka?

– Nie bądź sarkastyczny – odpowiedziała.

Gdyby Henry albo Calpurnia zdradzili jej tajemnicę, chyba by umarła, ale najpierw rozprawiłaby się z nimi.

Popatrzyła na brata. Włosy miał wilgotne i pachniał mocnym mydłem ze szkolnej szatni. Lepiej będzie, jeśli zacznę, pomyślała.

– Hej, paliłeś – powiedziała. – Czuć na miłę.
– Nie paliłem.
– Swoją drogą, nie mam pojęcia, dlaczego trzymają cię w drużynie. Jesteś za chudy.
Uśmiechnął się, przejrzał jej gambit. Powiedzieli mu, pomyślała.
Jem poklepał bordowe „M”.
– Wołają na mnie Stary Finch Pewna Ręka. Dziś po południu złapałem siedem z dziesięciu podań – pochwalił się.
Podszedł do stolika i sięgnął po jedną ze swoich gazetek. Otworzył ją, przejrzał, a gdy zaczął od początku, zagadnął:
– Skaut... Gdyby ci się kiedyś coś przytrafiło albo... No, wiesz... Gdyby było coś takiego, o czym wolałabyś nie mówić Atticusowi, to...
– Hej?
– Wiesz, może o jakichś kłopotach w szkole czy jakoś tak... Po prostu daj mi znać. Ja się o ciebie zatroszczę.
Jem odmaszerował, a Jean Louise, spoglądając za nim bardzo szeroko otwartymi oczami, zastanawiała się, czy to sen.

[19] Gaston B. Means (1879–1938) – prywatny detektyw, handlarz, przemytnik, fałszerz i oszust działający na wschodnim wybrzeżu USA, zamieszany między innymi w porwanie syna słynnego lotnika Charlesa Lindbergha.

12

Obudził ją blask słońca. Spojrzała na zegarek. Piąta. Nocą ktoś ją przykrył; teraz odrzuciła narzutę, postawiła stopy na podłodze i spojrzała na swoje długie nogi, wystraszona nagłą myślą, że mają już dwadzieścia sześć lat. Pantofle stały na baczność tam, gdzie wyskoczyła z nich dwanaście godzin wcześniej. Jedna ze skarpet leżała obok nich, a jej bliźniaczkę znalazła na stopie. Zdjęła ją i bosy podeszła do toaletki, by spojrzeć na siebie w lustrze.

Pan Burgess powiedziałby, że wieje grozą, pomyślała, przyglądając się swemu smętnemu odbiciu. Rety, od piętnastu lat nie trafił mi się taki poranek. Dziś poniedziałek, jestem w domu od soboty, zostało mi jedenaście dni urlopu, a ja wyskakuję z łóżka cała w nerwach. Parsknęła śmiechem. Wakacje w królewskim rozmiarze, najdłuższe, jakie miałam, tylko jakoś nie ma się czym chwalić.

Zabrała paczkę papierosów, wetknęła pod celofan trzy kuchenne zapalniczki i po cichu wyszła na korytarz. Otworzyła drewniane drzwi oraz moskitierę.

W każdym innym dniu po prostu stanęłaby bosymi stopami na wilgotnej trawie, słuchając porannej mszy drozdów. Pewnie zastanawiałaby się nad bezsensownością tego cichego, surowego piękna, które odnawiało się z każdym świtem i trwało do zmroku, niezauważone przez pół świata. Później spacerowałaby pod wysokimi sosnami o koronach skąpanych w żółtej poświacie wschodniego nieba, czując, jak jej zmysły kapitulują przed radością poranka.

Radość ta czekała na nią i tym razem, lecz Jean Louise nie chciała jej

widzieć ani słyszeć. Zostały jej może dwie minuty spokoju, zanim dzień wczorajszy powróci z pełną mocą, bo przecież nic nie może zabić rozkoszy pierwszego porannego papierosa. Wolno, starannie wypuściła dym w nieruchome powietrze.

Ostrożnie dotknęła myślą minionego dnia i natychmiast się wycofała. Nie, nie ośmielę się o tym teraz myśleć, potrzebuję więcej czasu. To dziwne, zastanawiała się. Coś jakby fizyczny ból. Podobno w chwilach, gdy męka jest ponad siły, ciało staje w obronie człowieka: wyłącza się, żeby już więcej nie czuł. Pan nigdy nie zsyła nam brzemienia, którego nie jesteśmy w stanie unieść...

Od niepamiętnych czasów w Maycomb były to słowa, którymi wiekowe damy czuwające przy zwłokach próbowały pocieszać żywych. W porządku, pomyślała Jean Louise. Też będę pocieszona. Przesiedzę w domu swoje dwa tygodnie, uprzejma i chłodna, milcząca, niczego nie ciekawa, nikogo nieobwiniająca. Zachowam się tak, jak tego ode mnie oczekują.

Otoczyła kolana ramionami i oparła na nich głowę. Bóg mi świadkiem, że wolałabym zastać was obu w jakiejś spelunie z dwiema zdzirami... Ten trawnik wymaga koszenia, pomyślała.

Jean Louise poszła do garażu i uniosła uchylną bramę. Wytoczyła kosiarkę z silnikiem spalinowym, otworzyła wlew paliwa i zajrzała do zbiornika. Zamknąwszy go ponownie, przestawiła dźwigienkę, zaparła się stopą o obudowę, drugą nogę postawiła na trawie i z całej siły szarpnęła linkę. Silnik zakaształ dwa razy i zgasł.

Niech to szlag, zalałam go.

Odprowadziła kosiarkę na słońce i wróciła do garażu, skąd wyszła po chwili, uzbrojona w ciężkie nożyce do żywopłotu. Stanąwszy nad przepustem biegnącym pod podjazdem, zdecydowanymi ruchami przycięła kępy trawy rosnące u jego wylotów. Dostrzegłszy ruch tuż przy swej stopie, przykucnęła i otoczyła lewą dłonią samotnego świerszcza. Wsunąwszy pod spód prawą rękę, ostrożnie uniosła owada. Przez chwilę czuła, jak w panice próbował znaleźć drogę ucieczki. Wypuściła go.

– Za długo byłeś poza domem – powiedziała. – Wracaj do mamy.

Ciężarówka jadąca ulicą pod górę zatrzymała się tuż obok. Mały Murzynek zeskoczył ze stopnia i wręczył Jean Louise trzy kwarty mleka. Zniosła je na schody i wracając w stronę bramy, sprawdziła, czy uda się odpalić kosiarkę. Tym razem silnik zaskoczył.

Chwilę później spojrzała za siebie, na schludnie przystrzyżony pas murawy. Ścięta trawa pachniała jak brzeg strumienia. Podręczniki do literatury angielskiej wyglądałyby zgoła inaczej, gdyby pan Wordsworth[20] posiadał kosiarkę spalinową, pomyślała Jean Louise.

Uniosła głowę, a w jej polu widzenia zaszła nagła zmiana. Alexandra stała w drzwiach frontowych, wykonując z ożywieniem całkiem jednoznaczne gesty, mówiące: chodź tu w tej chwili. Ona ma na sobie gorset, zdumiała się Jean Louise. Ciekawe, czy we śnie jest w stanie przewrócić się z boku na bok.

Czekając na swą bratanicę, Alexandra nie wyglądała na osobę zdolną przewracać się w jakikolwiek sposób. Jej gęste, siwe włosy były – jak zawsze – schludnie ułożone, a brak makijażu w niczym nie ujmował ciotce elegancji. Jean Louise zastanawiała się, czy siostra ojca kiedykolwiek coś czuła. Może ból, gdy Francis przyszedł na świat, ale czy cokolwiek w życiu naprawdę ją poruszyło?

– Jean Louise! – syknęła Alexandra. – Zbudzisz tą machiną pół miasta! Ojciec już się zerwał, a musisz wiedzieć, że w nocy prawie nie zmrużył oka. Wyłącz to w tej chwili!

Jean Louise kopniakiem zatrzymała silnik. Nagła cisza zerwała jej rozejm z najbliższymi.

– Poza tym powinnaś mieć więcej rozumu: nie wolno tego robić boso. Fink Sewell próbował i stracił pod kosiarką trzy palce u stopy, a nie dalej niż zeszłej jesieni Atticus zabił w ogrodzie węża długiego na trzy stopy. Doprawdy, czasem zachowujesz się tak dziwnie, jakbyś była niespełna rozumu.

Jean Louise uśmiechnęła się mimowolnie. Pod tym względem na Alexandrę można było liczyć: od czasu do czasu serwowała malapropizmy pierwszej klasy. Bodaj najgłośniejszym z nich był jej komentarz na temat chorobliwego apetytu najmłodszego członka pewnej żydowskiej rodziny z Mobile. Alexandra oznajmiła wtedy, że trzynastoletni Aaron Stein to najbardziej żarłoczny chłopiec, jakiego spotkała, bowiem zjadł aż czternaście kolb kukurydzy podczas swej „menopauzy”.

– Dlaczego nie wniosłaś mleka do domu? Pewnie już się zważyło.

– Nie chciałam was obudzić, ciociu.

– A jednak obudziłaś – odpowiedziała z przekąsem Alexandra. – Zjesz śniadanie?

– Proszę tylko o kawę.

– Chcę, żebyś się ubrała i pojechała do miasta. Trzeba zawieźć Atticusa, jest dziś wyjątkowo słaby.

Jean Louise żałowała, że nie została w łóżku do czasu, aż ojciec wyjdzie z domu, ale podejrzewała, że i tak obudziłby ją i poprosił, aby go zawiozła.

Chwilę później była już w kuchni. Usiadła przy stole, przyglądając się groteskowym przyborom, które Alexandra położyła przy talerzu brata. Atticus postawił sprawę jasno: nie życzył sobie, by go karmiono. Doktor Finch rozwiązał problem, wtykając trzonki widelca, noża i łyżki w grube, drewniane szpulki.

– Dzień dobry.

Jean Louise usłyszała kroki Atticusa i spuściła głowę, jakby nagle zainteresował ją własny talerz.

– Dzień dobry, ojcze.

– Podobno źle się czułaś? Zajrzałem do ciebie, gdy wróciłem do domu. Spałaś głębokim snem. Rano lepiej?

– Lepiej.

– Chyba nie bardzo.

Poprosiwszy Pana o wdzięczne serca, by umieli docenić to śniadanie i inne Jego dary, Atticus sięgnął po szklanekę i rozlał mleko. Biały strumień ściekł na jego kolana.

– Przepraszam – powiedział. – Niekiedy potrzebuję z rana trochę czasu, żeby się rozruszać.

– Nie ruszaj się, ja to załatwię. – Jean Louise poderwała się i podeszła do zlewu. Rzuciła dwie ścierki na rozlane mleko, wyjęła nową z szuflady komody i starannie wytarła koszulę oraz spodnie ojca.

– Wydaję ostatnio mnóstwo pieniędzy w pralni chemicznej – powiedział.

– Ach tak.

Alexandra podała Atticusowi jajka na bekonie i grzanekę. Gdy skupił się na śniadaniu, Jean Louise uznała, że w końcu może na niego bezpiecznie spojrzeć.

Nie zmienił się. Jego twarz wyglądała tak samo jak zawsze. Sama nie wiem, pomyślała, dlaczego spodziewałam się, że będzie wyglądał jak Dorian Gray czy Bóg wie kto.

Podskoczyła, gdy zadzwonił telefon.

Jeszcze nie zdążyła się przyzwyczaić do sygnału dzwonka o szóstej rano, to jest w godzinie Mary Webster. Alexandra podniosła słuchawkę i zaraz wróciła do kuchni.

– To do ciebie, Atticusie. Szeryf.

– Proszę cię, Zandra, spytaj, o co chodzi.

Alexandra wyszła i zjawiała się po krótkiej chwili.

– Ktoś go poprosił, żeby do ciebie zadzwonił...

– To niech zatelefonuje do Hanka. Może mu powiedzieć wszystko, co chciał powiedzieć mnie. – Atticus zwrócił się teraz do Jean Louise. – Cieszę się, że mam teraz nie tylko siostrę, ale i młodszego współnika. Co umknie jednemu, nie umknie drugiemu. Ciekawe, czego chce szeryf o tej porze.

– Ciekawe – przytaknęła obojętnie Jean Louise.

– Skarbie, chyba powinnaś pozwolić Allenowi, żeby cię dziś obejrzał. Jakoś nieswojo wyglądasz.

– Dobrze, ojcze.

Znowu ukradkiem obserwowała Atticusa jedzącego śniadanie. Radził sobie ze sztuczkami osadzonymi w szpulkach tak, jakby były normalnego kształtu i rozmiaru. Zerknęła na jego twarz pokrytą białym zarostem. Gdyby nosił brodę, pomyślała, byłaby siwa, ale włosy ma ledwie szpakowate, a brwi całkiem czarne. Wujek Jack jest już siwy aż po czoło, ciocia też prawie całkiem... Od czego mam zacząć, gdzie mój punkt wyjścia? I dlaczego myślę o tym, co nieistotne?

– Przepraszam – powiedziała i wyszła do salonu, zabierając kawę. Postawiła filiżankę na stoliku z lampką i właśnie zaczęła otwierać okiennice, gdy wóz Henry'ego skręcił na podjazd. Spotkali się przy oknie.

– Dzień dobry. Błado dziś wyglądasz.

– Dzięki – odpowiedziała. – Atticus jest w kuchni.

Henry także wyglądał jak zawsze. Wyspał się i jego blizna była mniej widoczna.

– Jesteś na mnie zła z jakiegoś powodu? Machałem ci wczoraj, gdy siedziałaś na galerii, ale nie zauważyłaś.

– Widziałeś mnie?

– Tak. Miałem nadzieję, że zaczekasz na nas na zewnątrz, ale nie czekałaś. Lepiej się dziś czujesz?

– Tak.

– Fajnie, tylko nie odgryź mi głowy.

Dopiła kawę, wmówiła sobie, że potrzebuje dolewki i ruszyła do kuchni śladem Henry'ego. Stał oparty o zlew, kręcąc samochodowym kluczykiem na palcu wskazującym. Jest prawie tak wysoki, jak te witryny, pomyślała. A ja już nigdy nie wypowiem do niego choćby jednego sensownego zdania.

– ...i się stało – mówił właśnie Henry. – Musiało się stać, prędzej czy później.

– Pił? – spytał Atticus.

– Mało, że pił – był pijany. Wracał po całonocnym chlaniu w tej ich mordowni.

– Co się stało? – spytała Jean Louise.

– Chodzi o syna Zeebo – wyjaśnił Henry. – Szeryf mówił, że ma go w areszcie. Chłopak prosił, żeby zawiadomić pana Fincha. Myślał, że go wyciągnie, ha!

– Dlaczego?

– Syn Zeebo wracał samochodem z Murzyńskiej Dzielnicy – o świcie, w wielkim pośpiechu. Stary pan Healy właśnie przechodził przez ulicę... Zginął na miejscu.

– O nie...

– Do kogo należy samochód? – spytał Atticus.

– Zdaje się, że do Zeebo.

– Co powiedziałaś szeryfowi?

– Ma przekazać chłopakowi, że nie tknie pan tej sprawy.

Atticus oparł łokcie o stół i wyprostował się.

– Nie trzeba było tak mówić, Hank – rzekł łagodnie. – Przecież to jasne, że weźmiemy tę sprawę.

Dzięki Ci, Boże. Jean Louise westchnęła cicho i potarła palcami powieki. Syn Zeebo jest przecież wnukiem Calpurnii. Atticus o wielu sprawach mógł zapomnieć, ale nie o tych ludziach. Wczorajszy dzień zacierał się w jej pamięci niczym senny koszmar. Biedny pan Healy, pomyślała Jean Louise. Był pewnie tak objuczony, że nawet nie zauważył, co go trafiło.

– Ależ panie Finch – odezwał się Henry. – Sądziłem, że żaden z...

Atticus położył dłoń na siedzisku krzesła. Gdy się koncentrował, zwykle bawił się łańcuszkiem od zegarka albo poszukiwał czegoś w kieszonce kamizelki, lecz tego dnia jego palce były nieruchome.

– Hank, przypuszczam, że kiedy poznamy wszystkie fakty w tej

sprawie, będziemy mogli doradzić chłopakowi tylko jedno: żeby się przyznał do winy. Czy nie lepiej, jeśli będziemy go reprezentowali przed sądem, tym samym nie dopuszczając, by wpadł w niewłaściwe ręce?

Na ustach Henry'ego z wolna rozkwitł uśmiech.

– Teraz rozumiem, panie Finch.

– A ja nie – wtrąciła Jean Louise. – Jakie znowu niewłaściwe ręce?

Atticus spojrzał na nią z ukosa.

– Skaucie, pewnie o tym nie wiesz, ale prawnicy opłacani przez NAACP krążą nad nami jak myszołowy i tylko czekają na takie okazje...

– Chciałeś powiedzieć: kolorowi prawnicy?

Atticus skinął głową.

– Tak. Mamy ich w naszym stanie już trzech albo czterech. Zwykle siedzą w Birmingham oraz w kilku podobnych miejscach, ale śledzą sytuację w innych okręgach i tylko czekają, aż jakiś Murzyn popełni przestępstwo przeciwko białemu. Zdziwiłabyś się, jak szybko docierają do nich takie informacje. Wtedy wkraczają do akcji i – mówiąc zrozumiałym dla ciebie językiem – domagają się, by w ławie przysięgłych zasiadali Murzyni, pozywają komisarzy, wnioskuje o zmianę sędziego, słowem – wykorzystują wszystkie znane im sztuczki prawnicze, a znają ich mnóstwo, by zmusić sędziego do popełnienia błędu. Jednak nade wszystko starają się, by sprawa trafiła do sądu federalnego, ponieważ wiedzą, że tam zawsze mogą liczyć na korzystniej rozdane karty. W sąsiednim okręgu zdarzył się już taki przypadek i nie ma powodu sądzić, że nie może się zdarzyć i u nas.

Atticus spojrzał na Henry'ego.

– Dlatego mówię, że jeśli chłopak chce, weźmiemy tę sprawę.

– Zdawało mi się, że NAACP ma zakaz działalności w Alabamie – powiedziała Jean Louise.

Atticus i Henry popatrzyli na nią i roześmiali się.

– Skarbie – rzekł Henry – najwyraźniej nie wiesz, co się wydarzyło w hrabstwie Abbott, gdy wynikła tam podobna sprawa. Tej wiosny naprawdę byliśmy już pewni, że zaczną się prawdziwe kłopoty. Ludzie z tamtego brzegu rzeki zaczęli nawet wykupywać amunicję, gdzie tylko się dało...

Jean Louise wyszła z kuchni.

Siedząc w salonie, usłyszała spokojny głos Atticusa.

– ...skierować falę w tę stronę... Dobrze, że poprosił o prawnika

z Maycomb...

Postanowiła, że nie rozleje kawy, choćby piekło miało się rozstąpić. Do kogo zawsze i w pierwszej kolejności zwracali się ludzie z plemienia Calpurnii? Ile już rozwodów Atticus załatwił Zeebo? Co najmniej pięć. Który z jego chłopaków miał kłopoty? Bo tym razem kłopoty były naprawdę poważne. Potrzebował realnej pomocy, a tymczasem oni siedzieli w kuchni, rozprawiając o NAACP... Jeszcze niedawno Atticus wzięłby tę sprawę z dobroci serca, zrobiłby to po prostu dla Cal, myślała Jean Louise. Muszę się z nią zobaczyć, bezwarunkowo, jeszcze tego ranka.

Cóż to za urok padł na ludzi, których kochała? Czy dostrzegała tę zmianę tak wyraźnie dlatego, że na co dzień mieszkała daleko stąd? Może był to proces trwający latami i nareszcie się ujawnił? Może oni zawsze tacy byli i gdyby tylko zechciała, potrafiłaby to dostrzec? Nie, to ostatnie nie było możliwe. Co takiego zmieniło zwykłych mężczyzn we wrzeszczące indywidua, co utwardziło serca ludzi takich jak ona i sprawiło, że zaczęli używać słowa „czarnuch”, którym nie posługiwali się nigdy wcześniej?

– ...i mam nadzieję, że przypomnę sobie, gdzie ich miejsce – mówiła właśnie Alexandra, wchodząc do salonu w asyście Atticusa i Henry’ego.

– Nie ma się czym martwić – odpowiedział Henry. – Wyjdziemy z tego bez szwanku. Siódma trzydzieści, kochanie?

– Tak.

– W sumie mogłabyś okazać odrobinę entuzjazmu.

Atticus zachichotał.

– Już jest tobą zmęczona, Hank.

– Może podrzucę pana do miasta, panie Finch? Wprawdzie jest bardzo wcześnie, ale pomyślałem, że łatwiej mi będzie pozałatwiać kilka spraw teraz, w porannym chłódzie.

– Dzięki, ale Skaut mnie zawiezie.

Przydomek z dzieciństwa boleśnie zadźwięczał w jej uszach. Nie waż się więcej tak mnie nazywać. Ty, który nazywałeś mnie Skautem, jesteś już martwy, spocząłeś w grobie.

– Jean Louise – odezwała się Alexandra. – Mam dla ciebie listę zakupów; musisz skoczyć do Jitney Jungle. Teraz idź się przebrać. Sklep jest już otwarty, załatw to od razu, a potem zawieziesz ojca.

Jean Louise poszła do łazienki i odkręciła kurek z gorącą wodą.

Wróciwszy do swojego pokoju, wyjęła z szafy bawełnianą sukienkę i przerzuciła ją przez ramię. Znalazła w walizce pantofelki na płaskim obcasie, wybrała świeże majtki i wróciła do łazienki.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrzanych drzwiczkach szafki z lekarstwami.

I kto jest teraz Dorianem?

Pod oczami miała brązowosine cienie, a linie łączące nozdrza z kącikami ust stały się zdecydowanie wyraźniejsze. Nie ma wątpliwości, że istnieją, pomyślała. Odciągnęła policzek na bok, ale cieniutki ślad zmarszczki nadal był widoczny. Co mnie to obchodzi? Zanim będę gotowa wyjść za mąż, stuknie mi dziewięćdziesiątka i będzie już za późno. Kto mnie pochowa? Jestem najmłodsza w rodzinie... Niezły powód, żeby zafundować sobie dzieci.

Odkręciła kurek zimnej wody, a gdy mieszanka stała się znośna, weszła do wanny i porządnie się wyszorowała. Spuściła wodę, wytarła ciało do sucha i ubrała się prędko. Spłukawszy wannę, osuszyła ręce, rozwiesiła ręcznik i wyszła z łazienki.

– Użyj szminki – poradziła jej ciotka, gdy spotkały się w holu. Zaraz potem zniknęła w garderobie, z której wyciągnęła odkurzacz.

– Posprzątam, gdy wrócę – zadeklarowała Jean Louise.

– Zdamę skończyć, zanim wrócisz.

Słońce nie zdążyło jeszcze wyprażyć chodników w Maycomb, ale chwila ta była bliska. Jean Louise zaparkowała przed sklepem spożywczym i weszła do środka.

Pan Fred uścisnął jej dłoń i wyznał, jak bardzo cieszy go jej widok. Potem wyjął z lodówki mokrą butelkę coli, wytarł fartuchem i wręczył Jean Louise.

Oto jeden z pożytków płynących z niezmienności pewnych spraw, pomyślała. Dopóki pan Fred żyje i dopóki wracam w te strony, czekać na mnie będzie właśnie ciepłe, proste powitanie. Kto tego doświadczył? Alicja? Brat Królik? Nie, to Kret. Pan Kret, gdy wrócił z długiej podróży skrajnie znużony, cieszył się z tego, jak witało go wszystko, co znajome.

– Zapakuję ci to, czego potrzebujesz, a ty postój i wypij colę – powiedział pan Fred.

– Dziękuję panu – odpowiedziała.

Zerknęła na listę zakupów, a im dłużej czytała, tym szerzej otwierała

oczy. Zdaje się, że ciotunia idzie w ślady kuzyna Joshuy. Po co jej te serwetki koktajlowe?

Pan Fred zachichotał.

– Zgaduję, że chodzi o zwykłe, stołowe. Może urządza przyjęcie? W życiu nie słyszałem z jej ust o „serwetkach koktajlowych”.

– I pewnie pan nie usłyszysz.

Pan Fred zajął się wyszukiwaniem produktów. Po chwili odezwał się z głębi sklepu:

– Słyszałaś już o panu Healym?

– Mhm – odparła Jean Louise. Była córką prawnika.

– Pewnie nawet nie wiedział, co go trafiło – ciągnął pan Fred. – Więcej nawet, pewnie sam nie wiedział, dokąd idzie, biedaczysko. Pił więcej bimbru niż jakakolwiek znana mi ludzka istota. To chyba jedyne jego osiągnięcie.

– A nie grywał kiedyś na dzbanku?

– Zgadza się – przytaknął pan Fred. – Pamiętasz, jak dawno temu mieliśmy w gmachu sądu konkursy talentów? Zjawiał się zawsze, żeby zagrać na dzbanku. Przynosił pełny, a potem upijał stopniowo, żeby zmienić ton, a gdy dzbanek był prawie pusty, zaczynał grać swoje solo: *Old Dan Tucker*. Zawsze grał to samo i zawsze oburzały się panie, chociaż nigdy mu niczego nie udowodniły, bo porządny bimber prawie nie śmierdzi.

– Z czego żył?

– Zdaje się, że z emerytury. Walczył chyba jeszcze z Hiszpanami... Choć, po prawdzie, nie pamiętam, w której wojnie. Ale walczył. Proszę, twoje zakupy.

– Dziękuję, panie Fredzie – odpowiedziała Jean Louise. – Dobry Boże, zapomniałam pieniędzy. Nie pogniewa się pan, jeśli zostawię rachunek u Atticusa? Niedługo będzie w mieście.

– Nie ma sprawy, dziecino. Jak tatuś?

– Dziś nie najlepiej, ale w biurze się zjawi, choćby i potop nastąpił.

– Może tym razem zostaniesz już w domu?

Opuściła gardę, widząc, że pan Fred pyta wyłącznie z dobrego serca.

– Pewnego dnia zostaną.

– Wiesz, powołali mnie w czasie pierwszej wojny – powiedział sklepikarz. – Nie popłynąłem za morze, za to zwiedziłem kraj. Jakoś nie ciągnęło mnie do domu, więc gdy wojna się skończyła, przez dziesięć lat

nie wracałem, ale im dłużej to trwało, tym bardziej brakowało mi Maycomb. W końcu poczułem, że albo tu wrócę, albo umrę. Dom zostaje człowiekowi w kościach.

– Maycomb to takie samo miasteczko jak każde inne. Wystarczy spojrzeć na przekrój...

– Nie, Jean Louise. Wiesz, że nie.

Skinęła głową.

– Ma pan rację.

I to nie dlatego, że tu zaczęłaś swoje życie, dodała w myślach. Dlatego, że tu się rodzili inni, pokolenie za pokoleniem, aż wreszcie zjawiłaś się ty – i teraz pijesz sobie colę w Jitney Jungle.

Nagle boleśnie poczuła swoją odrębność, oddalenie, nie tylko od Atticusa oraz Henry'ego. Całe Maycomb, całe hrabstwo opuszczało ją z każdą mijającą godziną coraz bardziej, ona zaś automatycznie obwiniała za to siebie.

Uderzyła głową w dach, wsiadając do samochodu. Nigdy do tego nie przywyknę, pomyślała. Filozofia wujka Jacka jest słuszna w paru zasadniczych punktach.

Alexandra zabrała torbę z zakupami z tylnego siedzenia. Jean Louise pochyliła się, by otworzyć ojcu drzwi, a gdy usiadł, sięgnęła raz jeszcze i zatrzasnęła je.

– Potrzebujesz od rana samochodu, ciociu?

– Nie, moja droga. Wybierasz się dokądś?

– Tak. Niedługo wrócę.

Bardzo uważnie wpatrywała się w asfalt. Mogę robić wszystko, pomyślała, byle tylko nie patrzeć na niego, nie słuchać go i nie mówić do niego.

Gdy zatrzymali się przed zakładem fryzjerskim, powiedziała:

– Spytaj pana Freda, ile jesteśmy mu winni. Zapomniałam wyjąć z torby rachunek. Ale mówiłam, że zapłacisz.

Kiedy otworzyła ojcu drzwi, wysiadł prosto na ulicę.

– Uważaj!

Atticus pomachał kierowcy przejeżdżającego samochodu.

– Nie trafił mnie – stwierdził.

Jean Louise objechała plac dookoła i szosą na Meridian dotarła aż do rozwidlenia. Pewnie tu się to wydarzyło, pomyślała.

Na czerwonym żwirze, tam, gdzie kończyło się pobocze, widać było jeszcze ciemne plamy. Koła samochodu przetoczyły się przez krew pana Healy'ego. Dotarwszy do kolejnego rozwidlenia, tym razem już gruntowych dróg, skręciła w prawo. Szlak był tu tak wąski, że szeroka buda pickupa zajmowała całą jego szerokość. Jechała tak długo, jak to możliwe.

Drogę tarasował sznur samochodów parkujących jednym bokiem nieomal w rowie. Zatrzymała się za ostatnim z nich i wysiadła. Pieszo minęła forda z 1939 roku, chevroleta w trudnym do określenia wieku, jeepa oraz karawan niebieski jak jajo rudzika, z chromowanym, półkolistym napisem na przednich drzwiach: NIEBIAŃSKI SPOCZYNEK. Lekko wystraszona zajrzała do środka: w tylnej części wozu przykręcono do podłogi rzędy krzeselek i z pewnością nie zmieściłby się tam nieboszczyk. To taksówka, pomyślała Jean Louise.

Ściągnęła ze słupka drucianą pętelkę i uchyliwszy bramkę, weszła na podwórze. Było starannie pozamiatane, jak zawsze u Calpurnii. Widać, że to świeża robota; ślady miotłowych witek jeszcze nie zniknęły pod gładkimi odciskami stóp.

Uniosła głowę. Na ganku przed małym domkiem Calpurnii stali Murzyni w rozmaitych strojach: dwie kobiety włożyły, co miały najlepszego – jedna fartuch z kaliko, a druga ubranie do pracy w polu. Wśród mężczyzn Jean Louise rozpoznała profesora Chestera Sumptera, pryncypała Mt. Sinai Trade Institute, największej murzyńskiej szkoły w hrabstwie Maycomb. Profesor Sumpter, jak zawsze, miał na sobie czarne ubranie. Osobnika w czerni, który stał obok niego, Jean Louise nie знаła, ale domyślała się, że to pastor. Zeebo przyszedł w roboczym stroju.

Gdy ją zobaczyli, jakby zeszywnieli, a potem niczym na komendę cofnęli się na skraj ganku. Mężczyźni zdjęli kapelusze i czapki, a kobieta złożyła dłonie pod fartuchem.

– Dzień dobry, Zeebo – powiedziała Jean Louise.

Zeebo złamał szyk, dając krok naprzód.

– Dobry, panno Jean Louise. Nie wiedzieliśmy, że pani w domu.

Czuła, wiedziała doskonale, że ją obserwują. Stali w milczeniu, z szacunkiem, ale wpatrywali się w nią intensywnie.

– Calpurnia w domu? – spytała.

– Tak jest.

Czarni rozstąpili się, odsłaniając przed nią wejście. Zeebo, który niezbyt się znał na protokole takich spotkań, otworzył drzwi i także odstąpił.

– Prowadź, Zeebo – zachęciła go.

Weszła za nim do raczej ciemnego saloniku, pachnącego słodkawo i piżmowo czystymi Murzynami, tabaką oraz brylantyną Hearts of Love. Kilka niewyraźnych postaci powstało, gdy przekroczyła próg.

– Tędy, panno Jean Louise.

Wąskim korytarzem dotarli do niemalowanych, sosnowych drzwi. Zeebo zapukał.

– Mamo? – zawołał. – Przyszła panna Jean Louise.

Drzwi uchyliły się cicho i wyjrzała zza nich żona Zeebo. Gdy wyszła, ledwie się pomieścili w ciasnocie korytarzyka.

– Dzień dobry, Helen – powiedziała Jean Louise. – Jak się czuje Calpurnia?

– Strasznie ciężko to znosi, panno Jean Louise. Frank jeszcze nigdy nie miał żadnych kłopotów...

A zatem Frank. Calpurnia miała wielu potomków, ale ze swego wnuka Franka była najbardziej dumna. Czekał na przyjęcie do Tuskegee Institute[21]. Był też urodzonym hydraulikiem; potrafił naprawić wszystko, w czym płynęła woda.

Tęga Helen – wydała na świat tyle dzieci, że jej brzuch był nie tylko wielki, ale i mocno obwisły – oparła się ciężko o ścianę. Była bosa.

– Zeebo – odezwała się Jean Louise – znowu mieszkacie z Helen razem?

– Ano tak – odpowiedziała jej spokojnie Helen. – W końcu dorósł.

Jean Louise uśmiechnęła się do wyraźnie zakłopotanego Zeebo, ale za nic w świecie nie potrafiła rozszyfrować skomplikowanych dziejów jego życia rodzinnego. Miała wrażenie, że Helen jest matką Franka, ale tylko wrażenie. Helen była też niemal na pewno pierwszą żoną Zeebo – i niewątpliwie także obecną – ale ile konkurentek wypełniło przerwę w ich związku?

Pamiętała, że kiedyś, przed laty, Atticus, siedząc w gabinecie, opowiadał jej o tej parze, gdy zgłosiła się doń w sprawie rozwodu. Próbował pogodzić tych dwoje. Spytał Helen, czy przyjęłaby męża z powrotem pod swój dach. „O nie, panie Finch” – odpowiedziała z namysłem. „Zeebo się szwenda, szuka towarzystwa innych kobiet.

Mojego już nie. Nie chcę mężczyzny, który mnie nie pożąda”.

– Helen, czy mogę się zobaczyć z Calpurnią?

– Tak, tak. Proszę wejść.

Calpurnia siedziała w drewnianym fotelu na biegunach, w kącie pokoju, przy kominku. Obok stało żelazne łóżko nakryte wyblakłą narzutą, ozdobioną wizerunkiem dwóch zachodzących na siebie ślubnych obrączek. Na ścianie wisiały trzy fotografie Murzynów w złoconych ramkach oraz kalendarz Coca-Coli. Dość surowo ciosana belka nad kominkiem służyła jako półka na bibeloty z gipsu, porcelany, gliny oraz mlecznego szkła. Pod sufitem zwisała na kablu naga żarówka, której ostre światło rzucało mocne cienie na ścianę za kominkiem i na kąt, gdzie siedziała Calpurnia.

Jaka ona drobna, pomyślała Jean Louise. A kiedyś wydawała mi się taka wysoka.

Calpurnia była stara i koścista. Wzrok miała już słaby i nosiła okulary w czarnej oprawie, żywo kontrastującej z ciepłym brązem skóry. Wielkie dłonie trzymała na kolanach, lecz uniosła je i rozłożyła palce, gdy jej dawna podopieczna weszła do pokoju.

Jean Luise poczuła, że coś ją chwyta za gardło, gdy zobaczyła, jak wątle i kruche stały się te palce, które niegdyś tak czule dbały o nią w chorobie, a czasem, kiedy rozrabiała, bywały twarde jak heban – palce, którymi okazywała jej miłość. Jean Louise przycisnęła do nich wargi.

– Cal – szepnęła.

– Siadaj, skarbie – odpowiedziała Calpurnia. – Jest tu krzesło?

– Jest, Cal. – Jean Louise przyciągnęła krzesło bliżej i usiadła naprzeciwko starej przyjaciółki.

– Cal, przyszedłam ci powiedzieć... Przyszedłam ci powiedzieć, że jeśli tylko mogę coś dla ciebie zrobić, wystarczy mi o tym powiedzieć.

– Dziękuję pani – odpowiedziała uprzejmie Calpurnia. – Tylko jakoś nic nie przychodzi mi do głowy.

– Wiedz też, że pan Finch dostał wiadomość dziś z samego rana. Frank poprosił szeryfa, żeby do niego zadzwonił. Pan Finch... mu pomoże.

Słowa zamarły na jej ustach. Dzień wcześniej powiedziałyby: „Pan Finch mu pomoże”, nie wątpiąc ani trochę w to, że Atticus zmieni noc w jasny dzień.

Calpurnia skinęła głową. Patrzyła prosto przed siebie, za wysoko. Nie

widzi mnie dobrze, pomyślała Jean Louise. Ciekawe, ile ma lat. Nigdy nie pytałam, kiedy się urodziła; możliwe, że sama nie wie.

– Nie martw się, Cal – powiedziała. – Atticus robi, co w jego mocy.

– Wiem, panno Skaut – odparła Calpurnia. – On zawsze się starać. I zawsze czynić słusznie.

Jean Louise z otwartymi ustami spoglądała na starą kobietę. Calpurnia siedziała teraz prosto, jakby z hardą dumą, którą dawniej przejawiała tylko wobec obcych. Wraz z oficjalną Cal wróciły i błędy gramatyczne. Gdyby w tym momencie Ziemia przestała się obracać, gdyby drzewa zamarzły, a morze zwróciło wszystkich topielców, Jean Louise nawet by tego nie zauważyła.

– Calpurnio!

Ledwie słyszała jej słowa:

– Frank źle zrobić... Zapłacić za to... Mój wnuk. Kocham go... Ale musi iść do więzienia, z pomocą pana Fincha czy bez...

– Calpurnio, przestań!

Jean Louise zerwała się i bliska płaczu na oślep podeszła do okna.

Stara kobieta nawet się nie poruszyła. Gdy Jean Louise w końcu się odwróciła, Calpurnia siedziała jak przedtem, oddychając całkiem spokojnie.

Wciąż traktowała ją jak obcą.

Jean Louise znowu przed nią przysiadła.

– Cal! – zawołała. – Cal, Cal, Cal, dlaczego mi to robisz? Co się stało? Jestem twoim maleństwem, nie pamiętasz mnie? Dlaczego mnie odpychasz? Dlaczego mi to robisz?

Calpurnia wolno uniosła ręce i położyła dłonie na podłokietnikach fotela. Jej twarz była milionem drobniutek zmarszczek, a oczy wydawały się mętne za grubymi soczewkami okularów.

– Dlaczego nam to robisz?

– Nam?

– Tak, nam – odpowiedziała Jean Louise i po chwili dodała niespiesznie, bardziej do siebie niż do Calpurnii: – Odkąd pamiętam, nigdy nie umiałam sobie nawet wyobrazić, że coś takiego może się zdarzyć. A jednak... Jednak nie mogę rozmawiać z tą jedną, jedyną osobą, która wychowywała mnie, odkąd skończyłam dwa lata. To się dzieje na moich oczach, teraz, gdy tu siedzę, a ja wciąż nie mogę uwierzyć. Rozmawiaj ze mną, Cal. Na miłość boską, rozmawiaj ze mną

tak, jak należy. Nie siedź tak!

Wejrzała w oczy staruszki i wiedziała już, że nie ma nadziei. Calpurnia na nią patrzyła, lecz w jej spojrzeniu nie znalazła śladu współczucia.

Wstała, gotowa odejść.

– Powiedz mi jedno, Cal – poprosiła. – Tylko jedno, zanim wyjdę. Proszę cię, ja muszę wiedzieć. Czy ty nas nienawidzisz?

Stara kobieta siedziała w milczeniu, przygnieciona brzemieniem lat. Jean Louise czekała.

Wreszcie Calpurnia pokręciła głową.

– Zeebo – odezwała się Jean Louise. – Jeśli tylko mogę wam jakoś pomóc, zaklinam cię, zadzwoń do mnie.

– Tak, proszę pani – odpowiedział rosły Murzyn. – Ale nie wydaje mi się, żeby coś się dało zrobić. Frank zabił tego człowieka, to jasne, kto może coś na to poradzić? Nawet pan Finch nie pomoże w takiej sprawie. Może ja mogę się na coś przydać, póki jest panienka w domu?

Stali na ganku, wśród ludzi, którzy znowu rozstąpili się na boki. Jean Louise westchnęła.

– Tak, Zeebo, właśnie teraz możesz się przydać. Pomożesz mi zawrócić samochodem? Jeśli nie, pewnie wyląduję na polu kukurydzy.

– Oczywiście, panno Jean Louise.

Przez chwilę przyglądała się, jak Zeebo manewruje wozem na wąskiej, polnej drodze. Mam nadzieję, że jakoś dojadę do domu, pomyślała.

– Dziękuję, Zeebo – powiedziała zmęczonym głosem. – Pamiętaj.

Murzyn dotknął palcem runda kapelusza i wrócił do domu matki.

Jean Louise wsiadła do samochodu i wbiła wzrok w kierownicę. Dlaczego w ciągu tych dwóch dni straciłam wszystko, co kiedykolwiek kochałam? Czy i Jem odwróciłby się do mnie plecami? Ona nas kochała, mogę przysiąc, że nas kochała. A teraz siedziała przede mną i nawet mnie nie widziała. Widziała białą kobietę. Wychowała mnie, a teraz nic nie znaczę.

Nie zawsze tak było, przysięgam, że nie. Ludzie ufali sobie nawzajem z jakiegoś powodu, którego nie mogę sobie przypomnieć. Nie obserwowali się wtedy jak jastrzębie. Gdybym wchodziła na ten ganek dziesięć lat temu, nikt nie patrzyłby na mnie tak, jak ci ludzie. A Cal... Cal nigdy nie bywała przy nas oficjalna. Gdy umarł Jem, jej ukochany Jem, omal sama nie umarła...

Jean Louise pamiętała dobrze, jak to było, gdy dwa lata wcześniej wybrała się po południu z wizytą do Calpurnii. Kucharka siedziała wtedy w swoim pokoju, całkiem tak samo jak teraz, w okularach na nosie. Płakała.

– Tak łatwo było o niego zadbać – powiedziała wtedy. – Mój chłopczyk, nigdy nie miałam z nim kłopotu. I przywiózł mi prezent z wojny, elektryczny płaszcz.

Calpurnia uśmiechnęła się, a jej twarz również wtedy była milionem zmarszczek. Podeszła do łóżka i wyciągnęła spod niego szerokie pudełko. W środku spoczywała płachta czarnej skóry: płaszcz niemieckiego lotnika.

– Widzisz? – spytała, pokazując. – Tu się włącza.

Jean Louise obejrzała go uważnie i dostrzegła sieć cienkich przewodów wszytych w skórę. W kieszonce znajdowały się baterie.

– Pan Jem mówił, że zimą wygrzeję sobie w nim kości. Prosił, żebym się nic a nic nie bała, bo tylko w czasie burzy z piorunami muszę uważać. – Wszystkie przyjaciółki i sąsiadki zazdrościły Cal elektrycznego płaszcza.

– Cal – powiedziała wtedy Jean Louise – proszę cię, wróć do nas. Nie mogę ze spokojnym sumieniem wyjechać do Nowego Jorku, jeśli nie będzie cię w domu.

Pomogło. Calpurnia wyprostowała się i kiwnęła głową.

– Tak, panno Jean Louise – powiedziała. – Wróć. Proszę się nie martwić.

Jean Louise wcisnęła klawisz i samochód wolniutko ruszył naprzód.

Raz, dwa, trzy, cztery, złap czarnucha za palucha, a gdy już się uspokoi...

Boże, pomóż mi.

[20] William Wordsworth (1770–1850) – wybitny poeta angielski, prekursor romantyzmu.

[21] Obecnie Tuskegee University – uczelnia wyższa utworzona w 1881 roku z myślą o kształceniu kolorowych obywateli.

CZEŚĆ V

13

Alexandra stała przy kuchennym stole, pochłonięta kulinarnym rytuałem. Jean Louise próbowała prześliznąć się na palcach za jej plecami, ale bez powodzenia.

– Chodź, popatrz.

Alexandra cofnęła się o krok, odsłaniając zestaw kryształowych półmisek obłożonych trzema warstwami malutkich kanapek.

– To obiad dla Atticusa?

– Nie, dzisiaj zje na mieście. Wiesz przecież, jak nie lubi wpadać w sam środek damskich zgromadzeń.

Święty Mojżeszu, królu żydowski. Kawka!

– Może przygotowałabyś salon, skarbie? Panie będą tu za godzinę.

– Kogo zaprosiłaś?

Jean Louise mogła jedynie westchnąć ciężko, słuchając niedorzecznej listy gości. Połowa zaproszonych kobiet była młodsza od niej, połowa starsza; nie miały – o ile pamięć jej nie zawodziła – żadnych wspólnych doświadczeń życiowych. Wyjątek stanowiła dziewczyna, z którą Skaut kłóciła się nieustannie przez całą podstawówkę.

– A gdzie koleżanki z mojej klasy? – spytała.

– W okolicy, jak sądzę.

Ach tak. W okolicy. To znaczy w Old Sarum i siedliskach rozrzuconych jeszcze głębiej w puszczy. Jean Louise zastanawiała się, co z nich wyrosło.

– Nie odwiedzałaś ich dziś rano? – spytała Alexandra.

– Pojechałam do Cal.

Nóż Alexandry z klekotem opadł na stół.

– Jean Louise!

– O co ci chodzi, do ciężkiej cholery? – To już ostatnia runda między nami, tak mi dopomóż Bóg, pomyślała Jean Louise. Nigdy, w całym moim życiu, nie udało mi się zrobić czegoś, co zyskałoby jej aprobatę.

– Spokojnie, moja panno – w głosie Alexandry był tylko chłód. – Nikt w Maycomb nie składa już wizyt Murzynom, Jean Louise. Nie po tym, co nam zrobili i robią. Choć sami nie potrafią sobie z niczym poradzić, zaczęli patrzeć nam w oczy z otwartą bezczelnością i już w ogóle nie można na nich polegać.

Ci z NAACP, odkąd tylko się tu pojawili, sącyli w nich tę swoją truciznę, aż zaczęła im się wylewać uszami. Wyłącznie dlatego, że mamy silnego szeryfa, nie doszło w naszym hrabstwie do większych incydentów. Nie masz pojęcia, co się tu dzieje. Byliśmy dla nich dobrzy, ratowaliśmy ich przed więzieniem, wyciągaliśmy z długów od niepamiętnych czasów, z niczego tworzyliśmy dla nich miejsca pracy, zachęcaliśmy, by się doskonalili – i niby zdołali się ucywilizować, ale, moja droga, warstewka cywilizacji jest na nich tak cieniutka, że banda aroganckich, jankeskich Murzynów może w ciągu pięciu minut rozbić w pył całe sto lat postępu...

Dlatego, panienko, po tym, jak nam podziękowali za opiekę, już nikt w Maycomb nie czuje wielkiej potrzeby niesienia im pomocy w kłopotach. Oni już tylko gryzą dłoń, która ich karmi. Skończyło się, moja droga, niech sobie radzą sami.

Jean Louise spała dwanaście godzin, a mimo to ramiona bolały ją ze zmęczenia.

– Sarah od Mary Webster zapisała się do nich lata temu, podobnie jak wszystkie inne kucharki w tym mieście. Z tego powodu, gdy Calpurnia odeszła, nawet nie myślałam o tym, żeby zatrudnić nową; dla samego Atticusa i dla mnie nawet nie warto. Zwłaszcza, że potrzeba dziś królewskich apanaży, żeby uszczęśliwić czarnucha...

Moja święta ciotunia przemawia jak pan Grady O’Hanlon, który porzucił pracę, by „poświęcić swój czas zmaganiom o zachowanie systemu segregacji rasowej”.

– ...to trzeba im przynieść, tamto podać, aż w końcu zaczniesz się zastanawiać, kto tu dla kogo pracuje. Przyszły takie czasy, moja droga, że po prostu nie warto... Zaraz, dokąd idziesz?

– Przygotować salon.

Jean Louise zapadła w głęboki fotel, rozmyślając, jak to się stało, że nagle doświadczyła takiego upadku. Ciotka jest mi obca i wroga, Calpurnia nie chce mieć ze mną do czynienia, Hank oszalał, a Atticus... Coś jest ze mną nie tak, to na pewno moja wina. Musi tak być, bo przecież oni wszyscy nie mogli się nagle zmienić.

Dlaczego nie dostają dreszczy, słuchając własnych głosów? Jakim cudem mogą tak żarliwie wierzyć we wszystko, co słyszą w kościele, a potem wygadywać takie rzeczy, słuchać jeszcze gorszych – i nie wymiotować? Zdawało mi się, że jestem chrześcijanką, ale to nieprawda. Jestem kimś innym, tylko jeszcze nie wiem, kim. Wszystkiego, co zawsze uważałam za sprawiedliwe lub niesprawiedliwe, nauczyli mnie właśnie ci ludzie – ci sami ludzie! Zatem problem tkwi we mnie, nie w nich. Coś mi się stało.

Dziwne, że wszyscy powtarzają jak echo te same słowa: wina Murzynów. Jednak to taka sama prawda jak fakt, że potrafię latać... Choć Bóg mi świadkiem, że mam ochotę skoczyć przez okno i sprawdzić.

– Jeszcze nie skończyłaś? – spytała Alexandra, stając przed nią.

Jean Louise wstała i przygotowała salon.

Sroki zleciały się punktualnie o 10.30, zgodnie z rozkładem. Jean Louise stała przy schodkach, u drzwi frontowych, i kolejno witała wchodzące. Wszystkie naturalnie nosiły kapelusze i rękawiczki, wszystkie też roztaczały woń olejków różanych, perfum, wód toaletowych oraz soli kąpielowych. Ich makijaż zawstydziłby egipskich artystów, zaś obuwie – tak, zwłaszcza obuwie – z pewnością pochodziło z Montgomery, a może i z Mobile, albowiem ze wszystkich zakątków salonu spoglądały na Jean Louise noski produktów A. Nachmana, Gayfera, Levy’ego i Hammela.

O czym się teraz dyskutuje w towarzystwie? Jean Louise nie wiedziała, ale szybko nadrabiała braki. Młode żony gawędziły z przekąsem o swych Bobach i Michaelach – głównie o tym, że dany Bob czy Michael w ledwie cztery miesiące po ślubie przybrał na wadze dwadzieścia funtów. Jean Louise stłumiła w sobie pokusę wyłożenia im kilku prostych, klinicznych powodów, dla których ich ukochani tak nagle zaczęli tyć, i dla odmiany wsłuchiwała się w wywody „pieluszkowych”, które wprawiły ją w osłupienie.

Gdy Jerry miał dwa miesiące, spojrział na mnie i powiedział... Naprawdę trzeba zaczynać szkolenie z nocniczką, gdy tylko... Podczas chrztu chwycił pana Stone'a za włosy, a pan Stone... ..i jeszcze się moczy. Odstawiłam je w tym samym czasie, kiedy próbowałam oduczyć ją ssania palca, za pomocą... Najśłodsza, absolutnie najśłodsza koszulinka, jaką kiedykolwiek widziałas: z czerwonym słonikiem i napisem KARMAZYNOWY PRZYPLYW na brzuszku... ..a wyrwanie kosztowało nas pięć dolarów.

Lekka Brygada zajęła pozycje po lewej. Były to panie po trzydziestce, poświęcające większość swego czasu Klubowi Kronikarzy Maycomb, brydżowi oraz wymianie nowin na temat domowych urządzeń elektrycznych.

John powiada... Calvin mówi, że... Nerki, ale Allen kazał mi odstawić smażone... ..i gdy się przycięłam suwakiem, bo wiecie, jak lubię suwaki, to już nigdy... Ciekawe, skąd jej przyszło do głowy, że coś takiego może ująć na sucho... Biedactwo, ja na jej miejscu wzięłabym... Terapia szokowa, oto, co ją spotkało. Podobno... ..i fika na dywanie co sobotę, gdy nadają program Lawrence'a Welka... Mało nie skończyłam ze śmiechu! A on... ..moją starą suknię ślubną i wiecie co? Nadal pasuje.

Jean Louise zerknęła w prawo na trzy „panny wiecznej nadziei”. Były to wesołe maycombskie dziewczęta nieskazitelnego charakteru, którym nie wyszło. Zameżne rówieśniczki traktowały je protekcyjnie, szeroka publiczność trochę im współczuła, a rodzina czym prędzej wystawiała je każdemu zbłąkanemu mężczyźnie, który akurat wpadł z wizytą do znajomych. Jean Louise przyglądała się zwłaszcza jednej z nich, cierpko i z rozbawieniem zarazem. Gdy miała dziesięć lat, podjęła jedyną próbę dołączenia do tej grupy, zadając Sarze Finley pytanie: „Mogę do ciebie przyjść dziś po południu?”. „Nie” – odpowiedziała jej Sarah. „Mamusia mówi, że jesteś za prosta”.

A teraz obie jesteśmy samotne, pomyślała, choć z zupełnie odmiennych powodów. Jednak czujemy się tak samo, czyż nie?

„Panny wiecznej nadziei” toczyły rozmowy półgłosem.

Najdłuższy dzień mojego życia... Na tyłach banku... Ten nowy dom przy drodze... Unia Nauki, dodajcie sobie to wszystko i wyjdą cztery godziny w kościele, co niedzielę... ..razy mówiłam panu Fredowi, że podobają mi się te pomidory... Gorąco jak w łaźni. Powiedziałam im, że albo zainstalują w biurze klimatyzację, albo... ..i odpuścić całą grę.

Komu przyszedłby do głowy taki numer?

Jean Louise postanowiła wykorzystać króciutką pauzę.

– Ty nadal w banku, Sarah?

– Na Boga, tak. I chyba do śmierci tam zostanę.

Hmm.

– A co się stało z Jane... Jak ona miała na nazwisko? Wiesz, ta twoja przyjaciółka z ogólniaka... – Sarah i Jane Jak-Jej-Tam-Było stanowiły swego czasu nierozłączną parę.

– Ach, Jane. Podczas wojny wyszła za mąż za jakiegoś dziwaka i wymowa tak jej się zmieniła, że już byś jej nie poznała, wielkiej pani.

– Tak? Dokąd się wyniosła?

– Do Mobile. Wcześniej, w czasie wojny, mieszkała w Waszyngtonie i stąd ten okropny akcent. Wszyscy słyszeli, ale nikt nie miał odwagi jej powiedzieć i tak już zostało. A pamiętasz, jak wysoko nosiła głowę, o, tak? No, to nadal nosi.

– Nosi?

– Aha.

A niech to, ciotunia jednak na coś się przydaje, pomyślała Jean Louise, spostrzegłszy, że Alexandra daje jej jakieś znaki. Z ulgą wyszła do kuchni po tacę koktajlowych serwetek. Rozdając je gościom, czuła się tak, jakby kolejno naciskała klawisze gigantycznego klawesynu.

Nigdy, w całym moim życiu... Widziałam ten cudowny obraz... Ze starym panem Healyem... Leży na kominku, mam go nieustannie przed oczami... Naprawdę? Zdaje się, że koło jedenastej... ..i w końcu dostanie ten rozwód. W końcu to on... Co godzinę masował mi plecy, przez cały dziewiąty miesiąc... Chyba bym cię zabiła. Gdybyś tylko go widziała... Siusia co pięć minut, przez całą noc. Skończyłam więc... Każdemu z naszej klasy, z wyjątkiem tej okropnej dziewczuchy z Old Sarum. Ona nawet nie odróżnia... Między wierszami, ale przecież dokładnie wiadomo, co miał na myśli.

Po chwili wróciła do gry, roznosząc kanapki.

Pan Talbert spojrział na mnie i powiedział... On chyba nigdy nie nauczył się siadać na nocniku... Fasolki w każdy czwartek wieczorem. To jeden z jankeskich zwyczajów, które podchwycił... Wojna Róż? Nie, kochana, powiedziałam: wolno już... śmieciarzowi. Tylko tyle mogłam zrobić po tym, jak zerwała... ...żytni. Nic nie mogłam na to poradzić, czułam się po nim jak wielka... Amen! Będę zachwycona, gdy to się

wreszcie skończy... To, jak on ją traktował... Sterty, powiadam ci, sterty pieluch, a on pyta: dlaczego jesteś taka zmęczona? W końcu był... Przez cały czas tkwiło w papierach, ot co.

Alexandra ominęła Jean Louise z dzbankiem w dłoni. Zakłócając klawesynową grę dolewkami kawy, zmieniła ją w jednolity pomruk. Jean Louise doszła do wniosku, że najlepiej jej będzie z Lekką Brygadą, więc przysiadła się do niej. Postanowiła na początek oddzielić od stada Hester Sinclair.

– Co u Billa?

– Świetnie. Tylko z każdym dniem coraz trudniej z nim wytrzymać. Słyszałaś już te okropne nowiny, co się stało dziś rano z panem Healyem?

– Faktycznie okropne.

– A czy ten chłopak, co to zrobił, nie miał aby nic wspólnego z wami? – spytała Hester.

– Miał. To wnuk naszej Calpurnii.

– Rety, ja już dawno przestałam ich wszystkich rozróżniać. Pewnie oskarżą go o morderstwo, co?

– Raczej o spowodowanie śmierci.

– Aha. – Hester była rozczarowana. – No, ale w sumie słusznie. Przecież nie chciał tego zrobić.

– Pewnie, że nie.

Hester parsknęła śmiechem.

– Już myślałam, że będą prawdziwe emocje.

Jean Louise wzdrygnęła się. Zdaje się, że traci też poczucie humoru. Może w tym cały problem? Upodabnam się do kuzyna Edgara.

– ...nie mieliśmy tu porządnego procesu o morderstwo od dobrych dziesięciu lat – mówiła właśnie Hester. – Mówię oczywiście o sądzie czarnucha. Ostatnio same nudy, tylko picie i bijatyki.

– Lubisz chodzić do sądu?

– Pewnie. Ostatniej wiosny mieliśmy tu najgorętszą sprawę rozwodową w historii. Jakieś buraki z Old Sarum. Całe szczęście, że sędzia Taylor już nie żyje – wiesz przecież, jak nie znosił takich spraw. Zawsze prosił damy, by opuściły salę. Temu nowemu wszystko jedno. I właśnie...

– Wybacz, Hester. Widzę, że trzeba ci dolać kawy.

Alexandra trzymała w ręku ciężki, srebrny dzbanek pełen kawy.

Nie uroni ani kropli, pomyślała Jean Louise, przyglądając się, jak ciotka napełnia filiżankę. Jeśli Hank i ja... Hank.

Rozejrzała się po salonie pełnym kobiet stłoczonych w dwóch rzędach pod niską powalą – kobiet, które przez całe życie ledwie znała i z którymi nie była w stanie rozmawiać dłużej niż pięć minut, by nie dotrzeć do litej skały. Nie mam pojęcia, co mogłabym im powiedzieć, pomyślała. Nieustannie trajkocą o tym, czym się na co dzień zajmują, a ja nie wiem o tych sprawach absolutnie nic. Gdybym wyszła za Hanka... Za kogokolwiek z tego miasta... Stałyby się moimi przyjaciółkami, a ja nadal nie wiedziałabym, o czym z nimi rozmawiać. Stałabym się milczącą Jean Louise. Za żadne pieniądze nie zaczęłabym pogawędki na ani jeden z tematów, które tak je zajmują, a tymczasem ciocia czuje się wśród nich jak ryba w wodzie. Zakościłowałyby mnie na śmierć, zabrydżowały, zmusiły do pisania recenzji książek dla Klubu Kronikarzy, siłą wprasowały w ową społeczność. W taki układ może się wpakować tylko ktoś, kto ma mnóstwo tego, czego ja nie mam wcale.

– ...okropnie to smutne – mówiła Alexandra – ale tacy właśnie są i nic na to nie poradzą. Calpurnia była z nich wszystkich najporządniejsza. Ten jej Zeebo to łajdak, co ledwie zlazł z drzewa, a matka kazała mu brać ślub z każdą z tych kobiet. Pięć ich było, jeśli się nie mylę, a Calpurnia za każdym razem zmuszała go do małżeństwa. To jest w ich mniemaniu chrześcijaństwo.

– Nigdy nie wiadomo, co im się we łbach kotłuje – odezwała się Hester. – Weźmy na przykład moją Sophie. Któregoś dnia spytałam ją: „Sophie, w jaki dzień wypada w tym roku Boże Narodzenie?”, a ona podrapała się po tej swojej wełnie i odpowiedziała: „Panno Hester, coś mi się zdaje, że dwudziestego piątego”. Myślałam, że umrę ze śmiechu, bo przecież chodziło o dzień tygodnia, a nie dzień w roku. Tę-po-ta!

Humor, humor, humor. Straciłam poczucie humoru, pomału zamieniam się w „New York Post”!

– ...ale same wiecie, że i tak to robią. Próba powstrzymania ich sprawiła tylko, że zeszli do podziemia. Bill mówi, że wcale się nie zdziwi, jeśli dojdzie do kolejnego powstania Nata Turnera^[22]. Siedzimy na beczce dynamitu i doprawdy warto być gotowym na wszystko – powiedziała Hester.

– Hmm, Hester... Ja naturalnie nie bardzo się w tym orientuję, ale zdawało mi się, że ci z Montgomery większość swych spotkań spędzili w kościele, modląc się – wtrąciła Jean Louise.

– Och, moje dziecko, nie wiesz, że robili to tylko po to, by wzbudzić

sympatię dla swojej sprawy na Wschodzie? To najstarsza sztuczka w dziejach ludzkości. Wiesz, nawet Kaiser Bill[23] przez całe życie modlił się co wieczór do dobrego Boga.

W pamięci Jean Louise pojawiła się nagle absurdalna rymowanka. Tylko gdzie właściwie ją wyczytała?

*Droga Augusto, Boskim wyrokiem
Francuzom wojna znów wyszła bokiem;
Poszło do piachu tysięcy dziesięć,
Więc chwalmy Pana Boga w niebiesiech²⁴.*

Zastanawiała się, skąd Hester Sinclair czerpie informacje. Nie wyobrażała sobie, by ktoś taki czytywał cokolwiek poza „Dobrą Gospodynią” – chyba że pod przymusem. Ktoś musiał ją instruować. Ale kto?[24]

– Interesujesz się ostatnio historią, Hester?

– Co? Ach, nie, nie, powtarzam tylko to, co usłyszałam od mojego Billa. Bo Bill jest czytelnikiem co się zowie. Twierdzi na przykład, że to czarnuchy rządzą na Północy i próbują załatwić sprawę tak, jak Gandhi, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Obawiam się, że nie. Co więc masz na myśli?

– Komunizm.

– Ale... myślałam, że komuniści wolą krwawe rewolucje i tak dalej.

Hester pokręciła głową.

– Gdzieś ty się uchowała, Jean Louise? Użyją wszelkich środków, byle osiągnąć cel. Są tacy sami jak katolicy. Wiesz chyba, jak to katolicy jeżdżą na koniec świata i praktycznie zmieniają się w tubylców, by tylko ich nawracać? Gotowi twierdzić, że święty Paweł to czarnuch – jak oni – aby tylko nawrócić choć jednego czarnoskórego. Otóż Bill twierdzi – a jak wiesz, był tam w czasie wojny – że na niektórych wyspach nie sposób odróżnić wyznawców voodoo od rzymskich katolików i wcale nie zdziwiłby się, widząc tam kapłana voodoo w koloratce. Tak samo jest z komunistami. Zrobią wszystko, absolutnie wszystko, by zdobyć władzę w tym kraju. Są wszędzie dookoła i niepodobna rozpoznać, kto jest jednym z nich, a kto nie. Nawet tu, w hrabstwie Maycomb...

Jean Louise parsknęła śmiechem.

– Och, Hester, czego komuniści mieliby szukać w naszym hrabstwie?

– Nie mam pojęcia. Wiem za to, że ich komórka działa w Tuscaloosie... Gdyby nie oni, czarnuchy trzymałyby się z daleka od naszych szkół.

– Nie nadążam, Hester.

– Nie czytałaś o tych mądrych profesorach zadających jeszcze mądrzejsze pytania, o tej całej... Konwokacji? Pasowałabyś tam. Gdyby nie chłopcy z bractwa...

– Rany, Hester, ja chyba kupuję niewłaściwe gazety. W tej, którą czytałam, napisali, że tłum ludzi przyszedł z fabryki opon...

– Chcesz powiedzieć, że czytasz „Robotnika”?

Jesteś zafascynowana samą sobą, pomyślała Jean Louise. Powiesz wszystko, co przyjdzie ci do głowy, tylko że ja nie jestem w stanie pojąć, skąd bierzesz te pomysły. Chętnie rozłupałabym ci głowę, dla odmiany wetknęła do niej fakt i obserwowała, jak szuka sobie drogi w labiryncie twojego mózgu, po czym wreszcie wychodzi ustami. Obie przyszłyśmy na świat w tym mieście, chodziłyśmy do tych samych szkół, uczono nas tych samych przedmiotów. Teraz zachodzę w głowę, co widziałas i słyszałaś.

– ...każdy wie, że NAACP dąży do rewolucji na Południu...

Zrodzona z nieufności i z pasją hołdująca przekonaniu, że ludzie są z natury źli.

– ...wcale tego nie ukrywają, mówią wprost, że chcą zlikwidować murzyńską rasę i uda im się to w ciągu czterech pokoleń. Bill uważa, że jeśli zaczną już teraz...

Mam nadzieję, że świat nie zauważy i niedługo będzie pamiętał słowa, które padają z twoich ust.

– ...i każdy, kto sądzi inaczej, albo jest komunistą, albo materiałem na komunistę. Bierny opór, akurat!...

Gdy w biegu ludzkich spraw pojawia się konieczność zniszczenia politycznych więzi łączących jakichś ludzi, wystarczy powiedzieć, że są komunistami.

– ...że oni zawsze starają się pobrać z osobą o cerze przynajmniej o ton jaśniejszej, by tym sposobem skundlić rasę...

– Hester – wpadła jej w słowo Jean Louise – pozwól, że cię o coś spytam. Jestem w domu od soboty i od soboty słyszę wciąż o kundleniu rasy. Zaczęłam się zastanawiać, czy to aby nie jest ciut niefortunne określenie, być może warto wyrzucić je ze współczesnego języka Południa. Otóż wiedz, Hester, że potrzeba dwóch ras, aby doszło do skundlenia, jeśli już używamy tego słowa. Kiedy więc biali ludzie

wykrzykują coś o kundleniu rasy, czy to czasem nie stawia nas w nie najlepszym świetle? Słuchając tego, chwilami odnoszę wrażenie, że gdyby tylko było to legalne, biali hurtowo poślubialiby Murzynów. Gdybym była naukowcem – a nie jestem – to pewnie powiedziałabym, że tego rodzaju gadanina ma głęboki podtekst psychologiczny, niezbyt dobrze świadczący o mówcy. W najlepszym wypadku twierdzenia takie wskazują na niepokojący brak zaufania do własnej rasy.

Hester spojrzała na Jean Louise.

– Jestem całkiem pewna, że nie mam pojęcia, o co ci chodzi – powiedziała.

– Prawdę mówiąc, ja sama nie jestem pewna, o co mi chodzi – odrzekła Jean Louise. – Wiem tylko, że włosy mi się jeżą na głowie za każdym razem, gdy słyszę takie gadanie. Pewnie dlatego, że nie słyszałam go tu w czasach, gdy dorastałam.

Hester się najeżyła.

– Czy ty insynuujesz, że...

– Przepraszam – przerwała jej Jean Louise. – Wcale nie. Wybacz mi.

– Jean Louise, ja przecież nie mówiłam o *nas*.

– W takim razie o kim?

– Mówiłam o... No, wiesz... O białej hołocie. O prostakach, którzy biorą sobie murzyńskie kobiety i tak dalej.

Jean Louise uśmiechnęła się.

– To dziwne. Sto lat temu to dżentelmeni miewali kolorowe kobiety, teraz ma je tylko hołota.

– W tamtych czasach kobiety były ich własnością, głuptasie, a biała hołota jest dziś celem NAACP. Czarnuchy mają się mieszać z białymi tak długo, aż zupełnie zaniknie dzisiejsza struktura społeczna.

Struktura społeczna. Narzuty z dwiema obrączkami. Nie, myślała Jean Louise, ona nie mogła nas nienawidzić, a Atticus nie może wierzyć w te brednie. Przykro mi, ale to niemożliwe. Od wczoraj czuję się tak, jakby rzucono mnie do bardzo, bardzo głębokiej...

– A jak tam Nowy Jork?

Nowy Jork. Nowy Jork? Zaraz ci powiem, jak tam Nowy Jork. Nowy Jork ma odpowiedź na każde pytanie. Ludzie chodzą do YMHA, do Towarzystwa Anglojęzycznego, do Carnegie Hall, do Nowej Szkoły Badań Społecznych – i tam znajdują odpowiedzi. Miasto żyje hasłami, „izmami” i szybkimi, pewnymi odpowiedziami, a w tej chwili Nowy Jork

mówi do mnie: Jean Louise Finch, nie reagujesz zgodnie z naszymi doktrynami dotyczącymi ludzi takich jak ty, a zatem nie istniejesz. Najtęższe umysły tego kraju wyjaśniły nam, kim jesteś. Nie uciekniesz przed tym i nie winimy cię za to, ale apelujemy: postępuj zgodnie z zasadami ustalonymi przez mądrzejszych od ciebie i nie próbuj być kimś innym.

I zaraz odpowiedziała: proszę, uwierzcie mi, to, co się stało z moją rodziną, to wszystko nie jest tak, jak myślicie. Powiem jedno: tutaj nauczyłam się wszystkiego, co wiem o ludzkiej przyzwoitości. Od was nie nauczyłam się niczego, prócz tego, jak być podejrzliwą. Nie wiedziałam, czym jest nienawiść, póki nie zamieszkałam między wami i nie zobaczyłam, jak nienawidzicie każdego dnia. Trzeba było nawet ustanowić prawa, byście przestali nienawidzić. Gardzę waszymi szybkimi odpowiedziami, waszymi hasłami rozwieszanymi w tunelach metra, a najbardziej ze wszystkiego gardzę waszym brakiem dobrych manier: nie nabędziecie ich nigdy, aż do końca świata.

Oto człowiek, który nie potrafiłby zachować się nieuprzejmie nawet wobec susła, siedział w sali sądowej, wspierając swoim autorytetem poglądy głoszone przez małodusznych parszywców. A przecież tyle razy widziała go w sklepie, stojącego pokornie w kolejce za plecami Murzynów i Bóg wie kogo jeszcze. Widziała, jak pan Fred unosi brwi, spoglądając na niego zapraszająco, a wtedy ojciec kręcił głową. Instynktownie czekał na swoją kolej; wiedział, co to maniery.

Słuchaj no, siostró, my znamy fakty: pierwszych dwadzieścia jeden lat życia spędziłaś w kraju linczów, w hrabstwie, którego populację stanowią w dwóch trzecich Murzyni zatrudnieni w rolnictwie. Przestań udawać.

Nie uwierzcie mi, ale i tak wam powiem: nigdy w życiu, aż do dziś, nie słyszałam z ust członków mojej rodziny słowa „czarnuch”. Nigdy też nie nauczyłam się myśleć takimi kategoriami. Gdy dorastałam – a dorastałam wśród czarnych – znałam ich jako Calpurnię, śmieciarza Zeebo, woźnego Toma, znałam imiona ich wszystkich. Otaczały mnie setki Murzynów – pracowali w polu, pielili pola bawełny, budowali drogi, piłowali bale i budowali nam domy. Byli biedni, chorowici i brudni, niektórzy też leniwi albo niegramotni, ale nigdy, przenigdy nie dano mi do zrozumienia, że powinnam nimi gardzić, bać się ich, być dla nich nieuprzejmą. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mogłabym ich źle

potraktować i uszłoby mi to na sucho. Jako ludzie nie wkraczali do mojego świata, a ja nie mieszałam się do ich spraw. Gdy szłam na polowanie, nie wchodziłam na należące do nich tereny – nie wchodziłam na niczyją ziemię, bo przecież nie wolno tego robić. Nauczono mnie, bym nigdy nie wykorzystywała człowieka, dla którego los był mniej szczodry niż dla mnie. Nie wykorzystywałam nigdy ani mniej bystrych, ani mniej zamożnych, ani gorzej urodzonych – nie wykorzystywałam nikogo, nie tylko Murzynów. Dano mi do zrozumienia, że inne zachowanie byłoby godne pogardy. Tak mnie wychowali czarna kobieta i biały mężczyzna.

Na pewno kiedyś przeżyliście coś takiego. Gdy człowiek wam powie: „Oto jest prawda” i uwierzycie mu, a potem odkryjecie, że to wcale nie była prawda, będziecie z pewnością rozczarowani i zrobicie wszystko, by nie dać się nabrać po raz drugi.

Lecz gdy zawiedzie was człowiek, który żył prawdą, i wierzyliście bezgranicznie, że tak właśnie było, to zostawi w was nie tylko nieufność, ale zostawi pustkę. Chyba dlatego niemal odchodzę od zmysłów...

– Nowy Jork? Zawsze będzie na swoim miejscu. – Jean Louise odwróciła się ku pytającej młodej kobiecie w małym kapelusiku, o mało interesującej twarzy i małych, ostrych zębach: Claudine McDowell.

– Byliśmy tam z Fletcherem ostatniej wiosny i dniem i nocą próbowaliśmy się z tobą skontaktować.

Na pewno.

– Podobało wam się? Nie, czekaj, sama zgadnę: było fantastycznie, ale nie wyobrażacie sobie, jak można tam mieszkać.

Claudine błysnęła mysimi zębami.

– Właśnie tak! Skąd wiedziałaś?

– Czytam w myślach. Zwiedziliście miasto?

– Boże, jeszcze jak! Bawiliśmy się w Latin Quarter i Copacabanie, poszliśmy też na *Piżamową rozgrywkę*. To był pierwszy musical, który mieliśmy okazję zobaczyć na scenie i powiem ci, że byliśmy zawiedzeni. Czy wszystkie wyglądają podobnie?

– Większość. Wybraliście się na szczyt sama-wiesz-czego?

– Nie, ale zwiedziliśmy Radio City. To było coś! Ludzie mogliby tam mieszkać! W Radio City Music Hall też widzieliśmy przedstawienie i wyobraź sobie, Jean Louise, na scenę wbiegł prawdziwy koń.

Jean Louise wyznała, że nie jest specjalnie zdziwiona.

– Ucieszyliśmy się z Fletcherem, gdy wreszcie wróciliśmy do domu. Nie

pojmuję, jak możesz tam żyć. Fletcher wydał tam w dwa tygodnie więcej pieniędzy niż tutaj przez sześć miesięcy. Mówił, że to mu się w głowie nie mieści, dlaczego ludzie kupują tam mieszkanie, zamiast za te same pieniądze zafundować sobie dom z ogrodem w naszych stronach.

Chętnie ci odpowiem: w Nowym Jorku jesteś sobą. Możesz rozłożyć ramiona i przytulić cały Manhattan w słodkiej samotności albo iść do diabła, jeśli właśnie tego sobie zażyczysz.

– Cóż – powiedziała Jean Louise na głos – rzeczywiście potrzeba czasu, zanim człowiek do tego przywyknie. Ja na przykład nienawidziłam Nowego Jorku przez bite dwa lata. Każdego dnia budził we mnie strach, aż wreszcie któregoś ranka, gdy ktoś mnie popchnął w autobusie, ja też go popchnęłam. Wtedy dotarło do mnie, że stałam się częścią tego miasta.

– O, właśnie – przypomniała sobie Claudine. – Wszyscy tam się pchają. Brak im manier i tyle.

– Mają swoje maniery, Claudine, tylko trochę inne niż my. Człowiek, który popchnął mnie w autobusie, spodziewał się, że odpowiem tym samym. Na tym polegała moja rola, to taka gra. Jednak nigdzie nie znajdziesz lepszych ludzi niż w Nowym Jorku.

Claudine złożyła usta w ciup.

– Osobiście wolałabym się nie mieszać z tym tłumem Włochów i Portorykańczyków. Któregoś dnia byłam w sklepie, rozejrzałam się, a tu jakaś Murzynka siedzi sobie i je obiad obok mnie. Tuż obok mnie, Jean Louise! Oczywiście wiedziałam, że ma do tego prawo, ale mimo wszystko przeżyłam szok.

– Wyrządziła ci jakąś krzywdę?

– Chyba nie. Zebrała się zaraz i poszła.

– Wiesz – odezwała się łagodnie Jean Louise – przeróżni ludzie biegają samopas po tym mieście.

Claudine zgarbiła się mimowolnie.

– Nie pojmuję, jak możesz żyć w takim towarzystwie.

– Nie zwraca się na to uwagi. Pracuję wśród tych ludzi, jadam posiłki obok nich i z nimi, jeżdżę z nimi autobusami i nie zwracam na nich uwagi, chyba że zechcę. Mogę nawet nie zauważyć, że siedzi obok mnie wielki, tłusty Murzyn, póki nie wstanę, aby wysiąść. Nikt nie zwraca uwagi na tych ludzi.

– Cóż, ja zwróciłam. Widocznie jesteś ślepa albo coś w tym guście.

Ślepa, właśnie taka jestem. Nigdy tak naprawdę nie otworzyłam oczu. Nigdy nie pomyślałam, by wejrzeć ludziom w serca – patrzyłam tylko na twarze. Ślepa jak kamień... Pan Stone. Wczoraj w kościele pan Stone postawił wartownika. Mnie też przydałaby się warta. Ktoś, kto będzie mnie strzegł, prowadził i opowiadał o wszystkim, co widzi, bez wytechnienia. Potrzebny mi wartownik, który powie: ten człowiek mówi to, ale ma na myśli tamto. Który nakreśli linię przez środek spraw i powie: tu jest taka sprawiedliwość, a tam inna. Który sprawi, że dostrzegę różnicę. Potrzebny mi wartownik, który będzie kroczył przede mną i głosił wszystkim prawdę: dwadzieścia sześć lat to zdecydowanie za długo, by czymś kosztem ciągnąć ten sam żart, choćby nie wiem jak śmieszny.

[22] Czarnoskóry Nat Turner był przywódcą rebelii niewolników, do której doszło w Wirginii w sierpniu 1831 roku.

[23] Wilhelm II Hohenzollern, ostatni cesarz Niemiec.

[24] Skojarzenie istotnie jest dość dalekie. Jean Louise czytała zapewne *Autobiografię* Margot Asquith, a w niej wzmiankę o depeszy Wilhelma II do małżonki w sprawie wygranych bitew w 1918 roku, ta z kolei przypominała przytoczoną wyżej parodię wiadomości słanych przez jego dziadka, Wilhelma I, do Augusty von Sachsen-Weimar.

14

– Ciociu – powiedziała Jean Louise, gdy już ogarnęły rumowisko po kataklizmie porannej „kawki” – jeśli nie potrzebujesz samochodu, pojedę teraz do wujka Jacka.

– Potrzebuję tylko i wyłącznie drzemki. Nie masz ochoty na obiad?

– Nie, ciociu. Wujek Jack da mi kanapkę albo coś innego.

– Lepiej na to nie licz. Ostatnio coraz mniej jada.

Zatrzymała samochód na podjeździe domu doktora Fincha, wspięła się po wysokich stopniach do drzwi frontowych, zapukała i nie czekając na odpowiedź, weszła, podśpiewując ochryplym głosem:

*Stary wujek Jack o lasce człap-człap
Za młodu tancerz, wielki łowca bab;
Teraz tylko podatki...*

Dom doktora Fincha był mały, ale mieścił w sobie olbrzymi hol. Swego czasu korytarz biegł na przestrzał^[25], lecz wujek Jack kazał go zamknąć i wszystkie ściany zabudować półkami na książki.

– Słyszałem to, pospolita dziewucho – dobiegł jego głos z głębi domu. – Jestem w kuchni.

Ruszyła w głąb korytarza i otworzyła drzwi, za którymi dawniej znajdowała się tylna weranda. Teraz było to zabudowane pomieszczenie o charakterze gabinetu, podobnie zresztą jak większość pokoi w tym domu. Jean Louise nie widziała nigdy siedziby lepiej oddającej

osobowość właściciela. Osobliwa była tu zwłaszcza mieszanina nieskazitelnego porządku i chaosu. Doktor Finch utrzymywał dom w wojskowej wręcz czystości, lecz jednocześnie miał zwyczaj komponować sterty książek we wszystkich miejscach, w których siadywał, a jako że siadywał praktycznie wszędzie, gdzie nasza go ochota, stosy lektur można było znaleźć nawet w najbardziej zaskakujących zakątkach, co zresztą stanowiło przekleństwo dla sprzątającej tu niewiasty. Wujek Jack nie pozwalał jej nawet dotykać owych książek, a jednocześnie nie znosił kurzu – biedaczka musiała odkurzać, zamiatać i polerować wokół nich. Gdy pewnego razu, przez nieuwagę, nieszczęsna sprzątaczką sprawiła, że z dzieła *Pre-Tractarian Oxford* Tuckwella wypadła zakładka, doktor Finch udzielił jej reprymendy, potrząsając miotłą.

Widząc go tego dnia, Jean Louise pomyślała, że mody przychodzą i odchodzą, ale wujek Jack i Atticus na wieki wieków pozostaną przy swych kamizelkach. Doktor Finch nie miał na sobie marynarki, za to trzymał w ramionach sędziwą kotkę, Rose Aylmer.

– Gdzie się wczoraj podziewałaś, znowu moczyłaś się w rzece? – spytał, spoglądając na nią srogo. – Wystaw język.

Jean Louise wystawiła język, a doktor Finch ułożył Rose Aylmer na prawym przedramieniu, z kieszonki kamizelki wyłowił połówkowe okulary, otworzył je z trzaskiem i osadził na nosie.

– No, nie stój tak z wywieszonym ozorem. Schowaj – polecił. – Okropnie wyglądasz. Chodź ze mną do kuchni.

– Nie wiedziałam, że nosisz „połówki”, wujku – powiedziała Jean Louise.

– Ha! Odkryłem, że niepotrzebnie szastam pieniędzmi.

– Jak to?

– Kiedyś używałem całych szkieł. Te kosztują połowę mniej.

Pośrodku kuchni stał stół, na nim zaś spoczywał spodek z krakersem, na którym leżała samotna sardynka.

Jean Louise otworzyła usta z wrażenia.

– To twój obiad? Doprawdy, wujku, nie jestem pewna, czy twoje obyczaje mogą być jeszcze dziwniejsze.

Doktor Finch przystawił bliżej wysoki stołek, położył na nim Rose Aylmer i odrzekł:

– Nie. Tak.

Usiedli za stołem. Doktor Finch sięgnął po krakersa z sardynką i podał go swojej kotce. Rose Aylmer ugryzła maleńki kawałek, położyła łebek na łapkach i zaczęła żuć.

– Je jak człowiek – zauważyła Jean Louise.

– Mam nadzieję, że udało mi się wpoić jej pewne maniery – odparł doktor Finch. – Jest już stara i muszę ją karmić kawałeczek po kawałeczku.

– Dlaczego nie każesz jej usnąć?

Wujek Jack spojrział z oburzeniem na swą bratanicę.

– A dlaczego miałbym zrobić coś takiego? Czy coś jej dolega? Ma przed sobą dobrych dziesięć lat życia.

Jean Louise przytaknęła ruchem głowy, w duchu żywiąc nadzieję, że będzie się prezentować równie dobrze jak Rose Aylmer, gdy osiągnie ludzki odpowiednik jej wieku. Żółtawe futro kotki było w znakomitej kondycji, figurę też miała niezłą, a oczy płonęły tym samym blaskiem co zawsze. Ostatnio większość czasu przesypiała, a doktor Finch każdego dnia wyprowadzał ją na smyczy, by pospacerowała sobie po ogrodzie.

Teraz zaś cierpliwie przekonywał ją, aby łaskawie dokończyła lunch, a gdy to zrobiła, wstał i sięgnął do szafki wiszącej nad zlewem. Wyjął z niej buteleczkę zakończoną kroplomierzem. Zdjąwszy go, nalał do środka sporą porcję płynu i odstawił butelkę. Chwyciwszy kotkę za łebek, polecił jej otworzyć pyszczek. Usłuchała. Zaraz potem przełknęła lekarstwo i wzdrygnęła się. Doktor Finch ponownie napełnił kroplomierz.

– Otwórz usta – polecił Jean Louise.

Przełknęła i zakrztusiła się.

– Dobry Boże, co to było?

– Witamina C. Chciałbym, żebyś poszła do Allena się zbadać.

Jean Louise obiecała, że pójdzie, a potem spytała wuja, co go ostatnio zajmuje.

– Sibthorp – odparł doktor Finch, pochylając się nad piekarnikiem.

– Słucham?

Jack Finch wyjął z piekarnika drewnianą misę, wypełnioną, ku wielkiemu zdumieniu Jean Louise, zieleniną. Mam nadzieję, że palnik nie był włączony, pomyślała.

– Sibthorp, dziewczyno. Sibthorp – powtórzył. – Richard Waldo Sibthorp. Ksiądz rzymskokatolicki. Pochowany zgodnie z ceremoniałem

Kościół Anglii. Próbuję znaleźć podobnego. Bardzo znaczący.

Jean Louise była przyzwyczajona do myślowych skrótów, w których celował jej wuj: zwykle przytaczał dwa całkiem odrębne fakty oraz konkluzję, na pozór wcale z nich niewynikającą. Potem zaś, powoli i nieomylnie – o ile tylko rozmówca potrafił go do tego zmusić – rozplątywał zawiłą nić swego rozumowania, aż stawało się całkiem jasne i lśniło własnym blaskiem.

Jean Louise nie przyszła tu jednak po to, by zachwycać się zagadkami wiktoriańskiego estety. W milczeniu przyglądała się poczynaniom wuja, który cierpliwie manewrował zieleniną, oliwą, octem oraz kilkoma niezidentyfikowanymi ingrediencjami, a czynił to równie pewnie i precyzyjnie, jak niegdyś dokonywał niełatwych osteotomii. Wreszcie rozdzielił sałatkę na dwa talerze i rzekł:

– Jedz, dziecko.

Żując z zapalem lunch, doktor Finch przypatrywał się bratanicy, która cierpliwie układała w równiutkim rządku na swym talerzu kawałeczki sałaty, awokado, zielonej papryki i cebulki.

– No dobrze, co się dzieje? Jesteś w ciąży?

– Dzięki Bogu nie, wujku.

– Bo to bodaj jedyna rzecz, która mi przychodzi do głowy, gdy zastanawiam się, czym może się martwić młoda kobieta w dzisiejszych czasach. Zechcesz mi powiedzieć, o co chodzi? – spytał i dodał łagodniej: – Śmiało, stary Skaucie.

Oczy Jean Louise zmętniały od łez.

– Ty mi powiedz, co się dzieje, wujku Jacku. Co się dzieje z Atticusem? Mam wrażenie, że Hank i ciocia postradali rozum i, prawdę mówiąc, podejrzewam, że sama zaczynam wariować.

– Nie zauważyłem, by coś się z nimi działo. A powinienem?

– Szkoda, że nie widziałeś ich wczoraj na tym spotkaniu...

Jean Louise spojrzała w oczy wuja, który balansował dość ryzykownie na tylnych nogach swego krzesła. Po chwili położył dłonie na stole, by nie stracić równowagi, a jego ostre rysy jakby zmiękły. Brwi wystrzeliły nagle w górę, gdy roześmiał się w głos. Przednie nogi krzesła opadły z hukiem na posadzkę, a śmiech zmienił się w chichot.

Jean Louise była wściekła. Zerwała się z krzesła, omal go nie przewracając. Odstawiła je na miejsce i ruszyła w stronę drzwi.

– Nie przyszłam tu po to, żebyś się ze mnie naśmiewał – powiedziała.

– Och, wracaj tu i siedź cicho – zachnął się doktor Finch, a potem spojrzał na nią z autentycznym zaciekawieniem, jakby była obiektem badań mikroskopowych, medycznym dziwolągiem, który przypadkowo zmaterializował się w jego kuchni.

– Jako siedzę tu i dycham, nie spodziewałem się, że dobry Bóg pozwoli mi doczekać chwili, w której zobaczę, jak ktoś włązi w sam środek rewolucji, robi ponurą minę i pyta: „Co tu się dzieje?”

Znowu parsknął śmiechem i pokręcił głową.

– Co się dzieje, dziecko? Powiem ci, co się dzieje, jeśli weźmiesz się w garść i powstrzymasz się od takiego zachowania. Ha, ciekaw jestem, czy twoje oczy i uszy stać jeszcze na coś poza spazmatycznymi, chwilowymi kontaktami z umysłem – twarz doktora Fincha stężała. – Wiem, że nie wszystko, co tu usłyszysz, przypadnie ci do gustu.

– Wszystko mi jedno, wujku, chcę tylko, żebyś mi wyjaśnił, co zmieniło mojego ojca w pogromcę czarnuchów.

– Uważaj, co mówisz – napomniął ją surowo doktor Finch. – Nie waż się więcej tak mówić o ojcu. Nie znoszę ani brzmienia, ani sensu tych słów.

– Jak więc mam go nazywać?

Wujek Jack westchnął przeciągle, a potem podszedł do kuchenki i włączywszy przedni palnik, postawił na nim dzbanek z kawą.

– Rozważmy to w spokoju – rzekł, po czym odwrócił się i Jean Louise dostrzegła, że rozbawienie wyгнаło z jego oczu resztki oburzenia, zaraz jednak ustąpiło i już nic nie udało się wyczytać z twarzy doktora Fincha.

– O rety, rety. No tak. Powieść musi opowiadać jakąś historię – wymamrotał.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała.

Wiedziała, że znowu coś cytuje, ale nie miała pojęcia, co i w jakim celu. Nie obchodziło jej to w gruncie rzeczy. Gdy tylko chciał, potrafił doprowadzić ją do szewskiej pasji – i najwyraźniej wybrał właśnie tę chwilę. Miała mu to za złe.

– Nic – odparł, siadając znowu przy stole. Zdjął okulary i wsunął je do kieszonki kamizelki, po czym przemówił wolno i z naciskiem: – Skarbie, jak Południe długie i szerokie, twój ojciec i ludzie doń podobni walczą jako tylna straż, próbując opóźnić bieg wydarzeń, by jak najdłużej zachować pewną filozofię, która jest już na wymarciu...

– Jeżeli chodzi o tę, o której wczoraj się nasłuchałam, bardzo dobrze, że

jest na wymarciu.

Doktor Finch uniósł głowę.

– Popełniasz wielki błąd, jeżeli sądzisz, że twój tata jest oddany sprawie zatrzymania Murzynów w tym miejscu, w którym się znaleźli.

Jean Louise podniosła w górę dłonie, a zaraz potem głos:

– Co więc, do diabła, mam o tym wszystkim myśleć? Niedobrze mi się wczoraj zrobiło, wujku. Po prostu niedobrze...

Doktor Finch podrapał się za uchem.

– Nie wątpię, że ktoś kiedyś wyłożył ci pewne historyczne fakty i niuanse...

– Wujku, nie wciskaj mi teraz takich bajeczek. Czasy wojny secesyjnej nie mają z tym nic wspólnego.

– Przeciwnie, mają z tym wiele wspólnego, o ile naprawdę chcesz zrozumieć, w czym rzecz. Na początek musisz pojąć coś – na Boga, to naprawdę istotne – czego trzy czwarte społeczeństwa do dziś nie ogarnia. Jakimi ludźmi jesteśmy, Jean Louise? Jakiego jesteśmy rodzaju? Komu na tym świecie do dziś jesteśmy najbliżsi?

– Zawsze myślałam, że jesteśmy po prostu ludźmi. Nie mam pojęcia.

Wuj uśmiechnął się, a w jego oczach znowu zapaliły się figlarne światełka. Zaraz znowu mi odjedzie jak na łyżwach, pomyślała. Nigdy za nim nie nadążam, nie umiem sprowadzać go z powrotem.

– Rozważmy przypadek hrabstwa Maycomb – ciągnął doktor Finch. – To typowe Południe. Nigdy nie zwróciłaś uwagi na fakt, że niemal wszyscy są tu ze sobą spokrewnieni lub prawie spokrewnieni?

– Jakim cudem wszyscy mogą być krewnymi wszystkich?

– To proste. Pamiętasz Franka Bucklanda, prawda?

Wbrew sobie, Jean Louise wyczuwała, że wolniutko, ukradkiem daje się wciągnąć w sieć doktora Fincha. Cudowny, stary pająk z niego, pomyślała, ale jednak pająk. Nachyliła się nieznacznie ku niemu.

– Franka Bucklanda?

– Tego naturalistę. Nosił w walizce zdechłe ryby i trzymał w domu szakala.

– I co?

– A Matthew Arnolda pamiętasz?

Potwierdziła.

– Otóż Frank Buckland był synem brata męża siostry ojca Matthew Arnolda, byli więc ze sobą spokrewnieni. Rozumiesz?

– Tak, ale...

Doktor Finch spojrział w sufit.

– A czy mój bratanek Jem – zaczął wolno – nie zaręczył się z kuzynką drugiego stopnia żony syna swego stryjecznego dziadka?

Zasłoniła oczy dłońmi i przez chwilę intensywnie myślała.

– Owszem – przyznała. – Zdaje mi się, że to *non sequitur*[\[26\]](#), wujku, chociaż nie dam za to głowy.

– Na jedno wychodzi.

– Ja nie widzę związku.

Doktor Finch położył dłonie na blacie.

– To dlatego, że nie patrzysz uważnie – orzekł. – Nawet nie otworzyłaś oczu.

Jean Louise aż podskoczyła.

– Do dziś w hrabstwie Maycomb żyją dalecy krewni wszystkich tępogłowych Celtów, Anglów i Sasów, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi – ciągnął doktor Finch. – Pamiętasz pewnie dziekana Stanleya, co?

Stopniowo wracało do niej wspomnienie owych dni, kiedy godziny ciągnęły się w nieskończoność. Bywała wtedy w tym domu, siadywała przy ciepłym ogniu i słuchała, jak czytał jej z zakurzonych ksiąg. Głos miał niski, chrapliwy, tylko w śmiechu stawał się piskliwy. Z zakamarków pamięci Jean Louise wychynał z wolna obraz roztargnionego, niewysokiego duchownego o puszystych włosach i jego krzepkiej małżonki.

– Nie przypomina ci Finka Sewella?

– Nie.

– Pomyśl, dziewczyno. Pomyśl. A skoro jeszcze nie myślisz, oto moja podpowiedź: gdy Stanley był dziekanem Westminsteru, wykopał bodaj wszystkich nieboszczyków w całym opactwie, szukając szczątków Jakuba Pierwszego.

– Mój Boże – westchnęła Jean Louise.

W czasach Wielkiego Kryzysu pan Finckney Sewell, mieszkaniec Maycomb z dawien dawna słynący z niezależności umysłu, wykopał zwłoki swego dziadka i użył wyrwanych nieboszczykowi złotych zębów, by spłacić kredyt hipoteczny. Gdy szeryf zatrzymał go pod zarzutem rabowania grobów oraz posiadania złota z nielegalnego źródła, pan Fink wygłosił z gruntu nieskomplikowaną teorię w formie pytania: jeżeli własny dziadek nie jest jego, to w takim razie czyj? Szeryf oznajmił, że

stary M.F. Sewell to dobro publiczne, lecz pan Fink odpowiedział, nie bez złośliwości: skoro kwatery cementarna należy do niego, dziadek oraz jego zęby są jego własnością, w związku z czym nie przyjmuje do wiadomości faktu, że został aresztowany. Mieszkańcy Maycomb poparli go gremialnie. Pan Fink był człowiekiem honoru, próbował za wszelką cenę spłacić swoje długi. Od tego czasu stróż prawa już go nie niepokoili.

– Stanley grzebał w ziemi z najszlachetniejszych, czysto historycznych pobudek – snuł opowieść doktor Finch – ale umysły obu tych dżentelmenów funkcjonowały bardzo podobnie. Nie zaprzeczysz chyba, że zapraszał bodaj wszystkich znanych sobie heretyków, by wygłaszali kazania w opactwie. Jeśli się nie mylę, raz udzielił komunii pani Annie Besant. Pamiętasz też, że wspierał biskupa Colenso?

Pamiętała. Biskup Colenso, którego poglądy – na niemal wszystko – już za jego życia uchodziły za niezdrowe, a dziś nazywane są archaicznymi, był zaiste ulubieńcem niepozornego dziekana. Gdziekolwiek zbierała się grupa duchownych, zażarcie o nich dyskutowano, zaś Stanley odważył się wygłosić mowę w obronie biskupa podczas jednej z konwokacji. Zapytał zgromadzonych, czy są świadomi, że Colenso to jedyny funkcjonariusz Kościoła, który zadał sobie trud przetłumaczenia Biblii na język Zulusów. Żaden z nich nie mógł się pochwalić podobnym osiągnięciem.

– Fink był taki sam – ciągnął doktor Finch. – Prenumerował „Wall Street Journal” nawet w najczarniejszej godzinie Wielkiego Kryzysu i gotów był stawić czoło każdemu, kto śmiał mu to wypomnieć – Jack zachichotał. – Jake Jeddo z poczty za każdym razem dostawał niemal spazmów, gdy sortował przesyłki.

Jean Louise spojrzała na swego wuja. Siedziała w jego kuchni, w samym środku Ery Atomu, i gdzieś w najgłębszych zakamarkach świadomości wiedziała, że doktor Finch nie myli się, dokonując tak zaskakujących porównań.

– ...podobnie jak on – mówił tymczasem wujek Jack – albo choćby Harriet Martineau[27]...

Jean Louise poczuła, że zaczyna tonąć w nazbyt głębokich dla niej wodach. Z trudem utrzymywała głowę nad powierzchnią.

– A pamiętasz panią E.C.B. Franklin?

Pamiętała. Postać panny Martineau wyłowiła z pamięci z największym

trudem, ale pani E.C.B. stanowiła znacznie łatwiejszy przypadek: trudno było zapomnieć szydełkowy beret, szydełkową sukienkę, spod której prześwitywały różowe szydełkowe pantalone, oraz wydziergane szydełkiem pończochy. W każdą sobotę pani E.C.B. pokonywała pieszo trzy mile dzielące od miasta jej farmę, zwaną Cape Jessamine Copse. Pani E.C.B. tworzyła poezję.

– A pamiętasz pomniejszych poetki? – spytał doktor Finch.

– Pamiętam.

– No i?

Jako dzieciak pomagała przez jakiś czas w biurze gazety „Maycomb Tribune” i była wówczas świadkiem kilku interesujących sporów, w tym ostatniej sprzeczki między panią E.C.B. a panem Underwoodem. Pan Underwood, drukarz starej daty, nie tolerował bzdur w żadnej postaci. Pracował cały boży dzień przy wielkim, czarnym linotypie, w przerwach odświeżając się łykami całkiem niegroźnego, wiśniowego winka z galonowego dzbana. Pewnej soboty pani E.C.B. wkroczyła do jego gabinetu ze swym najnowszym dziełem, o którym pan Underwood powiedział, że nie zbruka nim łamów „Tribune”. Był to rymowany nekrolog dla krowy, zaczynający się od słów:

*Bydlątko lube, utracone,
Twe ślepia wielkie i brązowe...*

Stanowił on poważne naruszenie zasad chrześcijańskiej filozofii, co niezwłocznie zauważył pan Underwood, mówiąc: „Krowy nie idą do nieba”. „Ta poszła” – odparowała niezwłocznie pani E.C.B., po czym stwierdziła, że ma prawo korzystać z twórczej swobody. Pan Underwood, który w swym długim życiu opublikował już mnóstwo rozmaitych tekstów upamiętniających zmarłych, nie zamierzał jednak ustąpić i nadal uważał, że to bluźnierstwo. Rozwścieczona pani E.C.B. chwyciła wtedy ramkę i jednym ruchem rozrzuciła po podłodze czcionki, z których drukarz składał właśnie reklamę sklepu Biggsa. Pan Underwood zaczerpnął haust powietrza niczym waleń i ruszył do kontraktaku. Gonił poetkę aż do placu przed gmachem sądu, wykrzykując przekleństwa. Od tamtej pory pani E.C.B. zajmowała się wyłącznie twórczością poetycką na własny użytek. Hrabstwo odczuło tę stratę.

– Czy teraz w końcu jesteś skłonna przyznać, że istnieje pewna wągła

wież, niekoniecznie między konkretną parą ekscentryków, ale między pewnymi cechami umysłów, spotykanymi po obu stronach wielkiej wody?

Jean Louise rzuciła ręcznik.

Doktor Finch rzekł zaś bardziej do siebie niż do swej bratanicy:

– Skąd płynęły najgorętsze słowa w latach siedemdziesiątych osiemnastego wieku?

– Z Wirginii – odparła bez wahania Jean Louise.

– A na początku lat czterdziestych tego stulecia, zanim jeszcze weszliśmy do gry, co sprawiało, że każdy południowiec czytał poranną gazetę i słuchał wiadomości ze szczególną zgrozą? W gruncie rzeczy tylko jedno: poczucie plemiennej wspólnoty, skarbie. Możliwe, że Brytyjczycy to sukinsyny, ale nasze sukinsyny...

Doktor Finch urwał nagle.

– Wracajmy – dodał zaraz. – Wracajmy do początku osiemnastego wieku, do Anglii, gdzie jakiś szubrawiec wymyślił maszyny. Jak wyglądało wtedy życie?

Jean Louise odpowiedziała automatycznie:

– Społeczeństwo książąt i żebraków...

– Ha! Nie jesteś aż tak dalece zepsuta, jak podejrzewałem, jeśli nadal pamiętasz Caroline Lamb, biedactwo. Prawie ci się udało, ale nie całkiem. Było to społeczeństwo głównie rolnicze, z garstką właścicieli ziemskich i rzeszami dzierżawców. A jak wyglądało Południe przed wojną domową?

– Społeczeństwo rolnicze z garstką właścicieli ziemskich i rzeszami drobnych farmerów oraz niewolników.

– Otóż to. Zostawmy na chwilę niewolników – co nam zostanie? Dziesiątki bogaczy oraz tysiące ludzi posiadających lub dzierżawiących skrawek ziemi. Południe stało się miniaturową Anglią, jeśli chodzi o dziedzictwo kulturowe i strukturę społeczną. A teraz powiedz mi, co jest drogie sercu każdego Anglosasa? Nie krzyw się tak, wiem, że w dzisiejszych czasach to brzydkie słowo, bez względu na jego stan i pozycję społeczną, odkąd tylko przestał być dzikusiem.

– Duma. Jest jakby... uparty.

– Bardzo słusznie. Co jeszcze?

– No... Nie wiem.

– Co sprawiło, że zbieranina obdartusów zwana armią konfederatów

stała się niezwykłą, ostatnią w swoim rodzaju formacją? Co sprawiło, że była tak słaba, a zarazem tak mocna, zdolna dokonać cudów?

– Eee... Generał Robert E. Lee?

– Na Boga, dziewczyno! – wykrzyknął jej wuj. – To była armia obywateli, którzy zostawili swoje farmy i pomaszerowali na wojnę z Północą!

Doktor Finch wyjął znowu okulary, włożył je, przechylił głowę na bok i spojrzał na Jean Louise tak, jakby była rzadko spotykanym zwierzęciem.

– Żadna maszyna – rzekł po chwili – którą zmiażdżysz na proch, nie powstanie z powrotem i nie zacznie działać. A ci ludzie, skóra oraz kości, powstali i pomaszerowali – i to jak pomaszerowali! Dlaczego?

– Chyba chodziło o niewolników, taryfy i takie tam rzeczy. Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Na Jehowę – jęknął cicho doktor Finch.

Z widocznym wysiłkiem zapanował nad sobą, na wszelki wypadek wstając, by wyłączyć ogień pod dzbankiem z kawą. Napełnił dwie filiżanki czarnym, gorącym płynem i postawił je na stole.

– Jean Louise – zaczął znowu dość cierpkim tonem – niewiele ponad pięć procent mieszkańców Południa kiedykolwiek widziało niewolnika, nie mówiąc o posiadaniu go na własność. A jednak było coś, co rozdrażniło pozostałych dziewięćdziesiąt pięć procent społeczeństwa.

Jean Louise spojrzała na wuja wyczekująco.

– Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, a może chociaż poczułaś dalekie wibracje w tym tonie, że na owym terytorium istnieje osobny naród? Pomińmy jakiegokolwiek więzi polityczne, po prostu naród, zbiór ludzi tworzących wspólnotę. Społeczność pełna paradoksów i niepokojących nierówności, ale jednocześnie społeczność obywateli, których osobisty honor błyszczy jak chmary światełek ciemną nocą. Jeszcze nigdy nie toczono wojny z tak wielu powodów składających się na jedną, krystalicznie czystą przyczynę: nasi przodkowie, Jean Louise, walczyli z Północą, żeby zachować swoją tożsamość. Tę polityczną i tę osobistą.

Głos doktora Fincha zmiażdżył nieco.

– Wiem, z dzisiejszej perspektywy trąci to donkiszoterią – żyjemy wszak w czasach odrzutowców i przedawkowań Nembutalu[28] – że człowiek gotów nadstawić kark za coś tak nieistotnego, jak stan, w którym mieszkał.

Jack przymknął oczy.

– Ale nie, Skaucie, ci biedni, niedouczeni ludzie walczyli, aż wybito ich niemal do nogi, a walczyli, by zachować coś, co dzisiaj wydaje się wyłącznym przywilejem artystów.

Jean Louise podjęła ostatnią próbę wskoczenia do wózka, którym rozpędzała się opowieść jej wuja:

– Przecież minęło już prawie sto lat.

Doktor Finch uśmiechnął się szeroko.

– Doprawdy? To zależy, jak spojrzysz na tę kwestię. Być może z perspektywy kogoś, kto spaceruje ulicami Paryża, tak właśnie to wygląda, lecz przyjrzyj się bliżej. Nasi żołnierze, którzy przeżyli tamten konflikt, doczekali się potomstwa. Boże, jak oni się mnożyli! I Południe przetrwało czasy rekonstrukcji[29], doświadczywszy w istocie tylko jednej trwałej zmiany politycznej: zniesiono niewolnictwo. Ludzie nie stali się gorsi, niż byli przed wybuchem wojny secesyjnej, ba, niektórzy stali się bez porównania lepsi. Nie dali się złamać. Wdeptano ich w ziemię, a oni powstali. Powstał też Szlak Tytoniowy[30]. Powstało coś jeszcze, coś naprawdę paskudnego, wstydlivy problem tamtych czasów: nowy typ białego człowieka, zmuszonego do bezpośredniej rywalizacji ekonomicznej z uwolnionymi Murzynami.

Przez całe lata człowiek ten żył w przekonaniu, że tylko jedno czyni go lepszym od jego czarnych braci: kolor skóry. Był brudny jak oni, śmierdział jak oni, był też równie biedny. Dziś ma więcej pieniędzy niż kiedykolwiek, brak mu w zasadzie tylko rodowodu, uwolnił się od wszelkich stygmatów, a jednak wciąż pielęgnuje w sobie kaca nienawiści...

Doktor Finch wstał, by dolać sobie kawy. Jean Louise obserwowała go uważnie. Dobry Boże, pomyślała, przecież w tamtej wojnie walczył mój dziadek. Ojciec wujka Jacka i Atticusa. Był wtedy ledwie dzieciakiem, ale widział sterty trupów i patrzył, jak krew spływa strumieniami po stokach wzgórza Shiloh...

– Posłuchaj mnie, Skaucie – rzekł doktor Finch. – Teraz, właśnie w tej chwili, Południu narzuca się filozofię polityczną, która jest mu z gruntu obca. Południe nie jest na nią gotowe i dlatego znowu znajdujemy się na głębokich, niebezpiecznych wodach. Jak świat światem, historia się powtarza, lecz człowiek pozostaje człowiekiem i historia jest dlań ostatnim miejscem, w którym szukałby lekcji dla siebie. W Bogu

nadzieja, że tym razem czeka nas rekonstrukcja względnie bezkrwawa.

– Nie rozumiem.

– Spójrz na resztę kraju. Już dawno odeszła od sposobu myślenia, który obowiązuje na Południu. Uświęcona czasem i prawem zwyczajowym koncepcja własności – a także związanych z nią praw oraz obowiązków człowieka – umiera na naszych oczach. Zmienia się też postawa obywateli wobec powinności rządu. Ci, którzy nie mieli nic, powstali, wysunęli żądania i dostali, co im się należało, a czasem nawet więcej. Tym, którzy mieli dość pieniędzy, utrudniono ich pomnażanie. Dziś chroni cię przed zimnym wiatrem starości nie twoja własna przemyślność, ale państwo, które nie chce uwierzyć, że potrafisz o siebie zadbać i zmusza cię do oszczędzania. To tylko jedna z przedziwnych spraw, którymi zajmuje się dziś rząd. Tam mamy nowy, atomowy świat Ameryki, a tu, na Południu, zaczyna się dopiero rewolucja przemysłowa. Rozglądałaś się może dokoła w ostatnich siedmiu, ośmiu latach? Zauważyłaś, że powstała tu nowa klasa społeczna?

– Nowa klasa?

– Wielkie nieba, dziecko. Gdzie się podzieli farmerzy dzierżawiący ziemię? Pracują w fabrykach. Gdzie robotnicy rolni? Tamże. A zauważyłaś, kto mieszka w tych małych, białych domkach po drugiej stronie miasta? Nowa klasa obywateli Maycomb. To chłopcy i dziewczęta, z którymi chodziłaś do szkoły. Dorastali na maleńkich farmach swych rodziców. Twoje pokolenie.

Doktor Finch ścisnął palcami nos.

– Ci właśnie ludzie są oczkiem w głowie rządu federalnego. Dostają kredyty na budowę domów, darmową edukację w zamian za służbę wojskową, emerytury na starość, a nawet kilkutygodniowy zasiłek, gdy stracą pracę...

– Wujku, stałeś się cynicznym starcem.

– Cynicznym, akurat! Jestem zdrowym starcem obdarzonym konstytucyjną nieufnością wobec paternalizmu i władzy państwowej w nazbyt dużych dawkach. Twój ojciec jest zresztą taki sam...

– Jeżeli powiesz mi zaraz, że władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie, obleję cię tą kawą.

– Jeśli żywię obawę o przyszłość tego kraju, to tylko w jednej sprawie: być może rząd stanie się pewnego dnia takim molochem, że zacznie tratować maluczkich, a wtedy uznam, że nie warto tu dłużej żyć. Jedyłą

rzeczą, która wyróżnia jeszcze Amerykę od reszty umęczonego świata jest to, że człowiek wciąż może tu zejść tak daleko, jak poprowadzi go jego umysł – albo pójść do piekła, jeśli tylko zechce. Niestety, ten stan nie potrwa długo.

Doktor Finch uśmiechnął się jak przyjacielska łośnica.

– Melbourne powiedział kiedyś, że jedynym obowiązkiem rządu jest zapobieganie przestępczości i ochrona umów. Dodałbym do tego tylko jedno, ponieważ niechętnie widzę się w roli człowieka dwudziestego wieku: jego obowiązkiem jest też zapewnienie nam prawa do powszechnej obrony.

– To nader mgliste pojęcie.

– W rzeczy samej. Dlatego pozostawia nam spory margines wolności.

Jean Louise położyła łokcie na stole i przeczesła palcami włosy. Coś z nim jest nie tak, pomyślała. Celowo popisuje się elokwencją, celowo krąży wokół tematu, ale się do niego nie zbliża. Tu nadmiernie upraszcza, tam omija, tu się uchyla, a tam ucieka. Tylko dlaczego? Tak łatwo go słuchać, tak przyjemnie usypia łagodnym deszczem słów. Brakuje jednak tych wystudiuowanych gestów oraz nieustannego wtrącania „ha!” i „he?”, od których zwykle nie może się powstrzymać. Jean Louise wyczuwała wszystko, ale nie wiedziała jednego: jak bardzo jest zaniepokojony.

– Wujku – powiedziała – co to wszystko ma wspólnego z ceną jaj w Chinach, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Ho! – odpowiedział i wyraźnie się zarumienił. – Zaczynamy się mądrzyć?

– Mądrości mam w sobie akurat tyle, by dostrzec, że relacje między Murzynami a białymi są dziś gorsze niż kiedykolwiek, o czym, nawiasem mówiąc, ani razu nie wspomniałeś. Akurat tyle, żeby pragnąć zrozumieć, dlaczego twoja święta siostra zachowuje się tak, jak się zachowuje. Akurat tyle, żeby pragnąć zrozumieć, co u diabła stało się z moim ojcem.

Doktor Finch zacisnął pięści i podparł nimi podbródek.

– Narodziny człowieka to sprawa nader nieprzyjemna. Brudna, bolesna, czasem bardzo niebezpieczna. I zawsze krwawa. Podobnie jest z cywilizacją. Południe przeżywa ostatnie, najsilniejsze bóle porodowe. Wydała z siebie coś nowego i nie jestem pewny, czy to mi się podoba, ale zanim się wykluje, mnie już nie będzie. W przeciwieństwie do ciebie. Ludzie tacy jak ja i mój brat są przestarzałymi modelami, trzeba nam

odejść, lecz niestety zabierzemy ze sobą to, co naprawdę ważne dla społeczeństwa, a sporo jest tego dobra.

– Przestań wreszcie owijać w bawełnę i odpowiedz mi!

Doktor Finch powstał, oparł dłonie o blat i spojrzał w oczy bratanicy. Linie biegnące od jego nosa ku ustom wyostrzyły się nagle, tworząc wyraźny trapez. W oczach pojawił się błysk, lecz głos pozostał spokojny.

– Jean Louise, gdy człowiek spogląda w wylot lufy strzelby, sięga po pierwszą broń, jaką tylko zdoła znaleźć, by się bronić – może to być kamień, może być solidne polano, może też być rada obywatelska.

– To nie jest odpowiedź!

Doktor Finch zamknął oczy, a gdy znowu uniósł powieki, wpatrywał się w stół.

– Zafundowałeś mi bardzo ciekawą wycieczkę opłotkami, wujku, i muszę ci wyznać, że nie przypominam sobie, byś mnie kiedykolwiek tak potraktował. Zawsze udzielałeś mi konkretnych odpowiedzi, gdy zadawałam ci pytania. Dlaczego teraz tego nie robisz?

– Bo nie mogę. Nie potrafię i nie moja to sprawa.

– Pierwszy raz słyszę od ciebie coś takiego.

Doktor Finch otworzył usta i zaraz na powrót je zamknął, a potem chwycił Jean Louise pod ramię, poprowadził do sąsiedniego pokoju i postawił przed lustrem zamkniętym w złoconej ramie.

– Spójrz na siebie – powiedział.

Spojrzała.

– Co widzisz?

– Siebie i ciebie – skierowała wzrok ku odbiciu wuja. – Wiesz co? Na swój okropny sposób jesteś nawet przystojny.

Na krótką chwilę znowu opętał go duch poprzedniego stulecia. Ni to skinął głową, ni to się skłonił, po czym rzekł:

– Pani zanadto łaskawa.

Stanąwszy za Jean Louise, uścisnął jej ramiona.

– Spójrz na siebie – powtórzył. – Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Spójrz sobie w oczy. Spójrz na nos, na podbródek. Co widzisz?

– Siebie.

– A ja widzę dwoje ludzi.

– Chłopczycę i kobietę?

Lustrzane odbicie doktora Fincha pokręciło głową.

– Nie, moje dziecko. Inaczej: też, ale nie o to mi chodzi.

– Wujku, naprawdę nie wiem, dlaczego wolisz znikać we mgle, niż...

Doktor Finch podrapał się po głowie, strosząc przy tym kępkę siwych włosów.

– Przepraszam – powiedział. – Śmiało. Zrób to, co zamierzasz zrobić. Nie umiem i nie wolno mi cię powstrzymać, Sir Rolandzie^[31]. Ale uprzedzam: będzie to znojna, niebezpieczna wyprawa. I krwawa...

– Wujku Jacku, kochany, znowu odpłynąłeś.

Doktor Finch obrócił ją ku sobie i zatrzymał na odległość wyciągniętych ramion.

– Jean Louise, chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchała. To wszystko, o czym dziś rozmawialiśmy... Chcę ci powiedzieć coś jeszcze i przekonać się, czy zrozumiesz. A mianowicie: to, co było pobocznym wątkiem wojny między stanami, jest też pobocznym wątkiem wojny, którą teraz toczy, a także pobocznym wątkiem twojej prywatnej wojny. Teraz przemyśl to sobie i powiedz, co twoim zdaniem mam na myśli.

Doktor Finch czekał cierpliwie.

– Przemówiłeś jak jeden z proroków mniejszych – powiedziała.

– Tego się spodziewałem. No cóż, posłuchaj raz jeszcze: gdy już nie będziesz mogła wytrzymać, gdy serce pęknie ci na pół, koniecznie przyjdź do mnie. Zrozumiałaś? Musisz do mnie przyjść. Obiecay – potrząsnął nią. – Obiecay mi.

– Dobrze, obiecuję, ale...

– Teraz zmykaj – wpadł jej w słowo wuj. – Idź sobie i pobaw się z Hankiem w pocztę. Mam ciekawsze rzeczy do roboty...

– Niż co?

– Nie twoja sprawa, marudo.

Zbiegając po schodkach, Jean Louise nie widziała już, że doktor Finch przygryzł dolną wargę, a po chwili wrócił do kuchni, przez chwilę tarmosił futro sędziwej Rose Aylmer, po czym z rękami w kieszeniach pomaszerował do gabinetu. Przez jakiś czas przechadzał się w tę i z powrotem, aż wreszcie podniósł słuchawkę telefonu.

^[25] Był to tzw. *dogtrot house*, dawniej dom typowy dla terenów gorącego Południa. Długi korytarz, otwarty z obu stron, oraz przechodnie pokoje pozwalały na lepszy przepływ powietrza.

^[26] Łac. *nie wynika*; błąd formalny w rozumowaniu logicznym, polegający na tym, że wniosek nie wynika wprost z przesłanek.

^[27] Harriet Martineau (1802–1876) – Brytyjka rozlicznych talentów, która wyróżniała się zwłaszcza na polu ekonomii, filozofii i socjologii.

[28] Nazwa handlowa leku nasennego i uspokajającego, zawierającego pentobarbital.

[29] Chodzi o zakończony w 1877 roku proces intensywnej transformacji Południa po wojnie secesyjnej.

[30] Obszar na terytorium Północnej Karoliny, w owym czasie zagłębie przemysłu tytoniowego.

[31] Bohater poematu Roberta Browninga *Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął*, nawiązującego luźno do wiersza z *Króla Leara* Williama Szekspira oraz do staroangielskiej baśni *Childe Rowland*.

CZEŚĆ VI

15

Szalony, szalony, szalony jak kapelusznik[32], myślała Jean Louise. No, ale tak to już jest ze wszystkimi Finchami. Różnica między wujkiem Jackiem a całą resztą polega na tym, że on jest świadom swojego szaleństwa.

Siedziała przy stoliku na tyłach lodziarni pana Cunninghama, jedząc loda wprost z pudełka z woskowanego papieru. Właściciel, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, zafundował jej tę porcję w nagrodę, że poprzedniego dnia odgadła jego nazwisko. To była jedna z tych drobnych rzeczy, które uwielbiała w Maycomb, tu ludzie pamiętali o złożonych obietnicach.

O co w końcu chodziło wujowi Jackowi? Obiecaj mi – poboczny wątek wojny – Anglosas – brzydkie słowo – Sir Roland. Mam nadzieję, że nie straci resztek przyzwoitości i nikomu nie przyjdzie do głowy go zamknąć. I tak wyniósł się już z tego stulecia na tyle daleko, że nie chodzi do ubikacji, lecz do latryny. A jednak, szalony czy nie, jest jedynym z bliskich mi ludzi, który jeszcze nie powiedział i nie zrobił niczego...

Po co tu wróciłam? Chyba samej sobie na złość. Żeby patrzeć na żwir rozsypany na naszym dawnym podwórku, gdzie rosły dorodne drzewa i gdzie stał garaż, i aby zastanawiać się, czy to wszystko nie było tylko snem. Tam Jem stawiał samochód, którym jeździł na ryby, a przy ogrodzeniu na końcu działki kopaliśmy robaki. Kiedyś posadziłam pęd bambusa, a potem walczyliśmy z nim dwadzieścia lat. Teraz już go nie widać, widocznie pan Cunningham zasypał to miejsce solą.

Była trzynasta. Siedząc w blasku słońca, Jean Louise krok po kroku odbudowywała w pamięci swój dom i zaludniała podwórko. Znowu widziała ojca, brata, Calpurnię, nawet Henry'ego po drugiej stronie ulicy i pannę Rachel w sąsiednim budynku.

Były to ostatnie dwa tygodnie roku szkolnego i właśnie wybierała się na pierwszą w swym życiu potańcówkę. Jak nakazywała tradycja, uczniowie najstarszych klas zaprosili swe młodsze rodzeństwo na Bal Absolwentów, organizowany w wieczór przed Bankietem Juniorów-Seniorów, jak zawsze zaplanowanym na ostatni piątek maja.

Futbolowa bluza Jema wyglądała coraz bardziej imponująco, został już kapitanem drużyny i pod jego wodzą chłopcy z Maycomb pokonali zespół z Abbottsville, po raz pierwszy od trzynastu sezonów. Henry był przewodniczącym Klubu Dyskusyjnego Seniorów – były to jedyne zajęcia pozalekcyjne, na które wystarczało mu czasu – a Jean Louise, pulchna czternastolatka, pasjonowała się wiktoriańską poezją i powieściami detektywistycznymi.

W owym czasie panowała moda na zaloty po drugiej stronie rzeki i zapewne dlatego Jem był beznadziejnie zakochany w dziewczynie z hrabstwa Abbott – do tego stopnia, że całkiem poważnie rozważał przenosiny na ostatni rok do szkoły w Abbottsville. Na szczęście zniechęcił go do tego Atticus, który zdobył się na zdecydowany ruch. Wysupłał dość pieniędzy, by jego syn mógł sobie kupić Forda, model A w wersji coupe. Jem natychmiast pomalował wóz na czarno, białą farbą stworzył pasy na oponach, o czystość w kabinie dbał wręcz obsesyjnie, a w każdy piątkowy wieczór z milczącą godnością odjeżdżał do Abbottsville, jakby nieświadom faktu, że jego wóz brzmi jak przerośnięty młynek do kawy, a dokądkolwiek się udaje, towarzyszą mu zadziwiająco liczne sfory bezpańskich psów.

Jean Louise była pewna, że Jem zawarł jakąś umowę z Henrym w sprawie zaproszenia jej na tańce, ale w sumie nie miała nic przeciwko temu. Z początku w ogóle nie chciała iść, ale Atticus powiedział, że wyglądałoby to dość dziwnie, gdyby wszyscy prócz Jema przyprowadzili swoje siostry. Następnie życzył córce dobrej zabawy i dodał, że może pójść do Ginsberga i wybrać dowolną sukienkę.

Znalazła naprawdę piękną. Białą, z bufiastymi rękawkami i dołem uszytym z koła, unoszącym się efektownie, gdy wirowała. Właściwie pojawił się tylko jeden problem, wyglądała w niej jak kręgiel.

Postanowiła zasięgnąć opinii Calpurnii, która oznajmiła, że z sylwetką dziewczyny nic się nie da zrobić – taka już jest i tyle – a zresztą wszystkie dziewczynki w jej wieku prezentują się podobnie.

– Ale ja wyglądam jakoś dziwnie – upierała się Skaut, chwytając materiał pod szyją i ciągnąc w dół.

– Ty zawsze wyglądasz dziwnie – pocieszyła ją Calpurnia. – To znaczy, tak samo prezentujesz się w każdej sukience, którą masz. Nie widzę różnicy.

Jean Louise zamartwiała się przez trzy dni. Wreszcie po południu w dniu potańcówki wróciła do Ginsberga i kupiła wkładki powiększające biust. Wróciwszy do domu, zaraz je przymierzyła.

– Spójrz teraz, Cal – powiedziała.

– No tak, teraz wygląda lepiej – przyznała Calpurnia – ale czy nie powinnaś trochę ich najpierw ponosić?

– Co masz na myśli?

– Że powinnaś się do nich przyzwyczaić, zanim w nich wyjdiesz. No, ale na to już za późno – dodała półgłosem.

– Och, Cal, głupstwa pleciesz.

– No dobrze, daj mi je. Trzeba je przynajmniej zeszyc.

Podając wkładki Calpurnii, Skaut nagle o czymś sobie przypomniała.

– Rety – szepnęła.

– Co znowu? – westchnęła Calpurnia. – Szykujesz się na tę imprezę od tygodnia, o czym jeszcze zapomniałaś?

– Cal, ja chyba nie umiem tańczyć.

Kucharka wzięła się pod boki.

– Rychło w czas na to wpadłaś – powiedziała, spoglądając na kuchenny zegar. – Za kwadrans czwarta.

Jean Louise pobiegła do telefonu.

– Proszę sześćdziesiąt pięć – powiedziała, a gdy usłyszała głos ojca, czym prędzej wyplakała mu całą prawdę.

– Zachowaj spokój i zadzwoń do Jacka – poradził jej Atticus. – Swego czasu był w tym niezły.

– O tak, pewnie wykręca ostre menuety – odrzekła cierpko Skaut, ale zatelefonowała do wujka, a ten z zapalem zabrał się do pracy.

Doktor Finch nauczał bratanicę w takt muzyki płynącej z gramofonu Jema.

– Źle... Ruchem konika szachowego... Skup się tylko... Nie, nie, nie,

schowaj pupę... To nie obrona na boisku... Nie cierpię balowych tańców... Jakbym był w pracy... Nie próbuj prowadzić... Gdy nadepnie ci na palce, to twoja wina, bo nie cofnęłaś w porę stopy... Nie patrz w dół... Nie, nie, nie... O, teraz lepiej... Najprościej, żadnych ozdobników.

Po godzinie głębokiego skupienia Jean Louise zdołała opanować jeden prosty krok. Z zapalem odliczała w myślach przy każdym ruchu, podziwiając niezwykły talent wujka, który potrafił tańczyć i rozmawiać jednocześnie.

– Rozluźnij się, poradysz sobie – powiedział.

Jego wysiłki nagrodziła Calpurnia, proponując mu kawę i kolację – z wdzięcznością przyjął zaproszenie. Następnie spędził samotnie godzinę w salonie, czekając na przybycie Atticusa oraz Jema. Jego bratanica tymczasem zamknęła się w łazience, by wyszorować się porządnie i jeszcze poćwiczyć taneczny krok. Wreszcie zjawiła się rozpromieniona, zjadła kolację w szlafroku, a następnie pobiegła do sypialni, nieświadoma rozbawienia najbliższych.

Gdy się ubierała, usłyszała kroki Henry’ego na werandzie i pomyślała, że przyszedł po nią o wiele za wcześniej, lecz on udał się prosto do pokoju Jema. Umalowała usta pomarańczową szminką, przyczesła włosy i ugłaskała koguta na czubku głowy, używając toniku Vitalis pożyczonego od Jema. Ojciec i doktor Finch powstali z miejsc, kiedy wreszcie wkroczyła do salonu.

– Wyglądasz jak z obrazka – powiedział Atticus i ucałował ją w czoło.

– Uważaj – ostrzegła. – Zepsujesz mi fryzurę.

– Może na koniec poćwiczymy obroty? – zaproponował doktor Finch.

Tańczyli, gdy do salonu zajrzał Henry. Zamrugał dziwnie, widząc nową figurę Jean Louise, po czym delikatnie klepnął doktora Fincha w ramię.

– Mogę przerwać?

– Pięknie wyglądasz, Skaut – dodał po chwili. – Mam coś dla ciebie.

– Ty też nieźle się prezentujesz – odpowiedziała.

Niedzielne spodnie Henry’ego, uszyte z granatowej serży, zyskały mordercze kanty, a beżowa marynarka pachniała płynem do czyszczenia chemicznego. Jean Louise rozpoznała też błękitny krawat Jema.

– Dobrze tańczysz – zauważył Henry i w tym momencie potknęła się.

– Nie patrz w dół, Skaucie! – zawołał doktor Finch. – Mówiłem ci przecież, tak, jakbyś niosła filiżankę kawy. Jeśli na nią spojrzysz,

rozlejesz.

Atticus otworzył klapkę kieszonkowego zegarka.

– Jem powinien już ruszać, skoro ma pojechać po Irene. Ten jego gruchot nie rozpędzi się powyżej trzydziestki.

Gdy Jem zszedł do salonu, Atticus odesłał go z powrotem, by zmienił krawat. Kiedy pojawił się ponownie, ojciec wręczył mu kluczyki do rodzinnego samochodu i trochę drobnych, a potem zabronił mu rozpędzać się powyżej pięćdziesięciu mil na godzinę.

– Słuchajcie – rzekł Jem, gdy już uraczył Jean Louise stosownym komplementem. – Może pojedziecie moim fordem? Nie będziecie musieli tłuc się ze mną do Abbottsville.

Doktor Finch machinalnie miał kieszenie marynarki.

– Nie obchodzi mnie, kto, gdzie i jak dojedzie – oznajmił. – Po prostu ruszajcie w drogę. Denerwuje mnie, że sterczycie tu tacy wystrojeni. Jean Louise już zaczyna się pocić. Chodź no tu, Cal.

Calpurnia, która czekała nieśmiało w korytarzu, przyglądając się tej scenie, podeszła teraz do Henry'ego i poprawiła mu krawat, potem strzepnęła niewidoczną nitkę z marynarki Jema i zażyczyła sobie, by Jean Louise stawiała się w kuchni.

– Chyba trzeba było wszyć je w sukienkę – zamruczała z powątpiewaniem.

Henry zawołał, że mają się pospieszyć, bo doktor Finch dostanie udaru.

– Będzie dobrze, Cal.

Powróciwszy do salonu, Jean Louise ujrzała wuja w stanie najwyższego zniecierpliwienia. Jej ojciec – przeciwnie, stał spokojnie, wbiwszy ręce w kieszenie.

– Lepiej już idźcie – powiedział Atticus. – Lada chwila przyjdzie Alexandra, a wtedy już na pewno się spóźnicie.

Byli już na werandzie, gdy Henry stanął jak wryty.

– Zapomniałem! – zawołał i puścił się biegiem do pokoju Jema. Gdy wrócił, uklonił się nisko i wręczył Jean Louise pudełko. – Proszę, panno Finch – rzekł oficjalnie.

W pudełku leżały dwie różowe kamelie.

– Haaank – jęknęła Jean Louise. – Kupiłeś!

– Posłałem po nie aż do Mobile – uściślił Henry. – Przyjechały autobusem o szóstej.

– Wielkie nieba, przyczepze je wreszcie tam, gdzie ich miejsce! –

wybuchnął doktor Finch. – Chodź no tu!

Zdecydowanym ruchem odebrał kwiaty Jean Louise i przypiął na jej ramieniu, jednocześnie mierząc surowym wzrokiem jej sztuczny biust.

– Czy teraz w końcu możecie łaskawie opuścić ten dom?

– Zapomniałam torebki.

Doktor Finch wyjął chusteczkę i otarł nią twarz.

– Henry – rzekł – idź kręcić korbą w tym przedziwnym wynalazku. Zaczekamy na ciebie przed domem.

Jean Louise ucałowała ojca na dobranoc.

– Mam nadzieję, że będziesz się bawiła jak nigdy dotąd – powiedział.

Sala gimnastyczna szkoły średniej hrabstwa Maycomb została gustownie przyozdobiona balonami oraz wstęgami z białej i czerwonej bibuły. Na jej końcu ustawiono długi stół; papierowe kubeczki, talerze pełne kanapek oraz stosiki serwetek otaczały dwie misy pełne purpurowego ponczu. Parkiet był świeżo wypastowany, a tablice do koszykówki zostały złożone wysoko pod sufitem. Scena tonęła w zieleni, zaś pośrodku sali ustawiono – bez logicznej przyczyny – wielkie, czerwone litery SŚHM, wykonane z kartonu.

– Pięknie tu, prawda? – powiedziała Jean Louise.

– Strasznie ładnie – odparł Henry. – Nie masz wrażenia, że jest większa niż podczas meczów?

Dołączyli do grupy młodszych i starszych braci oraz sióstr, stojących w pobliżu mis z ponczem. Jean Louise zrobiła na nich spore wrażenie. Dziewczęta, z którymi widywała się na co dzień, pytały, skąd wzięła tę piękną sukienkę, jakby nie wiedziały, że wszystkie robiły zakupy w tym samym sklepie.

– Od Ginsberga. Calpurnia wybrała – odpowiadała uprzejmie. Kilku chłopców w jej wieku, którym na co dzień najchętniej wydłubałaby oczy (z wzajemnością), próbowało prowadzić z nią niezręczną rozmowę.

Gdy Henry podał jej kubek ponczu, szepnęła:

– Jeśli chcesz iść do swoich kolegów, nie ma sprawy.

Henry uśmiechnął się do niej.

– Zaprosiłem ciebie, Skaucie.

– Wiem, ale to nie znaczy, że musisz czuć się zobowiązany...

Henry parsknął śmiechem.

– Do niczego nie czuję się zobowiązany. Zaprosiłem cię, bo chciałem. Zatańczmy.

– Dobrze, tylko pomału.

Poprowadził ją na środek parkietu. Z głośników płynęły dźwięki dość wolnego kawałka. Licząc w duchu kroki, Jean Louise dotrwała szczęśliwie do końca, pomyliwszy się tylko raz.

Im dłużej trwał taneczny wieczorek, tym wyraźniej dostrzegała, że udało jej się odnieść umiarkowany sukces. Kilku chłopców chciało z nią tańczyć, a gdy chwilami brakowało chętnych, Henry nigdy nie był zbyt daleko.

Miała dość rozsądku, by odpoczywać, gdy grano zwawsze, jitterbugowe kawałki albo południowoamerykańskie rytmy. Henry pocieszał ją, że będzie gwiazdą imprezy, gdy tylko nauczy się tańczyć i rozmawiać jednocześnie. Miała nadzieję, że ten wieczór nigdy się nie skończy.

Wejście Jema i Irene wywołało poruszenie wśród zgromadzonych. Jem został wybrany najprzystojniejszym chłopcem z ostatniego rocznika i była to całkiem rozsądna ocena: miał po matce brązowe, cielece oczy, grube brwi Finchów oraz regularne rysy twarzy. Irene z kolei była ucieleśnieniem modowego wyrafinowania. Miała na sobie przylegającą suknię z zielonej tafty i buty na wysokich obcasach. Gdy tańczyła, tuziny bransolet dźwięczały na jej nadgarstkach niczym kajdany niewolników. Miała chłodne, zielone oczy, czarne włosy i inteligentny uśmiech – słowem należała do tego rodzaju dziewczyn, w których Jem zakochiwał się z monotonną wręcz regularnością.

Naturalnie zatańczył też z Jean Louise, bo tak wypadało, mówiąc przy tym, że dobrze sobie radzi, tylko nos trochę jej się świeci, na co odpowiedziała, że na jego ustach widać ślady szminki. Gdy muzyka umilkła, zostawił ją z Henrym.

– Nie mogę uwierzyć, że w czerwcu idziesz do wojska – powiedziała. – Wydajesz mi się przez to taki stary.

Henry otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz nagle dziwnie wytrzeszczył oczy i szybkim ruchem przyciągnął ją do siebie.

– Co ty wyrabiasz, Hank?

– Nie wydaje ci się, że jakoś tu gorąco? Wyjdźmy na chwilę.

Jean Louise próbowała wyrwać się z uścisku, ale trzymał ją mocno, tanecznym krokiem prowadząc w stronę bocznego wyjścia i dalej, w ciemność.

– Co cię ugryzło, Hank? Czyżbym coś powiedziała...

Chwycił ją za rękę i razem pobiegli w stronę frontowej bramy budynku.

– Eee... – zaczął niepewnie Henry, a gdy zatrzymali się, ujął jej dłonie.
– Skarbie... Popatrz na siebie.

– Ciemno tu jak w piwnicy, nic nie widzę.

– To pomacaj.

Pomacała i odebrało jej mowę. Prawa wkładka znajdowała się pośrodku jej piersi, zaś lewa prawie pod pachą. Przeciągnęła je na miejsce jednym zdecydowanym ruchem, a potem zalała się łzami.

Przysiadła na schodkach, a Henry dołączył do niej i otoczył ramieniem. Gdy przestała płakać, spytała:

– Kiedy zauważyłeś?

– Dopiero co, przysięgam.

– Nie wydaje ci się, że śmiali się ze mnie przez cały czas?

Henry pokręcił głową.

– Myślę, że nikt nie zauważył, Skaucie. Słuchaj, przecież Jem tańczył z tobą tuż przede mną i się nie zorientował, przecież powiedziałby ci o tym.

– Jem myśli wyłącznie o Irene. Nie zauważyłby nawet nadciągającego cyklonu – znowu płakała, tylko trochę ciszej. – Już nigdy nie spojrzę im w oczy.

Henry uścisnął ją lekko.

– Przysięgam, że przesunęły się dopiero, gdy tańczyłaś ze mną. Pomyśl logicznie, gdyby ktoś zauważył, od razu by ci powiedział, przecież wiesz.

– Nie wiem. Pewnie szeptali po kątach i śmiali się ze mnie. Wiem, jacy potrafią być.

– Seniorzy są inni – uspokoił ją Henry. – Odkąd przyszedł Jem, tańczyłaś wyłącznie z chłopakami z jego drużyny.

To prawda. Wszyscy po kolei prosili o ten zaszczyt. Jem postarał się, by ten wieczór był dla niej naprawdę udany.

– Poza tym – ciągnął Henry – mnie się te wkładki wcale nie podobają. Nie jesteś w nich sobą.

To ją ubodło.

– Uważasz, że wyglądam w nich śmiesznie? Bez nich też, moim zdaniem.

– Uważam, że w nich nie jesteś Jean Louise. I nigdy nie wyglądasz śmiesznie – dodał zaraz. – Wyglądasz pięknie.

– Miło mi to słyszeć, Hank, ale wiem, że po prostu próbujesz mnie pocieszyć. Jestem gruba w niewłaściwych miejscach i...

Henry świsnął przeciągle.

– Ile masz lat? Nawet nie piętnaście. Jeszcze nie przestałaś rosnąć. Pamiętasz może Gladys Grierson? Nie zapomniałaś chyba, jak wołali na nią Maksi Pupa?

– Haaank!

– No, to popatrz, jak dziś wygląda.

Gladys Grierson, niewątpliwa ozdoba najstarszego rocznika, swego czasu dotknięta była tą samą przypadłością, na którą uskarżała się teraz Jean Louise – tyle że w znacznie większym stopniu.

– Jest autentycznie chuda, może nie? – Henry znał się na rzeczy. – Posłuchaj mnie, Skaucie, lepiej wyjmij te wkładki, jeśli masz się nimi przejmować przez resztę wieczoru.

– Nie. Jedźmy do domu.

– Nic z tego. Wrócimy do sali i będziemy się dobrze bawić.

– Nie!

– Do licha, Skaucie, powiedziałem, że tam wrócimy, więc zdejmuj je!

– Zabierz mnie do domu, Henry.

Zdecydowanym ruchem, ale i bez ukrytych intencji Hank sięgnął palcami za dekolt sukienki i wyrwał zza niego nieszczęsne wkładki, po czym cisnął je w mrok, najdalej jak tylko potrafił.

– Czy teraz możemy już wrócić do sali?

Nikt nie zauważył zmiany. Zdaniem Hanka stanowiło to dowód, że Jean Louise była co najwyżej dumna i próżna jak paw, jeśli zdawało jej się, że naprawdę wszyscy bez przerwy się w nią wpatrywali.

Następnego dnia mieli normalne lekcje, dlatego tańce nie mogły trwać dłużej niż do jedenastej. Henry wprowadził forda na podjazd przed domem Finchów i zaparkował pod miodłami. Razem podeszli do drzwi, ale zanim otworzył je przed Jean Louise, objął dziewczynę delikatnie i pocałował. Poczowała na policzkach dziwny żar.

– Jeszcze raz, na szczęście – powiedział.

Znowu ją pocałował, a potem zamknął za nią drzwi i chwilę później usłyszała, jak pogwizduje, biegnąc na drugą stronę ulicy.

Głodna popędziła na palcach do kuchni. Mijając pokój ojca, dostrzegła pod drzwiami smugę światła. Zapukała i weszła. Atticus czytał w łóżku.

– Dobrze się bawiłaś?

– Cu-dow-nie – odpowiedziała. – Atticusie?

– Hmm?

- Myślisz, że Henry jest dla mnie za stary?
- Co?
- Nic. Dobranoc.

Podczas sprawdzania listy obecności siedziała przytłoczona ciężarem nagle rozbudzonych uczuć do Hanka i ocknęła się dopiero wtedy, gdy wychowawczyni obwieściła, że wszystkie roczniki mają stawić się na specjalnym apelu, kiedy tylko zabrzmi dzwonek na pierwszą przerwę.

Weszła do sali, myśląc w zasadzie tylko o tym, że zaraz znowu zobaczy Henry'ego. Nieszczególnie obchodziło ją, co miała do powiedzenia panna Muffett. Pewnie znowu chciała namawiać do kupowania obligacji wojennych.

Pryncypałem szkoły średniej hrabstwa Maycomb był pan Charles Tuffett[33], który – zapewne chcąc zrekompensować sobie brak nazwiska budzącego większy szacunek – lubił przybierać minę niezwykle upodabniającą go do Indianina z pięciocentówki. Osobowość pana Tuffetta była jednak znacznie mniej imponująca niż jego profil. Był człowiekiem rozczarowanym, sfrustrowanym profesorem pedagogiki, nieprzejawiającym nawet cienia sympatii do młodzieży. Pochodził ze wzgórz stanu Mississippi, co stawiało go wśród mieszkańców Maycomb na straconej pozycji – trzeźwo myślący górale nie mogli wszak zrozumieć marzycieli z nadmorskich równin, a postawa pana Tuffetta potwierdzała regułę. Gdy przybył w te strony, niezwłocznie zabrał się do uświadamiania rodzicom, że ich pociechy to najgorzej wychowana banda, jaką zdarzyło mu się spotkać, że nauczać ich należy co najwyżej prostych czynności rolniczych, że trenowanie z nimi futbolu czy koszykówki to strata czasu oraz że on, nowy dyrektor, nie widzi powodu, by organizować kluby czy kółka zainteresowań, bo przecież szkoła, podobnie jak życie, jest przede wszystkim przedsięwzięciem biznesowym.

Podopieczni, od najmłodszych po najstarszych, rewanzowali się pryncypałowi tak, jak na to zasługiwał: tolerowali go zawsze, ignorowali zazwyczaj.

Jean Louise zasiadła ze swoją klasą w środkowej części audytorium. Najstarszy rocznik umieszczono po drugiej stronie przejścia przecinającego salę, łatwiej więc było dziewczynie odwrócić głowę i spojrzeć na Henry'ego. Jem, siedzący obok niego, jak to zwykle rankiem

bywało, mrużył oczy, rozbity i milczący. Gdy pan Tuffett stanął naprzeciwko zebranych, by odczytać wstępne ogłoszenia, Jean Louise myślała o nim z wdzięcznością, zadowolona, że właśnie przepada jej matematyka. Odwróciła się zaciekawiona, dopiero gdy przeszedł do rzeczy.

W swej karierze, mówił, zdarzyło mu się spotkać przeróżnych uczniów – niektórzy na przykład przynosili do szkoły pistolety – ale nigdy, przenigdy nie był świadkiem przejawu tak ohydnej deprawacji, jak ten, który zauważył rano, w drodze do szkoły.

Jean Louise spojrzała na twarze koleżanek.

– Co go ugryzło? – spytała szeptem.

– Bóg raczy wiedzieć – odpowiedziała sąsiadka z lewej.

Czy w ogóle mieli świadomość, jak oburzające jest to, co zrobili? Powinni wszak wiedzieć, że są obywatelami kraju toczącego wojnę, że tylu chłopców – czyichś braci i synów! – walczy i umiera za nich, a tymczasem ktoś dopuścił się w szkole plugawego czynu. Kimkolwiek był sprawca, nie zasługiwał nawet na pogardę.

Jean Louise znowu spojrzała na twarze coraz bardziej zdumionych koleżanek i kolegów. Zwykle przy takich okazjach od razu znajdowała winowajcę, lecz tym razem wszyscy spoglądali na dyrektora jednakowo zbaraniali.

Zanim pan Tuffett pozwolił im rozejść się do klas, oznajmił jeszcze, że wie, kto jest winowajcą i że ów osobnik, jeśli chce liczyć na łagodne traktowanie, powinien stawić się w jego gabinecie nie później niż o drugiej, z zeznaniem złożonym na piśmie.

Zgromadzeni z trudem powstrzymali się od okazania niesmaku, gdy spróbował nabrać ich na tę bodaj najstarszą sztuczkę z dyrektorskiego repertuaru podstępów, a potem ruszyli za swym pryncypałem w stronę głównego wejścia do szkoły.

– On uwielbia zeznania na piśmie – oznajmiła swym towarzyszkom Jean Louise. – Uważa, że dzięki temu stają się legalne.

– Zgadza się – przytaknęła jedna. – I nie wierzy w nic, co nie zostało zapisane.

– Za to kiedy już ma coś na piśmie, wierzy w każde słowo – dorzuciła inna.

– Może ktoś namalował swastyki na chodniku? – zasugerowała trzecia.

– To już było – odpowiedziała Jean Louise.

Zatrzymali się, wyszedłszy z za węgła budynku. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku: dziedziniec był czysty, drzwi wisiały na swoim miejscu, nikt też nie wyciął krzaków.

Pan Tuffett zaczekał, aż wszyscy się zbiorą, po czym dramatycznym gestem uniósł rękę ku niebu.

– Spójrzcie! – zawołał. – Przyjrzyjcie się dobrze!

Pan Tuffett był patriotą. Przewodniczył każdej akcji sprzedaży obligacji wojennych, wygłaszał długie i dość żenujące przemowy na temat wysiłku wojennego narodu, a największą dumę odczuwał z tego powodu, że udało mu się doprowadzić do ustawienia na szkolnym dziedzińcu olbrzymiej tablicy, na której umieszczano nazwiska absolwentów SŠHM służących w siłach zbrojnych USA. Uczniowie mieli o tym przedsięwzięciu nieco mniej entuzjastyczne zdanie: dyrektor zebrał od każdego po dwadzieścia pięć centów na zakup tablicy, a całą zasługę przypisywał sobie.

Jean Louise zadarła głowę, żeby spojrzeć we wskazanym przezeń kierunku. Odczytała na tablicy wielki napis: W SŁUŻBIE OJCZYZN. Ostatniej litery brakowało, albowiem zasłonił ją falujący lekko w podmuchach porannego wietrzyku, dobrze jej znany, sztuczny biust.

– Zapewniam – rzekł pan Tuffett – że będzie dla was lepiej, jeśli podpisane zeznanie znajdzie się na moim biurku jeszcze dziś przed czternastą. Ja tu byłem ostatniej nocy – przypomniał dobitnie. – Teraz możecie wracać do klas.

To akurat brzmiało niegłupio. Rzeczywiście miał zwyczaj zakradać się na szkolne potańcówki, by łapać nieostrożnie całujących się po kątach. Zaglądał nawet do parkujących wokół szkoły samochodów i przetrząsał okoliczne zarośla. Może ich widział? Co też strzeliło Hankowi do głowy, że wyrzucił te wkładki?

– Blefuje – orzekł Jem podczas przerwy. – Choć z drugiej strony... Może nie.

Siedzieli w stołówce. Jean Louise próbowała zachowywać się w miarę normalnie, ale wyczuwała doskonale, że szkoła tylko cudem wytrzymuje tę burzę emocji: rozbawienia, strachu i zaciekawienia.

– Mówię do was po raz ostatni, pozwólcie mi powiedzieć dyrektorowi, jak było – odezwała się po chwili milczenia.

– Nie bądź oślicą, Jean Louise. Przecież wiesz, co on tak naprawdę myśli. Zresztą to ja jestem winowajcą – odparł Henry.

- Ale wkładki, na miłość boską, są moje!
- Ja wiem, co czuje Hank, Skaucie – wtrącił Jem. – Nie może ci pozwolić na taki krok.
- A ja jakoś nie rozumiem, dlaczego...
- Nie wiem, który raz powtarzam, nie mogę i już. Naprawdę tego nie widzisz?
- Nie.
- Jean Louise, to ja zaprosiłem cię wczoraj na tańce jako moją dziewczynę...
- Ja chyba do śmierci nie zrozumieję mężczyzn – oznajmiła, czując, że już nie kocha Henry'ego. – Nie musisz mnie chronić, Hank. Jest rano i już nie jestem twoją dziewczyną. Dobrze wiesz, że nie możesz wziąć winy na siebie.
- To pewne, Hank – przytaknął Jem. – Nie wydaliby ci dyplomu.
- Dyplom znaczył dla Henry'ego znacznie więcej niż dla większości jego kolegów. Dla niektórych nawet wydalenie ze szkoły nie byłoby problemem, najwyżej przenieśliby się do innej, z internatem.
- Sprawa jest dużego kalibru, dopiekliscie dyrektorowi – dorzucił Jem.
- Łatwo mi wyobrazić sobie, że z przyjemnością wywaliliby cię dwa tygodnie przed końcem roku.
- Dlatego powinnam się przyznać – odpowiedziała natychmiast Jean Louise. – Byłabym zachwycona, gdyby mnie wyrzucił.
- Naprawdę tak było. Szkoła nudziła ją niemiłosiernie.
- Nie o to chodzi, Skaucie. Po prostu nie wolno tego zrobić. Mógłbym ci to wyjaśnić... Nie, nie mógłbym – zmitygował się prędko, gdy tylko zrozumiał, że się zagalopował. – Niczego nie będę wyjaśniał.
- Dobra – rzekł Jem. – Sytuacja wygląda tak. Hank, moim zdaniem on blefuje, ale istnieje spore ryzyko, że jednak nie. Być może was usłyszał, w końcu staliście praktycznie pod oknami jego gabinetu...
- Ale światło miał zgaszone – wtrąciła Jean Louise.
- ...bo uwielbia siedzieć w ciemności. Jeżeli Skaut się przyzna, będzie ciężko, ale jeśli ty to zrobisz, jak amen w pacierzu wyrzuci cię ze szkoły, a przecież musisz dostać dyplom, bracie.
- Jem – powiedziała Jean Louise – doprawdy uroczo filozofujesz, ale tym sposobem do niczego nie dojdziemy...
- Moim zdaniem, Hank, twój status jest następujący – rzekł Jem, najspokojniej w świecie ignorując siostrę. – Będziesz przegrany, jeśli się

przyznasz, i będziesz przegrany, jeśli tego nie zrobisz.

– Ja...

– Och, zamknij się już, Skaucie! – zirytował się Henry. – Nie rozumiesz, że nigdy już nie będę mógł chodzić z podniesioną głową, jeżeli pozwolę, byś się przyznała?

– Rany, jacy bohaterowie!

W tym momencie Henry zerwał się na równe nogi.

– Zaraz! – zawołał. – Jem, daj mi kluczyki od samochodu. Postaraj się, aby dyrektor nie zauważył, że nie ma mnie w sali cichej nauki. Wrócę na ekonomię.

– Panna Muffett usłyszy, gdy będziesz odjeżdżał, Hank – ostrzegł go Jem.

– Nie usłyszy. Wypchnę wóz na drogę... Zresztą on i tak już siedzi w sali.

Łatwo było urwać się z sali, której strzegł pan Tuffett. Uczniowie w zasadzie nie interesowali go jako ludzkie istoty. Z nazwiska znał jedynie najbardziej bezczelnych. Miejscem cichej nauki była w istocie czytelnia. Każdy miał swoje miejsce, a jeśli ktoś zapragnął zniknąć, po jego odejściu szeregi po prostu się zwierzały, a nadliczbowe krzesło wystawiano na korytarz (i wstawiano z powrotem, gdy kończyły się zajęcia).

Jean Louise w ogóle nie mogła się skupić na lekcji angielskiego. Pięćdziesiąt minut później Henry zatrzymał ją w drodze na wychowanie obywatelskie.

– Posłuchaj – zaczął bez wstępu. – Zrobisz dokładnie to, co ci każe: przyznasz się. Pisz – dodał, wręczając jej ołówek.

Otworzyła zeszyt.

– „Drogi panie Tuffett. Wyglądają na moje”. I podpisz się imieniem i nazwiskiem. Będzie lepiej, jeśli napiszesz jeszcze raz, atramentem, żeby uwierzył. Tuż przed południem pójdziesz do niego i wręczysz mu tę notę. Jasne?

Skinęła głową.

– Tuż przed południem.

Idąc na lekcję wychowania obywatelskiego, wiedziała już, że sprawa się wydała. Uczniowie stali w korytarzu grupkami, mamrocząc coś i raz po raz wybuchając śmiechem. W miarę spokojnie zniosła uśmiechy oraz przyjacielskie mrugnięcia – niemal podnosiły ją na duchu. Tylko dorośli

zawsze przewidują najgorsze, pomyślała, przekonana, że jej rówieśnicy uwierzyli we wszystko, co opowiedzieli im Jem z Hankiem. Ale zaraz, właściwie dlaczego opowiedzieli? Narazili się na śmieszność, ale cóż ich to obchodziło? Przecież właśnie kończyli szkołę, tymczasem Skaut musiała tu wytrwać jeszcze trzy długie lata. Albo nie... Czuła, że panna Muffett ją wyrzuci, a ojciec wyśle gdzieś w nieznane. Wyobrażała sobie, że Atticus podskoczy aż pod sufit, gdy dyrektor zrelacjonuje mu tę krwawą historię. Cóż, przynajmniej wyciągnę Hankę z opałów, pomyślała. Przez chwilę byli obaj z Jemem bardzo rycerscy, ale w końcu i tak wyszło na moje. To jedyne wyjście.

Spisała swoje zeznanie atramentem, lecz im bliżej było południa, tym szybciej ubywało dziewczynie pewności siebie. Zazwyczaj nic nie cieszyło jej bardziej niż porządna jazda z panną Muffett, osobnikiem tak tępym, że dało się powiedzieć mu praktycznie wszystko, pod warunkiem że słowa ubrano w maskę powagi, a jeszcze lepiej smutku, lecz tego dnia jakoś nie miała apetytu na dialektykę. Była niespokojna, a fakt ten sprawiał, że gardziła sobą.

Na dość miękkich nogach powędrowała korytarzem do gabinetu pryncypała. Podczas apelu mówił o obscenicznosci, o deprawacji, ale co gotów powiedzieć całemu miastu? Maycomb żywiło się plotkami. Należało obstawiać w ciemno, że do uszu Atticusa dotrą niestworzone historie...

Pan Tuffett siedział za biurkiem, z zimną pasją wbijając spojrzenie w jego blat.

– Czego chcesz? – spytał, nie podnosząc głowy.

– Chciałam panu oddać to, panie dyrektorze – odpowiedziała, instynktownie cofając się o krok.

Pan Tuffett nawet nie przeczytał jej zeznania, tylko zmiął je w dłoni i cisnął prosto do kosza na śmieci.

Jean Louise miała dziwne uczucie, jakby piórko zadało jej nokautujący cios.

– Ale... Panie Tuffett – powiedziała nieśmiało – przyszłam, bo pan kazał się przyznać. Kupiłam je u Ginsberga – dorzuciła mały bonus. – I oczywiście nie chciałam sprawić...

Pan Tuffett wreszcie uniósł głowę. Jego twarz właśnie zaczynała czerwienić z gniewu.

– Nie stój tu i nie wmawiaj mi, czego nie chciałaś! Jeszcze nigdy,

w całej mojej karierze, nie spotkałem takiej...

Teraz dostanę za swoje, pomyślała.

Lecz im dłużej słuchała, tym bardziej nabierała przekonania, że uwagi pana Tuffetta mają charakter ogólny, że kieruje je raczej pod adresem wszystkich uczniów niż do niej – były tylko echem jego porannych wywodów. Gdy podsumowywał swoje przemyślenia na temat niezdrowych postaw młodzieży hrabstwa Maycomb, wpadła mu w słowo:

– Panie Tuffett, chciałabym powiedzieć, że nie wolno winić wszystkich za to, co zrobiłam, naprawdę nie ma powodu, by osądzał pan pozostałych.

Dyrektor pochwyił krawędzie swego biurka i nachyliwszy się, wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Właśnie za ten dowód zuchwałości, młoda damo, zostaniesz w szkole o godzinę dłużej!

Wzięła głęboki oddech.

– Panie Tuffett – powiedziała – myślę, że zaszło nieporozumienie. Ja naprawdę nie...

– Nie rozumiesz, co? Więc ci pokażę!

To rzekłszy, pryncypał sięgnął po stertę kartek wyrwanych z zeszytów i potrząsnął nią gniewnie.

– Jesteś sto piąta, moja panno!

Jean Louise przyjrzała się bliżej owym kartkom. Wyglądały podobnie, bo na każdej widniał napis: „Drogi panie Tuffett. Wyglądają na moje”. Poniżej zaś podpisały się wszystkie dziewczęta z klas powyżej dziewiątej.

Przez chwilę Skaut namyślała się głęboko, ale gdy dotarło do niej, że żadne słowa nie pomogą panu Tuffettowi, chyłkiem wymknęła się z gabinetu.

– Został pokonany – obwieścił Jem, gdy razem wracali do domu na obiad. Jean Louise siedziała w samochodzie między swym bratem a Henrym, którzy z uwagą wysłuchali jej relacji o stanie umysłu pana Tuffetta.

– Hank, jesteś skończonym geniuszem – powiedziała. – Jak wpadłeś na ten pomysł?

Henry zaciągnął się głęboko tytoniowym dymem i pstryknięciem pozbył się niedopałka.

– Skonsultowałem się z moim prawnikiem – odparł dumnie.

Jean Louise z wrażenia zasłoniła usta dłońmi.

– To przecież oczywiste – dodał. – Wiecie, że dba o mnie, odkąd sięgałem mu do kolan. Dlatego w te pędy skoczyłem do miasta, żeby wyłuszczyć całą sprawę i poprosić o radę.

– Atticus naprawdę podsunął ci taki plan? – spytała z niedowierzaniem Jean Louise.

– Wcale nie. Pomysł był mój. Pan Finch przez chwilę się wahał, a potem powiedział, że to kwestia właściwego zbalansowania racji, czy jakoś tak. I że znalazłem się w ciekawym, acz niebezpiecznym położeniu. Potem obrócił się z fotelem, spojrzął w okno i dodał, że zawsze próbuje postawić się w sytuacji swego klienta... – Henry umilkł.

– Mów dalej.

– Cóż, powiedział, że sprawa jest wyjątkowo delikatna, ale z uwagi na brak dowodów na złe zamiary sprawcy nie miałby nic przeciwko temu, by rzucić odrobinę piasku w oczy ławników – cokolwiek miało to oznaczać – i że... ech, sam nie wiem.

– Wiesz, Hank.

– Mówił o bezpieczeństwie kryjącym się w liczbach i że na moim miejscu – choć nie popiera krzywoprzysięstwa – zapewne upierałby się, że wszystkie sztuczne biusty wyglądają podobnie. I że właściwie nic więcej nie może dla mnie zrobić, a rachunek za poradę wystawi mi na koniec miesiąca. Zanim wyszedłem z kancelarii, już miałem w głowie gotowy plan!

– Hank – odezwała się Jean Louise – a czy nie wspomniał może, co zamierza mi powiedzieć?

– Tobie? – spytał Henry, spoglądając na nią. – Nie piśnie ani jednego słówka. Nie może. Nie wiesz, że adwokata obowiązuje tajemnica zawodowa?

Łup. Jednym ruchem ręki rozpląszczyła kartonowe pudełko na stole, roztrzaskując zarazem obrazy z przeszłości. Słońce stało na drugiej, tak jak poprzedniego dnia i, bez wątpienia, nazajutrz o tej porze.

Piekło to wieczne oddalenie. Co takiego uczyniła, że miała być skazana przez resztę życia na daremną tęsknotę za nimi, na sekretne wyprawy do zakamarków pamięci, na brak realnego kontaktu? Jestem z ich krwi i kości, grzebałam w tej ziemi, to mój dom. A jednocześnie nie jestem z ich krwi, a ziemi wszystko jedno, kto w niej grzebie – jestem nieznaną na cudzym przyjęciu.

[32] Nawiązanie do postaci z *Alicji w krainie czarów* L. Carrolla.

[33] Z ang. *tuffet*, czyli kępka, niski stołeczek; uczniowie nazwali pana Tuffetta panną Muffett.

16

– Hank, gdzie jest Atticus?

Henry oderwał wzrok od papierów leżących na biurku.

– Cześć, skarbie. Poszedł na pocztę. Już czas na moją popołudniową kawę, pójdziemy razem?

Z tego samego powodu, dla którego poczuła nagle, że musi opuścić lodziarnię pana Cunninghama, wyszła teraz z Henrym z kancelarii. Chciała przyjrzeć się swoim bliskim ukradkiem, upewnić się, czy nie przeszli też jakiejś niepokojącej przemiany zewnętrznej. Nie chciała jednak z nimi rozmawiać, dotykać ich, aby nie sprowokować kolejnego kroku, którego nie umiałyby zaakceptować.

Idąc z Henrym w stronę apteki, zastanawiała się, czy Maycomb planuje już dla nich ślub jesienią albo zimą. Dziwna jestem, pomyślała. Nie mogę pójść z facetem do łóżka, póki nie osiągnę z nim stanu pełnego zestrojenia, a z Henrym nie mogę w tej chwili nawet rozmawiać. Nie umiem się odezwać do mojego najdawniejszego przyjaciela.

Gdy tylko usiedli naprzeciwko siebie, Jean Louise zajęła się studiowaniem urody stojaka na serwetki, cukierniczki, solniczki i pieprzniczki.

– Milcząca dziś jesteś – zauważył Henry. – Jak tam „kawka”?

– Potworność.

– Hester była?

– Była. Jest chyba w twoim i Jema wieku, prawda?

– Tak, chodziliśmy razem do jednej klasy. Bill mówił mi rano, że nakładała barwy wojenne, szykując się na to spotkanie.

– Mam wrażenie, Hank, że Bill Sinclair to ponury typ.
– Dlaczego?
– Nawkladał Hester do głowy tyle głupot...
– Jakich głupot?
– Och, o katolikach, o komunistach i Bóg wie, o kim jeszcze. Miałam wrażenie, że wszystko wymieszało się w jej ciasnym mózdzku.

Henry parsknął śmiechem.

– Skarbie, dla niej Bill jest wszystkim, od wschodu do zachodu słońca. Cokolwiek powie, to jej Ewangelia. Kocha go po prostu.

– I na tym ma polegać miłość?
– Ma z tym wiele wspólnego.
– Mówisz o utracie tożsamości, prawda?
– W pewien sposób – przyznał Henry.
– W takim razie wątpię, bym kiedykolwiek wyszła za męża. Jeszcze nigdy nie spotkałam mężczyzny, który...
– Ale za mnie miałaś wyjść, pamiętasz?
– Hank, najlepiej będzie, jeśli powiem ci o tym od razu... Nie wyjdę za ciebie, koniec i kropka.

Idąc na spotkanie, nie zamierzała składać takich deklaracji, ale teraz nie umiała się powstrzymać.

– Już to słyszałem.
– A ja ci powiadam, że jeśli chciałbyś kiedyś mieć żonę – Jean Louise nie mogła uwierzyć, że to jej słowa – to lepiej już teraz zacznij się za nią rozglądać. Nigdy nie byłam w tobie zakochana, ale ty zawsze wiedziałeś, że cię kocham. Sądziłam, że uda nam się małżeństwo, jeśli pokocham cię na tej podstawie, ale...

– Ale co?
– Nie kocham cię już nawet w ten sposób. Wiem, że czujesz się zraniony, jednak takie są fakty.

Tak, to naprawdę były jej słowa, wypowiedziane z typowym dla Jean Louise opanowaniem. Łamała mu serce w aptecznej kafejce. Cóż, on uczynił to pierwszy.

Henry najpierw zbladł, a potem poczerwieniał. Blizna na jego twarzy w jednej chwili stała się bardzo widoczna.

– Jean Louise, chyba nie mówisz poważnie?
– Jak najpoważniej, w każdym słowie.
Boli, prawda? A żebyś wiedział, że boli. Teraz już wiesz, jakie to

uczucie.

Henry wyciągnął ku niej rękę, ale cofnęła dłonie.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała.

– Najdroższa, co się stało?

Co się stało? Zaraz ci powiem, co się stało. I nie spodoba ci się to.

– W porządku, Hank. To całkiem prosta historia. Byłam wczoraj na tym waszym spotkaniu. Widziałam ciebie i Atticusa. Siedzieliście dumnie przy stole z tym... Z tym łajdakiem, przerażającym typem. Żołądek mi się przewracał, gdy na was patrzyłam. Nic wielkiego, to przecież tylko człowiek, za którego miałam wyjść, to tylko mój ojciec, to tylko scena, po której się porzygałam i nadal chce mi się rzygać! W imię Boże, jak mogliście? Jak mogliście?!

– Jest wiele spraw, w których nie chcemy brać udziału, a jednak to robimy, Jean Louise.

– Cóż to za odpowiedź?! – wybuchnęła. – Sądziłam, że to wujek Jack w końcu oszalał, ale teraz już nie jestem pewna!

– Kochanie – zaczął Henry.

Odsunął cukiernicę na środek stolika, a potem odstawił ją na miejsce.

– Spójrz na to w ten sposób: Rada Obywateli Maycomb jest tylko i wyłącznie wyrazem protestu przeciwko poczynaniom Sądu Najwyższego, jakby ostrzeżeniem dla Murzynów, by nie działali zbyt pośpiesznie, jest...

– ...idealnym audytorium dla hołoty, która ma ochotę zabłysnąć, „dokładając czarnuchom”. Wytłumacz mi, jak możesz brać udział w czymś takim. Jak możesz?

Henry znowu przesunął cukierniczkę w tę i z powrotem. Zirytowana Jean Louise wyrwała mu ją i z hukiem postawiła na samym rogu blatu.

– Jak już mówiłem, jest wiele spraw...

– ...w których nie chcemy brać udziału...

– ...pozwolisz mi skończyć? Nie chcemy brać udziału. Proszę, pozwól mi mówić. Próbuję znaleźć jakiś przykład, który pomoże ci zrozumieć, co mam na myśli... Słyszałaś może o Klanie[34]?

– Jasne, że słyszałam.

– Posłuchaj mnie chociaż przez chwilę. Dawno temu był powszechnie szanowanym ruchem jak masoneria. Niemal każdy liczący się obywatel chciał doń należeć, a było to w czasach młodości pana Fincha. Wiedziałaś, że wstąpił do Klanu?

– W tej chwili nie zdziwi mnie już nic, jeśli chodzi o organizacje, do których wstąpił pan Finch. To by się nawet zgadzało...

– Zamknij się wreszcie, Jean Louise! Klan nie jest i nigdy nie był mu do niczego potrzebny. Wiesz, dlaczego się zapisał? Żeby wiedzieć dokładnie, którzy mieszkańcy miasta kryją się za maskami. Którzy ludzie, jacy ludzie. Poszedł na jedno spotkanie i to mu wystarczyło. Wielkim Magiem, jak się okazało, był metodystyczny kaznodzieja...

– Towarzystwo w sam raz dla Atticusa.

– Zamknij się, Jean Louise. Chcę, żebyś zrozumiała, co nim kierowało. Klan był wtedy poważną siłą polityczną, nie było mowy o żadnym paleniu krzyży, ale twój tata źle się czuł – i nadal źle się czuje – wśród ludzi, którzy uznają za stosowne zasłaniać swoje oblicza. Musiał się dowiedzieć, z kim będzie walczyć, jeżeli pojawi się taka konieczność. Musiał poznać ich tożsamość...

– Zatem mój szanowny ojciec należy do Niewidzialnego Imperium.

– Jean Louise, to było czterdzieści lat temu...

– Zatem dziś jest już pewnie Wielkim Smokiem.

– Ja tylko próbuję ci wyjaśnić, jakie motywy kryją się za działaniami ważnych dla ciebie osób – odparł spokojnie Henry. – Czasem wydaje się, że człowiek związał się z nieciekawym towarzystwem, ale nie wolno go osądzać, dopóki nie pozna się jego prawdziwych zamiarów. Bywa, że ów człowiek gotuje się w środku, ale wie, że zachowując umiarkowanie osiągnie więcej, niż wybuchając gniewem. Może też potępiać działania swoich wrogów, ale mądrość nakazuje mu ich poznać. Jak wspominałem, jest wiele spraw...

Jean Louise nie pozwoliła mu skończyć.

– Powiadasz więc, że czasem trzeba dołączyć do tłuszczy i dopiero gdy przyjdzie właściwy moment...

– Posłuchaj, kochanie – przerwał jej Henry. – Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że mężczyźni, zwłaszcza mężczyźni, muszą czasem dostosować się do pewnych oczekiwań społeczności, w której żyją, tylko dlatego, by mogli jakoś jej służyć?

Hrabstwo Maycomb to mój dom, skarbie. Nie znam lepszego miejsca do życia. Od dziecka staram się budować tu swoją reputację, z nie najgorszym skutkiem. Maycomb mnie zna. Maycomb mi ufa, a ja ufam Maycomb. To dzięki temu miastu mam na chleb i masło, Maycomb daje mi dobre życie.

Jednak Maycomb żąda też czegoś w zamian. Wymaga od człowieka, by wiódł w miarę przyzwoity żywot, by dołączył do klubu Kiwanis, by co niedzielę chodził do kościoła, by dopasował się do tutejszego stylu życia...

Henry zapatrzył się tym razem w solniczkę, wodząc kciukiem w górę i w dół po jej karbowanych ściankach.

– Pamiętaj, kochanie – dodał po chwili – że harowałem jak pies na wszystko, co kiedykolwiek osiągnąłem. Pracowałem tam, w tym sklepie po drugiej stronie placu, i praktycznie całe dzieciństwo byłem tak wyczerpany, że nie wiem, jakim cudem nie zasypiałem na lekcjach. Latem tyrałem w domu, w sklepiku należącym do mamy, a w wolnych chwilach naprawiałem, co wymagało naprawy. Jean Louise, ja musiałem walczyć o wszystko, co ty i Jem uważaliście za oczywistość. Pewnych rzeczy, które uważasz za oczywiste, nigdy nie miałem i nie będę miał. Muszę polegać wyłącznie na sobie...

– Jak inni ludzie, Hank.

– Nieprawda. Nie tutaj.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że w przeciwieństwie do ciebie, jestem człowiekiem, któremu nie wszystko wolno.

– Cóż takiego czyni mnie uprzywilejowanym stworzeniem?

– Jesteś z Finchów.

– Jestem. Co z tego?

– Możesz paradować po mieście w ogrodniczkach i koszuli na wierzchu, a na dodatek boso, jeśli tylko będziesz miała ochotę. Maycomb mówi: „Ona jest z Finchów, widocznie to jest »jej styl«”. Maycomb uśmiecha się następnie i zajmuje własnymi sprawami, stara Skaut Finch nigdy się nie zmieni. Maycomb jest zachwycone i gotowe uwierzyć bez mrugnienia okiem, że moczyłaś się w rzece, jak cię Pan Bóg stworzył. „Nic a nic się nie zmieniła” – powiada. „To wciąż ta sama Jean Louise. Pamiętajcie, jak...?”

Wreszcie odstawił solniczkę.

– Ale niech no tylko Henry Clinton dopuści się jakiegokolwiek odstępstwa od normy, Maycomb nie mówi wtedy: „On jest z Clintonów”. Mówi: „Wyłazi z niego biała hołota”.

– Hank, to wszystko bujdy i dobrze o tym wiesz. Słowa nieuczciwe i małoduszne, ale przede wszystkim niezgodne z prawdą!

– Przeciwnie, Jean Louise – odparł łagodnie Henry. – Są prawdziwe, najprawdopodobniej nigdy się nad tym nie zastanawiałaś i...

– Hank, ty chyba masz jakiś kompleks.

– Nic podobnego. Ja po prostu znam Maycomb. Nie jestem nawet przewrażliwiony na tym punkcie, ale, na Boga, jestem świadomy prawdy. A prawda jest taka, że pewnych rzeczy nie wolno mi robić, inne z kolei są moim obowiązkiem, jeżeli...

– Jeżeli co?

– Cóż, skarbie, naprawdę chciałbym spędzić tu życie, a moje marzenia nie różnią się od marzeń innych ludzi. Chciałbym, aby to miasto mnie szanowało, chciałbym mu służyć, chciałbym wyrobić tu sobie dobrą markę jako prawnik, chciałbym dorobić się majątku, chciałbym się ożenić i mieć dzieci...

– I chyba właśnie w tej kolejności!

Jean Louise wstała i bez słowa wyszła z apteki. Henry popędził za nią, zatrzymując się tylko na progu, by krzyknąć, że zaraz wróci uregulować rachunek.

– Jean Louise, zaczekaj!

Zaczekała.

– Tak?

– Chciałbym tylko, abyś zrozumiała...

– Rozumiem doskonale! – przerwała mu. – Rozumiem, że jesteś małym, wystraszoną człowieczkiem, że mały człowieczek boi się postępować wbrew życzeniom Atticusa, boi się stanąć na własnych nogach, przeraża go sama myśl o tym, iż mógłby się znaleźć poza kręgiem tutejszych mężczyzn z krwi i kości...

Ruszyła przed siebie. Zdawało jej się, że mniej więcej w kierunku samochodu. Miała wrażenie, że zaparkowała przy poczcie.

– Jean Louise, czy możesz mi dać jeszcze minutę?

– Jasne. Daję.

– Powiedziałem ci, że pewne rzeczy uważałaś za oczywiste...

– Tak, do diabła! Było ich bardzo wiele. Na przykład wszystkie cechy twojego charakteru, za które cię kochałam. Podziwiałam cię, jakbyś był Bóg wie kim, bo harowałeś jak cholera, żeby osiągnąć, co osiągnąłeś. Żeby stać się tym, kim się stałeś. Sądziłam, że dlatego są w tobie także inne zalety, ale się pomyliłam, to oczywiste. Myślałam, że masz jaja, że...

Znowu ruszyła przed siebie, nieświadoma tego, że Maycomb ją obserwuje, a Henry drepcze obok niej żałośnie i komicznie.

– Jean Louise, proszę, czy możesz mnie wysłuchać?

– Czego chcesz, do ciężkiej cholery?

– Chcę ci zadać tylko jedno pytanie: czego ty, do diabła, ode mnie oczekujesz? No, powiedz mi. Co mam robić?

– Robić? Na początek trzymać tę swoją pozłacaną dupę z daleka od jakichś rad obywatelskich! Nie obchodzi mnie, czy naprzeciwko ciebie zasiada w niej Atticus, po prawicy król Anglii, a po lewicy sam Jehowa. Oczekuję, że będziesz mężczyzną, wszystko!

Odetchnęła gwałtownie.

– Ja... Przeżyłeś tę przeklętą wojnę, to wyjątkowy rodzaj strachu, a jednak przetrwałeś, poradziłeś sobie. Potem wróciłeś do domu, żeby bać się do końca życia: bać się Maycomb! Maycomb w Alabamie. O, bracie!

Zatrzymali się przy drzwiach kancelarii.

Henry chwycił ją za ramiona.

– Jean Louise, możesz przestać na chwilę? Proszę cię. Wysłuchaj mnie. Wiem, że nie jestem Bóg wie kim, ale zastanów się trochę. Myśl, proszę. To jest moje życie, moje miasto, nie rozumiesz tego? Do diabła, pochodzę z białej hołoty hrabstwa Maycomb, jednak z hrabstwa Maycomb. Jestem tchórzem, małym człowieczkiem, niewartym nawet kuli, ale to jest mój dom. Co więc mam, według ciebie, uczynić? Stanąc na dachu i wrzasnąć: nazywam się Henry Clinton, a wy wszyscy jesteście beznadziejni!? Ja muszę tu jakoś żyć, Jean Louise. Nie pojmujesz?

– Pojmuję, że jesteś cholernym hipokrytą.

– Staram się tylko uświadomić ci, moja droga, że stać cię na pewne luksusy, na które ja nie mogę sobie pozwolić. Wrzeszczeć wniebogłosy też byś mogła, gdybyś chciała. Ja – nie. W jaki sposób miałbym przydać się miastu, gdybym nastawił je przeciw sobie? Gdybym tylko spróbował... Słuchaj, przyznasz chyba, że udało mi się zdobyć niezłe wykształcenie i że jestem w Maycomb potrzebny – przyznasz? Pomocnik młynarza nie wykona mojej roboty. I co, mam wyrzucić wszystko do śmieci, wrócić do prowincjonalnego sklepiku i sprzedawać ludziom mąkę, podczas gdy mogę im służyć moim talentem i wiedzą prawniczą? Co jest więcej warte, Jean Louise?

– Henry, jak ty możesz ze sobą wytrzymać?

– To dość łatwe. Po prostu nie zawsze głosuję zgodnie z moimi przekonaniem, wystarczy.

– Hank, stoimy na przeciwległych biegunach. Może i nie wiem za wiele, ale jedno na pewno: nie mogę dzielić z tobą życia. Nie mogę dzielić życia z hipokrytą.

Miły, lekko drwiący głos zza jej pleców odpowiedział:

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego. W końcu hipokryci mają takie samo prawo do życia na tym świecie, jak wszyscy inni ludzie.

Obróciła się gwałtownie i zobaczyła ojca. Stał w kapeluszu zsuniętym na tył głowy i spoglądał na nią spod lekko uniesionych brwi. Uśmiechał się do niej.

[34] Ku Klux Klan – rasistowska, antysemitka i antykatolicka organizacja, utworzona w USA krótko po zakończeniu wojny secesyjnej, nazywana m.in. Niewidzialnym Imperium.

17

– Hank – rzekł Atticus – może wybrałbyś się na spacer po placu? Popatrzysz sobie na róże. Niewykluczone, że dostaniesz jedną od Estelle, o ile poprosisz ją w odpowiedni sposób. Wygląda na to, że dziś byłem jedynym, któremu się udało.

Atticus położył dłoń na klapie marynarki, wskazując na wpięty w nią świeży, szkarłatny pąk. Jean Louise zerknęła w stronę placu i zobaczyła w popołudniowym słońcu ciemną sylwetkę Estelle zajętej pielaniem klombów.

Henry wyciągnął rękę w stronę Jean Louise i zaraz ją opuścił. Odszedł bez słowa. Odprowadziła go wzrokiem, gdy przechodził na drugą stronę ulicy.

– Wiedziałaś o nim to wszystko?

– Oczywiście.

Atticus traktował Henry'ego jak syna, przelał na niego miłość, która należała się Jemowi. Jean Louise uzmysłowiła sobie nagle, że stoją dokładnie w tym samym miejscu, w którym umarł jej brat. Atticus zauważył, że przeszył ją dreszcz.

– Nadal o tym myślisz, prawda? – spytał.

– Tak.

– Nie czas już się z tym pogodzić? Pora pogrzebać zmarłych, Jean Louise.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Chodźmy stąd.

– Zapraszam do biura.

Gabinet ojca zawsze stanowił jej schronienie. Było to przyjazne

miejsce, w którym problemy – choć nie znikwały – stawały się znośne. Zastanawiała się, czy ma przed sobą te same dokumenty, teczki i przybory, które leżały na jego biurku w czasach, gdy przybiegała do niego zdyszana, by prosić o pięć centów na lodowego rożka. Obracał się wtedy z fotelem, prostował nogi i sięgał głęboko do kieszeni, a kiedy już wydobył garść drobniaków, wybierał dla niej najładniejszą piątkę. Nigdy nie zamykał drzwi przed swymi dziećmi.

Usiadł powoli i obrócił się ku niej. Dostrzegła grymas bólu na jego twarzy, ale przemilczała to.

– Zatem wiedziałeś wszystko o Hanku?

– Tak.

– Nie rozumiem mężczyzn.

– Cóż, są i tacy, którzy podkradają żonom pieniądze z zakupów, choć nie przyszłoby im do głowy okraść sklepikarza. Mężczyźni, Jean Louise, potrafią racjonować swoją uczciwość. Bywają doskonale szczerzy w jednych sprawach, w innych zaś konsekwentnie oszukują samych siebie. Nie bądź dla Hanka zbyt surowa, naprawdę nieźle sobie radzi. Jack wspominał, że coś cię bardzo wzburzyło.

– Jack ci powiedział...

– Dzwonił jakiś czas temu. Mówił między innymi, że jeśli jeszcze nie jesteś gotowa wstąpić na wojenną ścieżkę, na pewno wkrótce będziesz. Z tego, co usłyszałem, wnioskuję, że już jesteś.

Zatem wujek Jack powiedział mu o wszystkim. Właściwie zdążyła już przywyknąć do tego, że traci jednego członka rodziny po drugim. Wujek Jack był ostatni – do diabła z nimi wszystkimi! Trudno, pomyślała, trzeba będzie wygarnąć prawdę i wyjść. Nie zamierzała spierać się z ojcem, to nie miało sensu. On i tak zawsze zwyciężał. Nigdy w życiu nie wygrała dyskusji z Atticusem i nie zamierzała próbować swoich sił przy tej okazji.

– Owszem, ojciec, coś mnie bardzo wzburzyło, a mianowicie fakt, że należysz do rady obywatelskiej. Uważam to za ohydne i mówię ci to prosto w oczy.

Atticus odchylił się nieco z fotelem.

– Jean Louise – odrzekł. – Od pewnego czasu czytujesz wyłącznie nowojorskie gazety. Nie wątpię, że masz przed oczami wyłącznie dzikie groźby, zamachy bombowe i tak dalej, jednak Rada w Maycomb w niczym nie przypomina tych z północy Alabamy czy z Tennessee.

Należą do niej i kierują nią wyłącznie miejscowi. Założę się, że wczoraj widziałś niemal wszystkich mężczyzn z naszego hrabstwa, a w dodatku prawie każdego z nich znasz.

– To prawda. Znam wszystkich, od tego padalca Willoughby’ego w dół.

– I najprawdopodobniej każdy z nich stawił się na spotkaniu z innego powodu – ciągnął jej ojciec.

Jeszcze nigdy nie toczono wojny z tak wielu powodów. Kto to powiedział?

– Możliwe, ale spotkanie zorganizowano tylko w jednym celu.

– Wyjawię ci dwa powody, dla których się tam znalazłem: rząd federalny oraz NAACP. Jean Louise, jaka była twoja pierwsza reakcja na decyzję Sądu Najwyższego?

Pytanie wyglądało na całkiem bezpieczne. Uznała, że może odpowiedzieć.

– Byłam wściekła.

Naprawdę. Wiedziała, na co się zanosi, jaki będzie werdykt. Sądziła, że jest nań przygotowana, ale gdy kupiła gazetę na rogu ulicy i przeczytała artykuł, weszła do najbliższego baru, żeby napić się bourbona bez wody.

– Dlaczego?

– Jak by nie było, znowu próbowali nam mówić, co mamy robić...

Ojciec uśmiechnął się szeroko.

– To była ledwie odruchowa reakcja – ocenił. – Co było potem, gdy już ruszyłaś co nieco głową?

– Właściwie niewiele o tym myślałam, ale czułam strach. Wydawało mi się, że wszystko im się pomieszało, że postawili wóz przed koniem.

– To znaczy?

Prowokował ją. Niech i tak będzie, pomyślała. Nadal jesteśmy na bezpiecznym gruncie.

– Pomyślałam, że próbując działać w duchu jednej poprawki do Konstytucji, całkiem skasowali inną, dziesiątą[35]. Wiadomo, to raczej drobna poprawka, składa się zaledwie z jednego zdania, ale jakimś cudem miałam wrażenie, że najważniejsza ze wszystkich.

– Sama na to wpadłaś?

– A dlaczego nie? Nie wiem za wiele o Konstytucji, Atticusie, ale...

– Jak dotąd radzisz sobie całkiem nieźle. Mów dalej.

Mówić dalej? Niby o czym? Mam powiedzieć, że nie mogę mu spojrzeć w oczy? Cóż, skoro koniecznie chciał znać jej zdanie o Konstytucji...

– Uznałam, że chcąc zaspokoić realne potrzeby niewielkiej części populacji, Sąd Najwyższy podjął fatalną decyzję, która mogła wpłynąć na losy zdecydowanej większości. Wpłynąć niekorzystnie, ma się rozumieć. Ja naprawdę się na tym nie znam, Atticusie, ale wiem, że tylko Konstytucja broni nas przed wymysłami różnych cwaniaków, a Sąd Najwyższy tak po prostu skasował całą poprawkę – takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Nasz system wydaje się zrównoważony, oparty na kontroli społecznej, ale gdy przychodzi co do czego, okazuje się, że nikt nie pilnuje Sądu, kto więc ma mu dać po łapach? Rety, gadam jak studentka Actors Studio.

– Co takiego?

– Nic. Próbuję tylko powiedzieć, że starając się dokonać czegoś dobrego, zostawiliśmy otwartą furtkę dla rozwiązań, które mogą się okazać bardzo niebezpieczne.

Przeczesała palcami włosy, spoglądając na rzędy książek oprawionych na czarno i brązowo, na roczniki pism prawniczych stojące na półkach na przeciwległej ścianie. Popatrzyła też na wyblakłe zdjęcie „Dziewięciu Starców”[\[36\]](#) wiszące po lewej. Czy Roberts już umarł? Nie mogła sobie przypomnieć.

– Na czym to stanęłaś? – spytał cierpliwie Atticus.

– Ach, tak. Mówiłam, że nie znam się na rządzeniu czy ekonomii i tak dalej, a nawet nie chcę się znać, ale wiem, że dla mnie, szarego obywatela, rząd federalny to głównie ponure korytarze i niekończące się oczekiwanie. Im więcej mamy, tym dłużej czekamy i tym bardziej nas to męczy. Te „leśne dziadki” ze zdjęcia dobrze o tym wiedziały... A jednak dziś, zamiast zająć się tym jak należy, w Kongresie i stanowych legislaturach, przypadkiem sprawiliśmy, że przybyło korytarzy i czekania...

Jej ojciec wyprostował się w fotelu i wybuchnął śmiechem.

– Mówiłam ci, że się nie znam.

– Skarbie, jesteś tak dobrą rzeczniką praw stanów, że ja sam wyglądam przy tobie na jednego z liberałów Roosevelta.

– Rzeczniką praw stanów?

– Teraz, gdy już dostroiłem ucho do kobiecego rozumowania, myślę, że co do zasad wcale się nie różnimy – rzekł Atticus.

Kusiło ją, by opowiedzieć mu bez ogródek o tym, co widziała i słyszała, wycofać się do Nowego Jorku i zamienić ojca na wspomnienie.

Wspomnienie o całej trójce, mówiąc ściślej: o Atticusie, Jemie i o niej, o czasach, w których życie było nieskomplikowane, a ludzie nie łgali. Nie mogła jednak pozwolić, aby pogрузzył się jeszcze bardziej, dodając hipokryzję do listy swych grzechów.

– Atticusie, skoro wierzysz w to wszystko, dlaczego nie czynisz tego, co słuszne? Przecież bez względu na to, jak beznadziejnie zachował się Sąd, trzeba było jakoś zacząć...

– Innymi słowy: mielibyśmy przyjąć nowe zasady tylko dlatego, że wymyślił je Sąd? Nie, moja panno. Widzę to zgoła inaczej. Jeśli sądzisz, że jako obywatel będę się temu biernie przyglądał, mylisz się. Jak słusznie zauważyłaś, Jean Louise, jest w tym kraju tylko jedna siła potężniejsza od Sądu Najwyższego, a jest nią Konstytucja...

– Atticusie rozmawiamy o dwóch różnych sprawach.

– A ty starasz się czegoś unikać. Ale czego?

Mrocznej wieży. *Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął*. Lekcje literatury w ogólniaku. Spotkania u wujka Jacka. W końcu sobie przypomniałam.

– Czego? Próbuję ci powiedzieć, że nie aprobuję decyzji Sądu i budzi we mnie śmiertelne przerażenie sposób, w jaki ją podjęto, ale jednocześnie wiem, że była ona konieczna. Ktoś podetknął sprawę sędziom pod nos i nie mieli wyboru. Atticusie, nadszedł czas postąpić sprawiedliwie...

– Postąpić sprawiedliwie?

– Tak jest. Dać im szansę.

– Murzynom? Uważasz, że dotąd nie mieli szans?

– Jasne, że nie mieli.

– A któż broni któremukolwiek z nich podróżować po kraju i szukać szczęścia tam, gdzie tylko zechce?

– To tendencyjne pytanie, mój panie, dobrze o tym wiesz! Mam już tak serdecznie dosyć podwójnej moralności, że mogłabym...

Zranił ją i dała mu odczuć, że poczuła cios. Nie umiała się powstrzymać.

Ojciec sięgnął po ołówek i zastukał nim o blat biurka.

– Jean Louise – rzekł – czy przyszło ci kiedyś do głowy, że nie można w ramach jednej cywilizacji umieścić ludzi opóźnionych wśród ludzi w pełni rozwiniętych i oczekiwać, że powstanie z tego społeczna Arkadia?

– Rzucasz mi podkręcone piłki, Atticusie. Zostawmy na chwilę

socjologiczne mądrości. Jasne, masz rację, ale powiem ci, co kiedyś słyszałam. Otóż jest to pewne hasło, które osobliwie utkwiło mi w pamięci: „Równe prawa dla wszystkich, szczególne przywileje dla nikogo”. Zawsze uważałam, że nie ma w nim żadnych podtekstów. Nie wyobrażałam sobie, że można brać jedną kartę z wierzchu talii dla białego człowieka i jedną spod spodu dla Murzyna, bo...

– Spójrzmy na to z innej strony – przerwał jej ojciec. – Mam nadzieję, że rozumiesz, iż populacja Murzynów w naszym kraju jest w pewien sposób opóźniona. Przyznasz mi rację? Zdajesz sobie sprawę ze wszystkich implikacji słowa „opóźniona”, prawda?

– Tak, ojczu.

– Rozumiesz, że ogromna większość czarnych z Południa nie jest w stanie w stu procentach wypełniać zobowiązań wynikających z obywatelstwa? Rozumiesz dlaczego?

Tak.

– A mimo to chcesz im ofiarować komplet praw obywatelskich?

– Do diabła, dlaczego wszystko przekręcasz?

– Nie przeklinaj, nie masz powodu. Przemyśl to sobie. Hrabstwo Abbott, nasz sąsiad zza rzeki, ma poważny problem. Jego populację tworzą niemal w trzech czwartych Murzyni. Stosunek głosów to w tej chwili mniej więcej jeden do jednego, ale tylko dlatego, że działa tam wielka szkoła. Jak sądzisz, co będzie za kilka lat, gdy młodzi podrosną i czarni będą stanowili zdecydowaną większość? Biali zostaną wyparci ze wszystkich instytucji hrabstwa...

– Skąd ta pewność?

– Skarbie – obruszył się Atticus. – Rusz głową. Gdy głosują, to całymi blokami.

– Wiesz co? Przypominasz mi tego starego wydawcę gazety, który wysłał swojego etatowego fotografa, by uwieczniał postępy w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej. „Ty rysuj obrazki, a ja się zajmę wojną”. Jesteś równie cyniczny.

– Jean Louise, ja tylko usiłuję przekazać ci kilka podstawowych prawd. Musisz postrzegać sprawy takimi, jakimi są naprawdę, a nie tylko takimi, jakimi chciałabyś je widzieć.

– Dlaczego więc nie pokazywałeś mi prawdziwej natury spraw wtedy, gdy jeszcze siadywałam ci na kolanach? Dlaczego pozwoliłeś sobie na niedbałość, gdy czytałeś mi o historii i innych sprawach, które, jak mi się

zdawało, były dla ciebie ważne. Dlaczego nie mówiłeś mi wtedy, że wszystko otacza płot z napisem: TYLKO DLA BIAŁYCH?

– Jesteś niekonsekwentna – zauważył łagodnie jej ojciec.

– Niby w czym?

– Najpierw napadasz na Sąd Najwyższy, a potem wykonujesz zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i przemawiasz jak ci z NAACP.

– Dobry Boże, przecież nie z winy Murzynów wzburzyła mnie decyzja Sądu. Owszem, oni też naciskali w sprawie wyroku, ale nie to wyprowadziło mnie z równowagi. Chodziło mi o beznadziejne myślenie sędziów, o to, co zrobili z dziesiątą poprawką. Murzyni byli...

Pobocznym wątkiem wojny, którą teraz toczy, a także pobocznym wątkiem twojej prywatnej wojny.

– Masz w kieszeni kartę członkowską NAACP?

– Chyba wolałabym, żebyś mnie palnął w łeb. Na miłość boską, Atticusie!

Jej ojciec westchnął ciężko, a bruzdy wokół ust stały się jeszcze głębsze. Palce o opuchniętych stawach niezgrabnie bawiły się żółtym ołówkiem.

– Jean Louise – rzekł wreszcie – pozwól, że coś ci wyłożę w najprostszym słowach, na jakie mnie stać. Jestem staroświeckim człowiekiem, ale w to wierzę całym sercem: jestem demokratą jeffersońskim. Wiesz, co to oznacza?

– Ha, zdawało mi się, że głosowałeś na Eisenhowera, i że Jefferson był jedną z najwybitniejszych dusz w dziejach Partii Demokratycznej albo jakoś tak...

– Wracaj do szkoły – poradził jej ojciec. – Ostatnio demokraci mają z Jeffersonem tylko tyle wspólnego, że podczas bankietów wieszają jego portret na ścianie. Jefferson wierzył, że pełne obywatelstwo to przywilej, na który trzeba zasłużyć, że nie można obdarowywać nim ludzi nierozważnie ani traktować go lekkomyślnie. Jego zdaniem człowiek nie powinien mieć prawa głosu tylko dlatego, że jest człowiekiem, powinien być nade wszystko człowiekiem odpowiedzialnym. Według Jeffersona prawo głosu było bezcennym przywilejem, który należało zdobyć, żyjąc uczciwie w sprawiedliwym systemie gospodarczym, definiowanym słowami: „Żyj i pozwól żyć”.

– Widzę, Atticusie, że piszesz historię od nowa.

– Nic podobnego. Dobrze by ci zrobił powrót do źródeł. Powinnaś

poczytać uważniej o tym, w co naprawdę wierzyli ojcowie-założyciele tego kraju. Mniej zaś powinnaś ufać opiniom dzisiejszych „specjalistów” na ten temat.

– Zgoda, może i podzielasz poglądy Jeffersona, ale nie jesteś demokratą.

– Podobnie jak Jefferson.

– W takim razie kim jesteś? Snobem czy kimś takim?

– Tak. Akceptuję nazywanie mnie snobem, jeśli chodzi o moje poglądy na sprawowanie władzy. Bardzo bym chciał, żeby rząd pozwolił mi samodzielnie dbać o moje sprawy, zgodnie z zasadą „Żyj i pozwól żyć”. Chciałbym też, aby zostawił mój stan w świętym spokoju i nie popierał świątłych rad wodzów NAACP, którzy guzik wiedzą o tutejszych realiach i w sumie mają je gdzieś. W ciągu ostatnich pięciu lat ta organizacja wywołała więcej niepokojów niż...

– Atticusie, NAACP nie budzi mojej odrazy nawet w połowie tak, jak to, czego byłam tu świadkiem przez ostatnie dwa dni. Tu chodzi o nas.

– O nas?

– Tak, ojczy, o nas. O ciebie. Czy ktokolwiek, w całym tym chaosie i potokach wielkich słów na temat praw stanowych i powinności rządu federalnego choćby pomyślał o tym, jak można by pomóc Murzynom?

Spóźniliśmy się, Atticusie. Siedzieliśmy z założonymi rękami, pozwalając, by do akcji wkroczyło NAACP, bo tak strasznie wkurzyło nas to, co – zgodnie z naszymi przewidywaniami – zrobił Sąd Najwyższy. Złość zaślepiła nas tak bardzo, że automatycznie zaczęliśmy wrzeszczeć: „czarnuchy!”. Wyzywamy się na nich, bo nie podoba nam się decyzja rządu.

Wyrok nie sprawił, że cofnęliśmy się o cal, sprawił, że rzuciliśmy się do ucieczki. Zamiast spróbować jakoś pomóc im żyć w nowej sytuacji, zwiewaliśmy jak Bonaparte po ostatniej bitwie. Uciekaliśmy bodaj pierwszy raz w historii, a czyniąc to, ponieśliśmy klęskę. Do kogo Murzyni mieli pójść? Do kogo mogli się zwrócić? Uważam, że zasługują na wszystko, co zrobiło dla nich NAACP i na znacznie więcej.

– Nie wydaje mi się, żebyś mówiła szczerze.

– A jednak, co do słowa.

– Wobec tego przejdźmy do kwestii bardziej praktycznych. Naprawdę chcesz widzieć tłumy Murzynów w naszych szkołach, kościołach i teatrach? Chcesz, żeby masowo wkroczyli do naszego świata?

– Przecież to ludzie, czyż nie? Jakże chętnie importowaliśmy ich tysiącami, gdy była okazja dobrze na tym zarobić.

– Chciałabyś, żeby nasze dzieci uczyły się w szkołach, w których poziom nauczania zostanie wyraźnie obniżony, by murzyńskie dzieci dały sobie radę?

– Poziom nauczania w szkole przy tej ulicy nie może już być niższy i dobrze o tym wiesz, Atticusie. Oni mają prawo korzystać z tych samych dobrodziejstw, z których i my korzystamy, mają prawo do tych samych szans...

Ojciec przerwał jej dyskretnym chrząknięciem.

– Posłuchaj mnie, Skaucie. Jesteś wzburzona, bo widziałas mnie wśród ludzi, którzy twoim zdaniem czynią zło, a ja staram się wytłumaczyć ci, dlaczego do nich dołączyłem. Staram się wręcz rozpaczliwie. Rozwieję twoje wątpliwości. Moje życiowe doświadczenie nadal wskazuje, że białe jest białe, a czarne jest czarne. Jak dotąd, nie słyszałem jeszcze argumentu, który przekonałby mnie, że jest inaczej. Mam siedemdziesiąt dwa lata, lecz wciąż pozostaję otwarty na sugestie.

Pomyśl więc, co by się stało, gdyby wszystkim Murzynom z Południa ofiarowano nagle pełne prawa obywatelskie? Chętnie ci powiem. Mielibyśmy tu nową rekonstrukcję. Chciałabyś, aby do władz stanowych weszli ludzie, którzy nie mają pojęcia o tym, jak rządzić? Chciałabyś, aby tym miastem... Nie, zaczekaj chwilę, oboje wiemy, że Willoughby to kanciarz, ale czy znasz jakiegokolwiek Murzyna posiadającego taką wiedzę, jak on? Zeebo zostałby pewnie burmistrzem Maycomb. Naprawdę chciałabyś, żeby człowiek o zdolnościach Zeebo rządził finansami tego miasta? Wiesz przecież, że oni mają przewagę liczebną.

Skarbie, mam wrażenie, że nie rozumiesz, dlaczego tutejsi Murzyni nadal są jak dzieci, jeśli chodzi o ich człowieczeństwo. A powinnaś wiedzieć, bo przecież przyglądałaś się temu przez całe życie. Dokonali fenomenalnego postępu, adaptując się do życia na modłę białych ludzi, ale cel jest jeszcze odległy. Dobrze sobie radzą, zmieniając się w naturalnym, łatwym do zaakceptowania tempie – wśród głosujących jest ich dziś więcej niż kiedykolwiek. Lecz odkąd wkroczyło NAACP, wysuwając fantastyczne żądania i promując idiotyczny model rządzenia, czy naprawdę możesz winić Południe za to, że nie życzy sobie, by ludzie nieznający tutejszych problemów narzucali mu nowy sposób kierowania własnymi sprawami?

NAACP nie dba o to, czy Murzyn jest właścicielem, czy dzierżawcą ziemi, czy naprawdę potrafi ją uprawiać, czy próbuje, czy może nie próbuje wyuczyć się jakiegoś fachu i stanąć na własnych nogach. O nie, to wszystko nieważne, byle ów Murzyn zagłosował we właściwy sposób.

Czy zatem możesz winić Południe za próbę oparcia się inwazji ludzi najwyraźniej tak bardzo wstydzających się swojej rasy, że aż usiłujących zatrzeć po niej wszelki ślad?

Jak mogłaś dorastać w tych stronach, żyć w taki sposób, w jaki żyłaś przez lata, a teraz dostrzegać jedynie, że ktoś gwałci dziesiątą poprawkę? Jean Louise, oni próbują nas zniszczyć. Gdzieś ty się uchowała?

– Tu, w Maycomb.

– To znaczy?

– To znaczy, że dorastałam w twoim domu, a mimo to nie miałam pojęcia, co się dzieje w twojej głowie. Wsłuchiwałam się w twoje słowa, a ty jakoś zapomniałeś opowiedzieć mi, że jesteśmy z natury lepsi od Murzynów, biedaczków o wełnistych łbach, którzy są w stanie zajść tylko tak daleko i ani kroku dalej. Zapomniałeś powiedzieć mi o wszystkim, o czym usłyszałam wczoraj od pana O'Hanlona, bo to były twoje prawdziwe poglądy, tylko pozwoliłeś mu wypowiedzieć je na głos. Jesteś tchórzem, snobem i tyranem, Atticusie. Gdy mówiłeś mi o sprawiedliwości, zapomniałeś nadmienić, że sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z ludźmi...

Słyszałam dziś rano, co mówiłeś na temat syna Zeebo... Jakby nie miał nic wspólnego z naszą Calpurnią i z tym, ile dla nas znaczyła, jak wierna nam była przez te wszystkie lata, a ty widziałeś w nim tylko czarnucha, cel dla NAACP – i policzyłeś sobie, czy to się opłaci, prawda?

Pamiętam sprawę gwałtu, w której zdecydowałeś się bronić. Dziś już wiem, że nic wtedy nie rozumiałam. Owszem, ty kochasz sprawiedliwość. Tę abstrakcyjną, opisaną punkt po punkcie w aktach sprawy... Wcale nie chodziło o tego Murzyna, po prostu lubisz porządek w papierach. Jesteś z natury systematyczny, dostrzegłeś bałagan i postanowiłeś coś z tym zrobić. To był odruch bezwarunkowy, któremu teraz poddajesz się całkowicie...

Wstała i zacisnęła dłonie na oparciu krzesła.

– Atticusie, rzucam ci tę prawdę w twarz i nie zamierzam się wycofać: lepiej ostrzeż swoich młodszych kolegów, że jeśli tak pragną ratować

„nasz styl życia”, powinni zacząć we własnych domach. Nie w szkołach, nie w kościołach, nie Bóg wie gdzie, tylko właśnie w domach. Powiedz im to i dorzuć znakomity przykład swojej ślepej, zdemoralizowanej, zagubionej, kochającej czarnuchów córki. Kroc przedemną z dzwonkiem w dłoni i wołaj: „Nieczysta!”. Wskazuj na mnie palcem, bo jestem twoją pomyłką. Wskazuj i mów: „Oto Jean Louise Finch, w czasach szkolnych narażona na nieustanny kontakt z białą hołotą, więc może i szkoda, że w ogóle poszła do szkoły”. Wszystko, co było dla niej święte jak Ewangelia, usłyszała od swego ojca, wyniosła z domu. Tak, Atticusie, zasiałeś we mnie te ziarna, a teraz nadchodzą żniwa...

– Czy to już wszystko, co miałaś mi do powiedzenia?

– Nawet nie połowa – parsknęła. – Nigdy ci nie wybaczę tego, co mi zrobiłeś. Oszukałeś mnie, wypędziłeś z domu i oto jestem na ziemi niczyjej. Dobrze, bo nie ma już dla mnie miejsca w Maycomb. Nigdy też i nigdzie nie poczuję się całkiem jak w domu. – Dlaczego, w imię Boże – dodała łamiącym się głosem – nie ożeniłeś się powtórnie? Dlaczego nie znalazłeś sobie jakiejś średnio bystrej damy z Południa, która wychowałaby mnie jak należy? Zamieniłaby mnie w głupkowato uśmiechniętą, zakłamaną, trzepocącą rzesami magnolię, ze splecionymi na podołku rączkami, czekającą na mężusia, który jest dla niej całym światem. Wtedy przynajmniej zaznałabym spokoju. Byłabym w stu procentach typową mieszkanką Maycomb, wiodłabym bierne, nieznaczające życie i dałabym ci wnuki, za którymi byś przepadał. Potem, rozepchana jak moja ciotunia, spędzałabym dni, wachlując się na werandzie, aż w końcu umarłabym szczęśliwa. Dlaczego nie objawiłeś mi tej subtelnej różnicy między sprawiedliwością a sprawiedliwością, między tym, co słuszne, a tym, co słuszne? No, dlaczego?

– Nie uważałem tego za konieczne i nadal nie uważam.

– Przeciwnie! Było konieczne i dobrze o tym wiesz. Boże! A skoro już o Nim mowa... Dlaczego nie wytłumaczyłeś mi zawczasu, że to Bóg stworzył rasy i czarnych ludzi umieścił w Afryce na stałe, specjalnie po to, by misjonarze mogli jeździć do nich z informacją, że wprawdzie Jezus ogromnie ich kocha, ale powinni zostać tam, gdzie się urodzili? Że pomysł ściągnięcia ich tutaj był naszym błędem, za który i tak obwinimy ich? Że Jezus kocha wszystkich ludzi, a mimo to trzeba między nimi wyznaczać bariery? Że Jezus dał każdemu wolność, ale tylko w granicach owych barier...

– Jean Louise, zjedź już na ziemię.

Wypowiedział te słowa z taką swobodą, że z wrażenia urwała w pół zdania. Fala oskarżeń rozbiła się o niego jak o skałę i nadal spokojnie siedział w fotelu. Odmawiał jej nawet gniewu. Jean Louise czuła w głębi duszy, że nie jest damą, ale żadna siła na ziemi nie mogła sprawić, by jej ojciec przestał być dżentelmenem. Mimo to nie umiała zatrzymać tłoków maszyny, którą wprawiła w ruch.

– Zgoda, zjedę na ziemię. Wyląduję prosto w salonie naszego domu, tuż przy tobie. Zawsze w ciebie wierzyłam. Podziwiałam cię, Atticusie, jak nikogo innego w całym moim życiu – i pewnie nikogo już nie będę bardziej podziwiała. Gdybyś tylko dał mi jakiś znak, gdybyś tylko choć parę razy złamał dane słowo, gdybyś okazał mi złość czy choć zniecierpliwienie, gdybyś był człowiekiem pośledniejszego formatu, może jakoś bym zniosła to, co widziałam. Gdybyś raz lub dwa dał się przyłapać na czymś naprawdę nieczym, może rozumiałabym wczorajsze wydarzenia. Powiedziałabym wtedy: już taki jest ten mój stary, dawno temu przygotował mnie na to, wiedziałam, czego się spodziewać...

Ojciec spoglądał na nią ze współczuciem, niemal błagalnie.

– Ty naprawdę sądzisz, że zaangażowałam się w coś głęboko złego – powiedział. – Ta Rada jest naszą jedyną obroną, Jean Louise...

– Doprawdy? Pan O’Hanlon jest naszą jedyną obroną?

– Kochanie, z radością donoszę ci, że pan O’Hanlon nie jest typowym przykładem członka Rady Obywateli Maycomb. Mam nadzieję, że zauważyłaś, w jak krótkich słowach przedstawiłem go zebrany.

– Rzeczywiście, nie byłeś wylewny, Atticusie, ale ten człowiek...

– Pan O’Hanlon nie jest uprzedzony, Jean Louise. Jest sadystą.

– Dlaczego w ogóle dopuściliście do głosu kogoś takiego?

– Ponieważ chciał.

– Słucham?

– A tak – odparł swobodnie Atticus. – Pan O’Hanlon podróżuje po całym stanie, przemawiając przed radami obywatelskimi poszczególnych hrabstw. Poprosił nas o udzielenie mu głosu i otrzymał zgodę. Mam wrażenie, że jest opłacany przez jakąś organizację z Massachusetts...

Obrócił się w fotelu i spojrział w okno.

– Próbuję ci uświadomić, że maycombska rada nie jest niczym więcej, jak tylko metodą obrony przeciwko...

– Obrony, akurat! Atticusie, my już nie rozmawiamy o Konstytucji.

Próbuję ci coś uświadomić. Zawsze traktowałeś ludzi jednakowo. Przenigdy nie widziałam, żebyś zachowywał się wobec Murzynów tak bezczelnie, tak protekcyjnie, jak czyni to połowa białych z tego miasta, nawet gdy zwyczajnie z nimi rozmawiają, proszą ich o coś. Kiedy do nich mówisz, w twoim głosie nie ma nuty: „No, dalejże, czarnuchu!”

Mimo to podnosisz rękę i dajesz im, jako rase, sygnał stop. „Zatrzymajcie się. Doszliście daleko, ale dalej nie pójdziecie!”

– Sądziłem, że już się zgodziliśmy co do tego, iż...

Przerwała mu, wypowiadając słowa mocno sarkastycznym tonem:

– Jak dotąd ustaliliśmy, że są opóźnieni, niepiśmienni, brudni, komiczni i bezradni, że są do niczego, że są jak dzieci, że niektórzy są wręcz głupi, ale w niczym się jeszcze nie zgodziliśmy i nigdy się nie zgodzimy. Odmawiasz im człowieczeństwa.

– Jak to?

– Odmawiasz im nadziei. A człowiek, Atticusie, każdy człowiek mający ręce, nogi i głowę na karku przychodzi na ten świat z nadzieją w sercu. Nie, tego akurat nie znajdziesz w Konstytucji. Zdaje się, że słyszałam to w kościele. Większość z nich to prości ludzie, ale na pewno nie podludzie.

Wmawiasz im, że Jezus ich kocha, ale nie za bardzo. Używasz strasznych środków, by usprawiedliwić wątpliwy cel, rzekomo dobry dla większości ludzi. Może i szlachetne są twoje intencje – kto wie, czy nie podobne do moich – ale nie używaj ludzi jako swoich pionków, Atticusie. Nie możesz i już. Hitler i ta banda w Rosji też wyprawiali niezłe szopki z własnymi krajami, po drodze mordując dziesiątki milionów ludzi...

– Hitler, co? – wtrącił z uśmiechem Atticus.

– Nie jesteś od niego lepszy. Ani trochę. Różnica polega na tym, że próbujesz zabić dusze tych ludzi, a nie ciała. Jakbyś chciał im powiedzieć: „No, bądźcie grzeczni. Zachowujcie się. Jeśli będziecie grzeczni i posłuszni, dostaniecie w zamian niezłe życie, ale jeśli się zbiesicie, nic wam nie damy i jeszcze zabierzemy to, co już daliśmy”.

Wiem, że proces zmiany musi być powolny, Atticusie, rozumiem to doskonale. Ale musi postępować. Ciekawe, jak by to było, gdyby zorganizowano na Południu Tydzień Dobroci dla Czarnuchów. Gdyby tylko przez tydzień całe Południe okazywało im całkiem zwyczajną uprzejmość, bez żadnych uprzedzeń. Ciekawe, co by się stało. Sądziłeś, że staliby się lepsi, że nabraliby szacunku do samych siebie? Czy kiedykolwiek czułeś się odrzucony, Atticusie? Czy wiesz, jakie to

uczucie? Nie, nie wmawiaj mi, że oni są jak dzieci i niczego nie czują. Byłam dzieckiem i czasem tak się czułam, więc dorosłe dzieci też muszą to czuć. Gdy ktoś się naprawdę stara, byś czuł się odrzucony, zaczynasz wierzyć, że jesteś zbyt straszny, by przestawać z innymi ludźmi. Nie pojmuję, jakim sposobem Murzyni są dziś tak dobrymi ludźmi, skoro przez sto lat systematycznie negowano ich człowieczeństwo. Dlatego to takie ciekawe. Jaki cud mógłby sprawić tydzień zwykłej przyzwoitości?

Wiem, że nie ma wielkiego sensu mówienie ci o tym wszystkim, ponieważ nie cofniesz się nawet o cal, nigdy. Oszukałeś mnie w sposób, którego nie jestem w stanie nawet wyrazić, ale nie przejmuj się, tylko ja za to zapłacę, nie ty. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu bezgranicznie ufałam, a teraz jestem skończona.

– Zabiłem cię, Skaucie. Musiałem.

– Daruj sobie wreszcie te dwuznaczności! Jesteś miłym, nawet uroczym, starszym dżentelmenem, jednak ja już nigdy nie uwierzę w ani jedno twoje słowo. Gardzę tobą i wszystkim, co sobą reprezentujesz.

– A ja cię kocham.

– Nie waż się tak do mnie mówić! Kochasz mnie, ha! Atticusie, zamierzam się stąd wynieść, i to jak najszybciej. Nie wiem jeszcze dokąd, ale to pewne. Do końca życia nie chcę oglądać ani słuchać żadnego Fincha!

– Jak sobie życzysz.

– Ty dwulicowy, pręgowany sukinsynu! Siedzisz i serwujesz mi to swoje: „jak sobie życzysz”, a wcześniej zniszczyłeś mnie, zdeptałeś i oplułeś. Siedzisz i mówisz: „jak sobie życzysz”, gdy wszystko, co na tym świecie naprawdę kochałam... „Jak sobie życzysz”? I ty podobno mnie kochasz! Ty sukinsynu!

– Wystarczy, Jean Louise.

Wystarczy. Tym jednym słowem przywoływał ją do porządku w czasach, gdy jeszcze w niego wierzyła. Zatem zabija mnie i jeszcze mu mało... Jak może tak mnie dręczyć? Jak może tak mnie traktować? Boże miłosierny, zabierz mnie stąd... Boże miłosierny, zabierz...

[35] Dziesiąta poprawka mówi, że rząd USA może korzystać wyłącznie z uprawnień powierzonych mu przez Konstytucję, a w sprawach przez nią nieuregulowanych decydują władze stanowe.

[36] Chodzi o sędziów Sądu Najwyższego za kadencji prezydenta Roosevelta. Owen Roberts był

wśród nich jedynym republikaninem.

CZEŚĆ VII

18

Nie miała pojęcia, jak dotarła do samochodu, jak uruchomiła silnik, jak utrzymała się na drodze i jak dotarła do domu, nie powodując kolizji.

A ja cię kocham. Jak sobie życzysz. Gdyby tego nie powiedział, może jeszcze jakoś by przetrwała. Gdyby walczył z nią uczciwie, mogłaby cisnąć weń jego własnymi słowami, ale takiej rtęci nie umiała utrzymać w dłoniach.

Poszła prosto do swojego pokoju i rzuciła walizkę na łóżko. Przyszłam na świat dokładnie tu, gdzie ją teraz położyłam, pomyślała. Dlaczego nie udusiłeś mnie wtedy, ojczu? Dlaczego pozwoliłeś mi żyć tak długo?

– Jean Louise, co ty robisz?

– Pakuję się, ciociu.

Alexandra przystanęła obok łóżka.

– Miałaś zostać u nas jeszcze dziesięć dni. Coś się stało?

– Ciociu, na miłość boską, daj mi święty spokój!

– Będę wdzięczna, jeśli przestaniesz używać w mojej obecności tych jankeskich wyrażeń – obruszyła się Alexandra. – Co się stało?

Jean Louise otworzyła szafę, zerwała sukienki z wieszaków i z mocą wepchnęła je do walizki.

– Nie tak należy się pakować – zauważyła Alexandra.

– Ja tak lubię.

Sięgnęła po buty stojące przy łóżku i wrzuciła je w ślad za sukienkami.

– Co to ma znaczyć, Jean Louise?

– Ciotuniu, możesz wystosować oficjalny komunikat, iż wyjeżdżam tak daleko od hrabstwa Maycomb, że będę potrzebowała co najmniej stu lat,

by tu wrócić! Nie chcę więcej oglądać tego miasta ani żadnego z jego mieszkańców – naprawdę żadnego, włącznie z tobą, grabarzem, sędzią spadkowym oraz przewodniczącym zarządu Kościoła metodystów!

– Pokłóciłaś się z Atticusem, prawda?

– Owszem.

Alexandra usiadła na łóżku i złożyła dłonie.

– Jean Louise, nie mam pojęcia, o co poszło, i widzę, że musiała to być ciężka przeprawa, ale jedno wiem: Finchowie nie uciekają.

Jean Louise odwróciła się ku niej z pasją.

– Chryste Panie, nie waż się mi mówić, co takiego robią Finchowie, a czego nie! Potąd mam tych wszystkich zasad Finchów, nie zniosę ich ani sekundy dłużej! Wpychasz mi je do gardła, odkąd tylko przyszedłam na świat – twój ojciec to, Finchowie tamto! Mój ojciec zrobił coś, co nie mieści mi się w głowie, a wujek Jack jest jak Alicja w Krainie Czarów! Ty zaś jesteś nadętą, ograniczoną, starą...

Jean Louise urwała, zafascynowana widokiem łez spływających po policzkach ciotki. Nigdy dotąd nie widziała jej płaczącej. W tym stanie Alexandra wyglądała tak samo, jak inni ludzie.

– Ciociu, proszę cię, wybac mi. Powiedz, że wybaczasz... To był cios poniżej pasa.

Palce Alexandry rwały frywolitkę zdobiącą krawędź narzuty.

– Nic się nie stało. Nie przejmuj się.

Jean Louise ucałowała ją w policzek.

– To nie jest mój najlepszy dzień. Gdy ktoś nam zada cios, czasem oddajemy na oślep. Jak widzisz, żadna ze mnie dama, ciociu. W przeciwieństwie do ciebie.

– Mylisz się, Jean Louise, jeśli naprawdę sądzisz, że nie jesteś damą – odpowiedziała Alexandra, ocierając oczy. – Jednak naprawdę niekiedy zachowujesz się wręcz dziwnie.

Jean Louise zamknęła walizkę.

– Ciociu, jeszcze przez jakiś czas możesz wierzyć, że jestem damą. Dokładnie do siedemnastej, aż Atticus wróci do domu. Wtedy przekonasz się, że jest inaczej. A teraz żegnaj.

Właśnie niosła walizkę do samochodu, gdy zobaczyła jedyną białą taksówkę w Maycomb, która zatrzymała się przed podjazdem. Wysiadł z niej doktor Finch.

Przyjdź do mnie. Gdy już nie będziesz mogła wytrzymać, przyjdź do

mnie.

Cóż, rzeczywiście nie mogę już wytrzymać, pomyślała. Nie znoję dłużej twoich przypowieści i owijania w bawełnę. Zostaw mnie w spokoju. Jesteś zabawny, uroczy i w ogóle, ale proszę: daj mi święty spokój.

Kątem oka patrzyła, jak jej wuj spokojnie maszeruje podjazdem. Stawia długie kroki, jak na tak niską osobę, zauważyła. To jedna z tych rzeczy, które zapamiętam. Odwróciła się, by wsunąć kluczyk do zamka bagażnika. Nie pasował. Spróbowała wepchnąć inny. Udało się. Przekreśliła go i otworzyła klapę.

– Wybierasz się dokądś?

– Tak jest.

– Dokąd?

– Pojadę tym wozem aż do Węzła Kolejowego Maycomb, gdzie usiądę w spokoju i zaczekam na pociąg. Powiedz Atticusowi, że jeśli chce odzyskać samochód, może kogoś po niego posłać.

– Przestań uzalać się nad sobą i wysłuchaj mnie.

– Wujku, mam tak po dziurki w nosie wysłuchiwanie was wszystkich, że chce mi się wrzeszczeć! Dlaczego nie zostawicie mnie wreszcie w spokoju? Nie możecie odczepić się ode mnie nawet na chwilę?

Trzasnęła klapą bagażnika, wyrwała kluczyk z zamka i wyprostowała się w samą porę, by przyjąć siarczysty policzek od doktora Fincha.

Głowa odskoczyła jej w lewo jak piłka i natychmiast ponownie spotkała się z dłonią wujka Jacka. Jean Louise zatoczyła się i oparła o samochód, by nie upaść na ziemię. Miała wrażenie, że widzi dziki taniec gwiazd wokół rozmazanego oblicza swego stryja.

– Próbuje – rzekł doktor Finch – przyciągnąć twoją uwagę.

Przycisnęła palce najpierw do oczu, a potem do skroni. Była bliska omdlenia, miała zawroty głowy, z trudem powstrzymywała się, by nie zwymiotować. Czując na zębach smak krwi, odruchowo splunęła na oślep. Po chwili dziwne wibracje w głowie i dzwonienie w uszach nareszcie zaczęły ustępować.

– Otwórz oczy, Jean Louise.

Zatrzepotała powiekami. Obraz wuja Jacka w końcu nabrał ostrości. Laskę zawiesił sobie na przedramieniu. Kamizelkę miał nienagannie odprasowaną, a w klapie marynarki nosił świeży, szkarłatny pąk róży.

W wyciągniętej ręce trzymał chusteczkę. Przyjęła ją i otarła usta.

Miała wrażenie, że jest wyczerpana.

– Emocje opadły?

Skinęła głową.

– Nie mogę dłużej z nimi walczyć – wyznała.

Doktor Finch wziął ją pod ramię.

– Nie możesz też do nich dołączyć, prawda? – wymruczał.

Czuła, że usta zaczynają jej puchnąć. Z trudem nimi poruszała.

– Nieźle mi przyłożyłeś. Jestem taka zmęczona.

W milczeniu poprowadził ją do domu i dalej, korytarzem, aż do łazienki. Gdy przysiadła na brzegu wanny, zajrzał do szafki z lekarstwami. Włożył okulary, przechylił głowę na bok i po chwili wybrał buteleczkę z najwyższej półki. Wyrwał z paczki garść waty i podał Jean Louise.

– Dziób do góry – zakomenderował.

Zwilżył kłębek waty płynem z buteleczki, zadarł górną wargę bratanicy i z dość ohydną miną przemył rany w jej ustach.

– Nie próbuj przy tym grzebać... Zandra! – zawołał.

Alexandra przybiegła z kuchni.

– O co chodzi, Jack? Jean Louise, zdawało mi się, że...

– Nieważne. Znajdzie się w tym domu trochę misjonarskiej wanilii?

– Nie wygłupiaj się, Jack.

– Och, przestań. Wiem, że masz swój zapas do ciast, więc, na Boga, siostrzo, daj mi trochę whiskey! Jean Louise, idź do salonu.

Wciąż oszołomiona, usłuchała. Usiadła w fotelu. Wuj przyszedł po chwili, niosąc w jednej ręce szklanekę napełnioną na trzy palce bursztynowym trunkiem, a w drugiej szklanekę wody.

– Dostaniesz dziesięć centów, jeśli wypijesz duszkiem – powiedział.

Wypiła, krztusząc się.

– Trzeba było wstrzymać oddech, głupia. No masz, popij.

Łapczywie przełknęła wodę i z przymkniętymi powiekami czekała, aż poczuje w sobie ciepło alkoholu. Gdy otworzyła oczy, ujrzała wujka Jacka. Siedział obok, na kanapie, przyglądając się jej w spokoju.

– Jak się czujesz? – spytał zaraz.

– Gorąco mi.

– Tak działa ten trunek. A co nowego w głowie?

– Pustka, łaskawy panie – odpowiedziała cicho.

– Daruj sobie cytaty, krnąbrna dziewucho! Mów, jak się czujesz!

Zmarszczyła brwi i zacisnęła powieki, dotykając czubkiem języka zranionych warg.

– Jakby inaczej. Niby siedzę tu, a czuję się tak, jakbym siedziała w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku. Nie wiem... Dziwne.

Doktor Finch wstał, włożył ręce do kieszeni i zaraz je wyjął, po czym zaplótł dłonie za plecami.

– Wobec tego może i ja się napiję. Pierwszy raz w życiu uderzyłem kobietę. Może powtórzę ten zabieg na twojej ciotce i zobaczymy, co z tego wyniknie? Posiedź tu cicho przez chwilę.

Jean Louise siedziała, chichocząc i przysłuchując się, jak wujek Jack zмага się w kuchni ze swą siostrą:

– Ależ oczywiście, że muszę się napić, Zandra. Zasłużyłem. Nie codziennie policzkuję kobiety, ale zapewniam cię, to bardzo wyczerpujące zajęcie... Och, nic jej nie będzie... Jakoś nie dostrzegam różnicy między wypijaniem whiskey a zjadaniem jej w cieście... I tak wszyscy pójdziemy do piekła, to tylko kwestia czasu... Nie bądź starą kwoką, siostrzo, jeszcze nie leżę na podłodze... Może i ty sobie chlapiesz?

Miała wrażenie, że czas się zatrzymał, a ona zawisała w próżni, która wcale nie była nieprzyjemna. Wokół nie było ani ładu, ani żadnych stworzeń; w niewrogiej przestrzeni istniała tylko aura bliżej nieokreślonej życzliwości. Alkohol uderza mi do głowy, pomyślała.

Wujek Jack wkroczył do salonu, sącząc z wysokiej szklanki whiskey z wodą oraz lodem.

– Zobacz, co wydarłem Zandrze. Musiałem wyciskać z jej keksów.

Jean Louise spróbowała go przycisnąć:

– Wujku – zaczęła – mam nieodparte wrażenie, że już wiesz, co się zdarzyło dziś po południu.

– Wiem. Znam każde słowo, którym uraczyłaś Atticusa, a gdy wyżywałaś się na Henrym, słyhać cię było prawie w moim domu.

Stary łajdak, pomyślała, poszedł za mną do miasta.

– Podśłuchiwałaś? Że też...

– Jasne, że nie. Myślisz, że możemy już o tym podyskutować?

Podyskutować?

– Tak, chyba tak. Oczywiście pod warunkiem, że będziesz mówił prosto z mostu. Nie zniosłabym więcej opowieści o biskupie Colenso.

Doktor Finch usadowił się wygodnie na kanapie i nachylił ku bratanicy.

– Będę mówił prosto z mostu, moja droga – rzekł. – A wiesz dlaczego? Dlatego, że już mogę.

– Już możesz?

– Tak. Cofnij się w czasie, Jean Louise. Cofnij się do wczoraj, a potem do porannej „kawki” i dzisiejszego popołudnia...

– Co ty wiesz o moim poranku?

– Nigdy nie słyszałaś o wynalazku zwanym telefonem? Zandra z przyjemnością odpowiedziała mi na kilka inteligentnych pytań. Wszędzie zostawiasz ślady swojego zachowania, Jean Louise. Po południu chciałem zaś trochę ci pomóc dokonać wyboru na rozstajnych drogach, zorientować się w terenie, może trochę ułatwić...

– Co ułatwić, wujku?

– Ułatwić ci przyjście na świat.

Gdy doktor Finch znowu zainteresował się swoim trunkiem, Jean Louise dostrzegła błysk jego mądrych, brązowych oczu ponad szkłem. O tym właśnie ciągle zapominasz, kiedy o nim myślisz, skarciła się w duchu. Skupiasz się na jego wygłupach i nie zauważasz, jak uważnie cię obserwuje. Jest szalony, to fakt, jak każdy filut na tym świecie, tylko wie znacznie więcej niż przeciętny filut. Rety, jestem pijana.

– ...spójrz w przeszłość – mówił wujek Jack. – Nadal tam jest, prawda?

Spojrzała. Tak, przeszłość nadal istniała. I każde słowo, które padło. Coś się jednak zmieniło. Jean Louise siedziała w milczeniu, sondując pamięć.

– Wujku – odezwała się wreszcie. – Wszystko jest na swoim miejscu. Wydarzyło się. Tak było. Ale wiesz... Teraz wydaje mi się jakoś znośniejsze. Tak, jest znośne.

Mówiła prawdę. Nie odbyła podróży w czasie, nie zmieniła tego, co się stało. Dzień dzisiejszy pozostał dniem dzisiejszym, a jednak... Spojrzała na wuja Jacka ze zdumieniem.

– Dzięki Bogu – powiedział cicho doktor Finch. – Wiesz, dlaczego wszystko wydaje ci się teraz znośne, moja droga?

– Nie wiem. Nagle poczułam, że sprawy mogą pozostać w takim stanie. Nie chcę już niczego kwestionować. Niech nic się nie zmienia.

Czuła na sobie badawcze spojrzenie wuja. Odwróciła głowę. Nie, nie ufała mu, była od tego całkiem daleka. Jeśli znowu zacznie raczyć mnie historią Mackwortha Praeda, pomyślała, i wmawiać mi, że jestem taka sama jak on, wyląduję na stacji kolejowej jeszcze przed zachodem słońca.

– Pewnie sama doszłabyś do właściwej odpowiedzi – usłyszała jego łagodny głos – pozwól jednak, że nieco przyspieszę ten proces. Masz za sobą ciężki dzień. Wspomnienie o nim wydaje ci się teraz znośne, Jean Louise, ponieważ znowu jesteś sobą.

Zatem nie jestem Mackworthem Praedem; dobre i to. Znowu spojrzała na wuja.

– To w sumie dość skomplikowane – ciągnął doktor Finch, z lubością prostując nogi – a ja nie chcę, żebyś powtarzała ten sam banalny błąd, chełpiąc się własnymi kompleksami. Zanudzałabyś nas tym do końca życia, więc trzymajmy się od tego z daleka. Wyspą każdego człowieka, Jean Louise, jego „wartownikiem” jest sumienie. Nie ma czegoś takiego, jak zbiorowa świadomość.

To coś nowego, pomyślała. Takie słowa w jego ustach? Ale niech mówi, w końcu, jakimś sposobem, i tak wróci do dziewiętnastego stulecia.

– ...ty zaś, moja panno, urodzona z własnym sumieniem, gdzieś po drodze przywarłaś jak pąkla do sumienia swego ojca. Dorastałaś – i wreszcie dorosłaś – zupełnie nie znając samej siebie, zaś Atticusa mylnie biorąc za Boga. Nie dostrzegałaś w nim człowieka, istoty o ludzkim sercu, ale i o ludzkich wadach. Przyznaję, niełatwo było je zauważyć, bo mój brat rzadko popełnia błędy, jednak popełnia, jak my wszyscy. Byłaś emocjonalną kaleką, wspierałaś się na nim, szukałaś u niego odpowiedzi na wszelkie pytania, mylnie przyjmując, że twoje i jego odpowiedzi zawsze będą tożsame.

Słuchała w skupieniu.

– Gdy w końcu przypadkiem zobaczyłaś, że robi coś, co wydało ci się kompletnie niezgodne z jego sumieniem – z twoim sumieniem – dosłownie nie mogłaś tego znieść. Poczulaś się chora, fizycznie chora, a życie zmieniło się w piekło na ziemi. Jednak musiałaś się zabić, a raczej on musiał cię zabić, abyś mogła zacząć funkcjonować jako odrębna jednostka.

Zabić się. Zabić go. Tak, musiałam go zabić, żeby żyć.

– Mówisz, jakbyś o tym wiedział od dawna. Ty...

– Bo wiedziałem. Podobnie jak twój ojciec. Zastanawiał się czasem, kiedy wasze sumienia wreszcie się rozstaną i z jakiego powodu – doktor Finch uśmiechnął się. – Teraz już wiemy. Cieszę się, że byłem w pobliżu, gdy zaczęła się ta awantura. Atticus nie mógłby przecież rozmawiać z tobą jak ja...

– Dlaczego?

– Nie słuchałabyś go. Nie byłabyś w stanie. Nasi bogowie, Jean Louise, są dalecy. Nie wolno im zstępować do poziomu ludzi.

– Czy to dlatego... Dlatego nie odpowiadał na ciosy? Dlatego nawet nie próbował się bronić?

– Pozwolił, żebyś zniszczyła swoje ikony, jedną po drugiej. Pozwolił, żebyś zredukowała jego status. Musiał znowu stać się ludzką istotą.

A ja cię kocham. Jak sobie życzysz. Z przyjacielem toczyłaby co najwyżej zażartą dyskusję, wymieniałaby się myślami, fechtowała argumentami i punktami widzenia. Ojca starała się zniszczyć, rozerwać na strzępy, rozbić w pył, unicestwić. Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął.

– Rozumiesz, Jean Louise?

– Tak, wujku. Rozumiem.

Doktor Finch skrzyżował nogi i wsunął ręce do kieszeni.

– Gdy już przestałaś uciekać, Jean Louise, gdy już zawróciłaś... Taki zwrot wymagał fantastycznej odwagi.

– Słucham?

– O nie, nie takiej odwagi, która sprawia, że żołnierz zapuszcza się na ziemię niczyją – po tamtą odwagę sięga, ponieważ musi. Twoja odwaga zaś jest częścią woli życia, instynktu przetrwania. Czasem bowiem musimy nawet zabić, aby przeżyć. Gdy tego nie robimy, gdy kobiety tego nie robią, płaczą potem tak długo, aż zasną, a ich matki mają pełne ręce roboty.

– Co masz na myśli mówiąc, że już przestałam uciekać?

Doktor Finch zachichotał.

– Wiesz – powiedział – jesteś bardzo podobna do ojca. Próbowałem ci to już wyjaśnić, ale z żalem przyznaję, że użyłem taktyki, której pozazdrościłby mi świętej pamięci George Washington Hill^[37]. Jak powiedziałem, jesteś do ojca podobna, z tą różnicą, że on, w przeciwieństwie do ciebie, nie jest bigotem.

– Co takiego?

Doktor Finch przygryzł wargę, ale opanował się.

– Ano tak. Jesteś bigotką, moja panno. Niezbyt wielką – ot, zwyczajną, powiedzmy w rozmiarze rzepy.

Jean Louise wstała i podeszła do regału. Po chwili ściągnęła z półki słownik i zaczęła go wertować.

– „Bigot” – odczytała. – „Osobnik uparcie i nieznośnie przywiązany do własnego kościoła, własnego środowiska, własnych przekonań lub opinii”. Tłumacz się teraz, mój panie.

– Próbowałem tylko odpowiedzieć na twoje pytanie, ale skoro już przytoczyłaś definicję, pozwól, że nieco rozwinę temat. Co robi bigot, gdy spotyka człowieka, który podważa jego zdanie w różnych sprawach? Nie ustępuje. Pozostaje sztywny. Nawet nie próbuje słuchać, atakuje przeciwnika. Ty zaś, gdy już prawie się przekreśliłaś zawiedziona postawą ojca, uciekłaś. I to jak uciekłaś!

Bez wątpienia miałaś okazję usłyszeć sporo trudnych do zaakceptowania słów, odkąd wróciłaś do domu, lecz zamiast przypuścić kontratak na oślepa, odwróciłaś się i uciekłaś. Tak, jakbyś powiedziała: „Nie podoba mi się, co robią ci ludzie, więc nie mam dla nich czasu”. Byłoby lepiej, skarbie, gdybyś go znalazła, bo w przeciwnym razie nigdy nie dorośniesz. Stuknie ci sześćdziesiątka, a ty wciąż będziesz taka sama jak dziś, ale wtedy będziesz już przypadkiem medycznym, nie moją bratanicą. Masz tendencję do niepozostawiania bliźnim miejsca w swojej głowie na ich własne idee; czy są głupie, czy nie, odrzucasz je.

Doktor Finch złożył dłonie za głową.

– Wielkie nieba, dziewczyno, ludzie na ogół nie zgadzają się z pomysłami Klanu, lecz przecież nie próbują zabraniać jego członkom noszenia prześcieradeł i robienia z siebie durniów w miejscach publicznych.

Więc dlaczego w ogóle dopuściliście do głosu pana O’Hanlona? Ponieważ chciał.

Boże, co ja narobiłam?

– Ależ wujku, oni biją ludzi...

– Ach, to zupełnie inna sprawa. I jeszcze jedna rzecz, której nie wzięłaś pod uwagę, analizując postawę ojca. Pozwoliłaś sobie na ekstrawagancką tyradę o Hitlerach i pręgowanych sukinsynach... Nawiasem mówiąc, skąd wytrzasnęłaś ten epitet? Przypomniał mi chłodną, zimową noc i polowanie na oposy...

Jean Louise skrzywiła się mimowolnie.

– O tym też ci powiedział?

– O, tak. Jednak nie zadręczaj się, że tak go nazwałaś. Ma grubą skórę prawnika. Bywał już określany znacznie gorzej.

– Nie przez córkę.

– Cóż, jak mówiłem...

Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, wujek Jack z własnej, nieprzymuszonej woli wracał do tematu. I po raz drugi, odkąd sięgała pamięcią, zupełnie wypadł z roli. Pierwszy raz zdarzył się jeszcze w starym domu, gdy siedział milczący, słuchając paplaniny o Bogu, który nigdy nie zsyła brzemienia ponad siły. „Ramiona mnie bolą” – powiedział wtedy. „Jest może whiskey w tym domu?” To dzień istnych cudów, pomyślała Jean Louise.

– ...Klan może sobie paradować w mieście, ile zechce, lecz gdy zaczną podkładać bomby i napadać na ludzi, zapewne wiesz, kto jako pierwszy powstanie, żeby go powstrzymać?

– Wiem, wujku.

– On żyje w zgodzie z literą prawa. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by zapobiec zwyczajnej bijatyce, a zaraz potem odwróci się i spróbuje, ni mniej, ni więcej, tylko powstrzymać rząd federalny – zresztą podobnie jak ty, moje dziecko. Odwróciłaś się i chwyciłaś za bary swego blaszanego bożka. Nie zapominaj o tym, on zawsze będzie działał zgodnie z literą prawa i w jego duchu. Tylko tak umie żyć.

– Wujku...

– Nie chcę, żebyś czuła się winna, Jean Louise. Nie zrobiłaś dziś nic złego. Nie próbuj, jak mi John Henry Newman miły, zamartwiać się dla odmiany swoją bigoterią. Już ci mówiłem, jaki to kaliber: rzepy.

– Ale wujku...

– Pamiętaj i o tym: zawsze łatwo spoglądać wstecz i dostrzec, jacy byliśmy wczoraj albo dziesięć lat temu. Trudno natomiast zobaczyć, jacy jesteśmy. Będzie ci łatwiej, gdy opanujesz tę sztukę.

– Wujku, zdawało mi się, że z problemem rozczarowania własnymi rodzicami uporałam się już dawno, jakoś tak po studiach, ale jest coś jeszcze...

Doktor Finch zaczął nagle szukać czegoś w kieszeniach marynarki, a gdy znalazł, wyjął z paczki i spytał:

– Masz może zapalniczki?

Jean Louise patrzyła na niego jak urzeczona.

– Pytałem, czy masz zapalniczki.

– Czyś ty oszalał? Sprząś mnie na kwaśne jabłko, gdy mnie przyłapałeś na... Ty stary łajdaku!

Rzeczywiście tak było, sprzął dziewczynę w Boże Narodzenie, gdy

znalazł ją pod werandą z paczką skradzionych papierosów.

– Niech to będzie dla ciebie dowodem, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Czasem palę, moje małe ustępstwo na rzecz starości. Gdy nachodzi mnie niepokój, sięgam po papierosa i przynajmniej mam co zrobić z rękami.

Jean Louise znalazła zapaliki na stoliku przy fotelu. Zapaliła jedną i podała wujowi ogień. Ma co zrobić z rękami, pomyślała. Ciekawe, ile razy nosił na nich gumowe rękawiczki, wszechmocny i bezosobowy, gdy stawiał na nogi jakiegoś poszkodowanego dzieciaka. To wariat, bez dwóch zdań.

Doktor Finch trzymał papierosa kciukiem i dwoma palcami, spoglądając nań w zamyśleniu.

– Nie odróżniasz kolorów, Jean Louise – rzekł wreszcie. – Zawsze tak było i zawsze będzie. Dostrzegasz tylko niektóre różnice dzielące ludzi: w wyglądzie, w inteligencji, w charakterze i tak dalej. Nikt cię jednak nie nauczył spoglądania na nich jako członków tej czy innej rasy, a dziś, gdy rasa to temat dnia, nadal nie potrafisz myśleć takimi kategoriami. Widzisz po prostu ludzi.

– Możliwe, wujku, ale też nie jest tak, że mam ochotę uciec z jakimś Murzynem i wyjść za niego – albo nie wiem co.

– Wiesz, praktykowałem medycynę przez niemal dwadzieścia lat i obawiam się, że postrzegam ludzkie istoty głównie przez pryzmat względnego cierpienia, ale pozwolę sobie wygłosić pewną tezę. Nic pod słońcem nie wskazuje na to, że gdy chodzisz do szkoły z Murzynem albo całymi zastępami Murzynów, koniecznie musisz poślubić jednego z nich. A to właśnie jeden z tam-tamów, w które biją zwolennicy teorii wyższości białej rasy. Ile mieszanych małżeństw widziałas w Nowym Jorku?

– W sumie... Bardzo mało. Jednak to rzecz względna.

– Masz swoją odpowiedź. obrońcy białych postępują całkiem sprytnie. Widząc, że głoszenie niższości czarnych nie zdaje egzaminu, opakowują swoje teorie w seksualne miazmaty, ponieważ wiedzą, że to jedno może zasiać strach w naszych fundamentalistycznych sercach. Budzą grozę wśród matek z Południa: czy ich dziecko naprawdę może pokochać czarnego, kiedy dorośnie? Gdyby nie rozdmuchano sztucznie tej obawy, temat prawie by nie istniał. Jeśli nawet zdarzył się czasem taki przypadek, był czyjaś prywatną sprawą. Inna rzecz, że za rozbudzenie

obaw odpowiada między innymi NAACP. Obrońcy białych zaś obawiają się ludzi rozumnych, ponieważ chłodnego rozumowania nie potrafią zwyciężyć. Uprzedzenie – to brudne słowo – oraz wiara – słowo jakże czyste – mają ze sobą coś wspólnego: zaczynają się tam, gdzie kończy się rozum.

– Dziwne, prawda?

– Istotnie, jedno z dziwactw tego świata.

Doktor Finch powstał z kanapy i zgasił papierosa w popielniczce stojącej na stoliku przy fotelu.

– A teraz, młoda damo, zabierz mnie do domu. Dochodzi piąta. Niedługo musisz jechać po ojca.

Jean Louise jakby wypłynęła na powierzchnię.

– Po Atticusa? Ależ ja już nigdy nie spojrzę mu w oczy!

– Posłuchaj, dziewczyno. Wyzbądź się nawyku, któremu hołdowałaś przez dwadzieścia lat. Wyzbądź się go jak najprędzej. Najlepiej zacznij od razu. Zdaje ci się, że Atticus ciśnie w ciebie piorunem?

– Po tym, co mu powiedziałam? Po...

Doktor Finch dźgnął podłogę laską.

– Jean Louise, czy ty w ogóle znasz swojego ojca?

Nie. Nie znała go. I to było przerażające.

– Sądzę, że czeka cię niespodzianka – powiedział doktor Finch.

– Wujku, ja nie mogę.

– Nie chcę nawet tego słyszeć, dziewczyno! Powtórz jeszcze raz, a przyłożę ci laskę – i to wcale nie żart!

Poszli do samochodu.

– Jean Louise, nie myślałaś kiedyś o tym, żeby wrócić do domu?

– Do domu?

– Będę ci niewymownie zobowiązany, jeśli zechcesz powstrzymać się od powtarzania ostatnich słów każdej mojej wypowiedzi. Tak, do domu.

Jean Louise uśmiechnęła się. Wujek Jack znowu był sobą.

– Nie myślałam – odpowiedziała.

– Pojmuję, że mogę spowodować przeładowanie twoich zmysłów, ale mimo wszystko zaryzykuję: czy istnieje możliwość, że w przyszłości będziesz skłonna o tym pomyśleć? Może o tym nie wiesz, ale jest tu dość miejsca i dla ciebie.

– Chcesz powiedzieć, że Atticus mnie potrzebuje?

– Niezupełnie. Myślałem raczej o Maycomb.

– O tak, byłoby wspaniale: ja po jednej stronie, a wszyscy inni po przeciwnej. Jeżeli życie jest niekończącym się ciągiem takich tekstów, jakie słyszałam dziś rano, chyba nie pasowałabym tu.

– O, proszę, to jeszcze jedna rzecz, której nie dostrzegłaś w rodzinnych stronach. Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak wielu ludzi na Południu stoi po twojej stronie – choć może „strona” to niewłaściwe słowo. Nie jesteś wyjątkiem. Okoliczne lasy są pełne takich jak ty, ale potrzeba nam więcej.

Uruchomiła silnik i wycofała wóz z podjazdu.

– Niby co miałabym tu robić? – spytała. – Przecież nie mogę już walczyć. Nie mam na to siły...

– Nie chodziło mi o walkę. Wystarczy, że chodziłabyś co rano do pracy, wracała wieczorem do domu, spotykała się z przyjaciółmi.

– Wujku, ja chyba nie umiem żyć w miejscu, z którym się nie zgadzam i które nie zgadza się ze mną.

– Hmm – mruknął doktor Finch. – Melbourne twierdził...

– Jeśli powiesz mi, co twierdził Melbourne, zatrzymam wóz i wysadzę cię na środku ulicy! A wiem, jak nie cierpisz spacerów. Masz dość, gdy już przejdiesz się do kościoła i z powrotem, a potem wywleciesz kotkę do ogrodu. Wysadzę cię i nie myśl, że tego nie zrobię!

Doktor Finch westchnął.

– Jesteś bardzo harda wobec słabego starca, ale jeśli życzysz sobie trwać w ciemnocie, twoja wola...

– Słabego, akurat! Słaby jak krokodyl! – zawołała Jean Louise, dotykając spuchniętych ust.

– Dobrze więc, skoro nie jesteś ciekawa poglądów Melbourne’a, powiem ci coś własnymi słowami: przyjaciele, Jean Louise, potrzebują cię najbardziej wtedy, gdy są w błędzie. Nie jesteś im potrzebna, kiedy racja znajduje się po ich stronie...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Potrzeba pewnej dojrzałości, by żyć w dzisiejszych czasach na Południu. Ty jeszcze jej nie osiągnęłaś, ale dostrzegam w tobie pewne załążki. Brak ci tylko pokory umysłu...

– Sądziłam, że bojaźń Boża jest początkiem wszelkiej mądrości.

– To mniej więcej to samo. Chodzi o pokorę.

Zatrzymała wóz przed jego domem.

– Wujku – powiedziała – a co mam zrobić z Hankiem?

– To, co i tak byś zrobiła – odparł.

– Mam mu grzecznie odmówić?

– Aha.

– Dlaczego?

– Bo jest z innej gliny.

Kochaj kogo chcesz, ale wychodź za swoich.

– Słuchaj, nie zamierzam się z tobą spierać o ewentualne zalety białej hołoty, ale...

– Wcale nie o to mi chodzi. Chyba zmęczyła mnie rozmowa z tobą, muszę zjeść kolację.

Doktor Finch wyciągnął rękę i lekko uszczypnął podbródek Jean Louise.

– Miłego dnia, panienko – powiedział.

– Dlaczego zadałeś sobie dziś tyle trudu? – spytała. – Wiem, jak nie cierpisz wychodzić z domu.

– Dlatego, że jesteś moim dzieckiem. Ty i Jem zawsze byliście dla mnie potomstwem, którego nie miałem. Daliście mi coś dawno, dawno temu, a teraz próbuję spłacić dług. Pomogliście mi...

– W czym, łaskawy panie?

Doktor Finch uniósł brwi.

– Nie wiesz? Atticus nigdy ci o tym nie wspominał? Zdziwiająca, że Zandra też nie... Wielkie nieba, a ja myślałem, że całe Maycomb już wie.

– O czym?

– Że kochałem twoją matkę.

– Moją matkę?

– Tak. Gdy Atticus się z nią ożenił, czasem wracałem tu z Nashville na Boże Narodzenie i tak dalej... Wtedy zakochałem się w niej bez pamięci. Wciąż ją kocham. Naprawdę nie wiedziałaś?

Jean Louise oparła czoło o kierownicę.

– Wujku, jest mi tak strasznie wstyd, że nie wiem, co robić. Jak mogłam tak wrzeszczeć... Och, mam ochotę palnąć sobie w łeb!

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu. Wystarczy już samobójczych odruchów jak na jeden dzień.

– A ty przez cały czas...

– Tak, skarbie.

– I Atticus wiedział?

– Pewnie.

– Wujku, czuję się tak, jakbym miała cał wzrostu.
– Wcale sobie tego nie życzyłem. Pamiętaj, Jean Louise, nie jesteś sama. Nie jesteś wyjątkiem. Teraz jedź po ojca.
– I mówisz mi to wszystko... Tak po prostu?
– Aha. Tak po prostu. Jak powiedziałem, zawsze byliście z Jemem dla mnie kimś szczególnym, wymarzonymi dziećmi, lecz jak napisał Kipling, to już zupełnie inna historia... Zadzwoń do mnie, znajdziesz mnie jutro spokojnego jak trusia.

Był jedyną znaną jej osobą zdolną do sparafrazowania trzech autorów[38] w jednym zdaniu, na dodatek w taki sposób, żeby miało to sens.

– Dziękuję, wujku.
– To ja dziękuję, Skaucie.

Doktor Finch wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. Zaraz potem zajrzał do środka przez otwarte okno, uniósł brwi i wydeklamował:

*Byłam ci ja kiedyś nader dziwną panną,
Histerią i bólem śledziony nękaną...*

Jean Louise znajdowała się w połowie drogi do centrum, gdy wreszcie sobie przypomniała. Wcisnęła hamulec, wychyliła się przez okno i zawołała w stronę dalekiej już, szczupłej postaci:

– *Ale wycinamy tylko szlachetne płasy*[39], prawda, wujku Jacku?

[37] Był to prezes American Tobacco Co. Zasłynął zorganizowaniem kampanii promocyjnej, która skutecznie zachęciła kobiety do palenia tytoniu.

[38] Mowa tu o Charlesie Lambie, Rudyardzie Kiplingu i Williamie Szekspirze. Ostatni fragment: „znajdziesz mnie spokojnego jak trusia” pochodzi z dramatu *Romeo i Julia* w przekładzie J. Paszkowskiego.

[39] Cytaty z operetki Gilberta i Sullivana *Ruddigore*.

19

Wkroczyła do holu kancelarii. Henry siedział jeszcze przy swoim biurku. Podeszła do niego.

– Hank?

– Witaj – odpowiedział.

– Siódma trzydzieści? – spytała.

– Tak.

Gdy umawiali się na rozstanie, fala emocji wróciła, a Jean Louise wybiegła jej na spotkanie. Henry był częścią jej duszy, równie ponadczasową jak Finch's Landing, Coninghamowie czy Old Sarum. Maycomb i całe hrabstwo nauczyły go rzeczy, których nie było jej dane poznać, których poznać wręcz nie mogła. Maycomb sprawiło też, że była dla niego bezużyteczna jako ktokolwiek inny niż najstarsza przyjaciółka.

– To ty, Jean Louise?

Przeraził ją głos ojca.

– Tak.

Atticus wyszedł z gabinetu i zdjął z wieszaka w holu swój kapelusz i laskę.

– Gotowa? – spytał.

Gotowa. Pewnie, możesz pytać, czy jestem gotowa. Kim właściwie jesteś, że pytasz mnie o to, choć niedawno próbowałam cię zniszczyć, wdeptać w ziemię? Nie mogę cię pokonać i nie mogę do ciebie dołączyć. Nie wiesz tego?

Podeszła bliżej.

– Atticusie – zaczęła – ja...

– Może i żałujesz, ale jestem z ciebie dumny.

Spojrzała mu w oczy. Uśmiechał się do niej promiennie.

– Co takiego?

– Powiedziałem, że jestem z ciebie dumny.

– Nie pojmuję cię. W ogóle nie rozumiem mężczyzn. To się nigdy nie zmieni.

– Cóż, zawsze miałem nadzieję, że moja córka będzie umiała obstawać przy swoim, bronić tego, co uzna za słuszne – zwłaszcza przede mną.

Jean Louise potarła nos.

– Raczej nieładnie cię dziś nazwałam – powiedziała.

– Zniosę każde wyzwisko – odparł Atticus – o ile tylko nie ma nic wspólnego z prawdą. A ty, Jean Louise, ty nawet nie umiesz przeklinać. Nawiasem mówiąc, gdzie uczą wyzywania od tych... pręgowanych?

– Tu, w Maycomb.

– Wielkie nieba, a to się nauczyłaś.

Wielkie nieba, a to się nauczyłam. Nie chciałam, by ktokolwiek mącił w moim świecie, a próbowałam zmiażdżyć człowieka, który starał się ocalić go dla mnie. Gotowa byłam wytepić wszystkich podobnych do niego. Zdaje się, że jest z nami tak, jak z samolotem: oni są oporem powietrza, a my ciągiem silników – razem sprawiamy, że maszyna leci. Jest nas zbyt wielu – zaczynamy pikować, a kiedy ich jest zbyt wielu – ciąży nam ogon, to kwestia równowagi. Nie mogę go pokonać i nie mogę do niego dołączyć...

– Atticusie?

– Panienko?

– Myślę, że bardzo cię kocham.

Widziała, jak rozluźniają się ramiona niedawnego wroga. Zaraz potem odsunął kapelusze na tył głowy.

– Jedźmy do domu, Skaucie. Za nami długi dzień. Otwórz mi drzwi.

Usunęła się na bok, żeby go przepuścić, a potem poszła za nim do samochodu i cierpliwie czekała, aż z mozołem zajmie miejsce na fotelu pasażera. Witając go bez słowa w szeregach rodzaju ludzkiego, zadrżała lekko, tknięta nagłym wrażeniem. Ktoś przeszedł nad moim grobem, pomyślała. Pewnie Jem w jakiejś głupiej sprawie.

Obeszła wóz dookoła i wsunęła się za kierownicę, tym razem uważając, by nie uderzyć się w głowę.

* * * * *

O AUTORCE

Harper Lee urodziła się w 1926 roku w Monroeville, w Alabamie. Jest autorką słynnej powieści *Zabić drozda*, za którą otrzymała Nagrodę Pulitzera, Prezydencki Medal Wolności oraz wiele innych nagród, nie tylko literackich.

O KROJU PISMA

Składu niniejszej książki dokonano, stosując krój pisma Fournier, będący jednym z najwcześniejszych przykładów antykiwy barokowej opartej na czcionce Augustin Ordinaire. Stworzył go francuski rytownik i giser, Pierre Simon Fournier, około 1742 roku. Antykwa barokowa stała się inspiracją dla antykiwy klasycystycznej, spopularyzowanej pod koniec wieku przez Giambattistę Bodoniego.

Fournier (14 września 1712 – 8 października 1768) wniósł ogromny wkład w rozwój typografii, zwłaszcza jako pomysłodawca standaryzacji rozmiarów czcionek, twórca inicjałów i winiet oraz autor czcionek nutowych o eleganckich, zaokrąglonych kształtach, ułatwiających czytanie muzyki.

Zbliżony do antykiwy klasycystycznej Fournier, wraz z elegancką kursywą inspirowaną stylem francuskim, jest krojem przejrzystym, stylowym i przyjaznym czytelnikowi.

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

CZEŚĆ I

1

2

3

CZEŚĆ II

4

5

CZEŚĆ III

6

7

8

9

10

CZEŚĆ IV

11

12

CZEŚĆ V

13

14

CZEŚĆ VI

15

16

17

CZEŚĆ VII

18

19

O AUTORCE

O KROJU PISMA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Go Set a Watchman*

Copyright © Harper Lee 2015

All rights reserved

Copyright for the Polish edition © 2015 by Wydawnictwo FILIA

Copyright for the Polish translation © 2015 by Maciej Szymański

First published in the United States of America by HarperCollins in 2015

First published in Great Britain by William Heinemann in 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2015

Projekt okładki: Glenn O'Neill

Zdjęcie autorki: Michael Brown

Elementy graficzne okładki pochodzą z zasobów Getty Images i iStockphoto.

Redakcja: Kinga Zalejczak

Korekta: SEITON, www.seiton.pl

eISBN: 978-83-8075-060-9

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

www.wydawnictwofilia.pl

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres:

czytelnicy@wydawnictwofilia.pl

Dołącz do nas na Facebooku!

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl